



**Julie Buxbaum**

*Przeciwieństwo miłości*

# Prolog

Twoje zdjęcie wisi na lodówce. Czarno-białe, wielkości trzy na pięć centymetrów, nieupozowane, jesteś niczym nieskrępowana, zwinięta w kłębek i widać Twój profil. Całkowicie mnie wypełniasz.

Na razie wiem o sobie, że: mam apetyt na czerwone mięso, przeklinam częściej niż przedtem, na przemian śpiewam, fałszując, płaczę i śmieję się. Czytam na głos nekrologi i zapowiedzi ślubów w „The New York Timesie”.

Jesteś lżejsza niż kilogram cukru. Nie jesteś już czymś abstrakcyjnym. Jesteś dziewczynką.

Kiedy lekarz powiedział nam dzisiaj o Tobie, aż klasnął w ręce, jakby całą zasługę przypisywał sobie. Jakby to on miał udział w przeobrażeniu czegoś nienamacalnego w konkret, czyli w dziewczynkę. Nie chciałam go rozczarować, ale od początku wiedzieliśmy, że będziemy mieć córkę; od pierwszej sekundy, kiedy odkryliśmy, że jestem w ciąży, wiedzieliśmy, że będziesz nazywać się Charlotte. (Twój ojciec stale mnie poprawia, mówi: „My jesteśmy w ciąży, nie tylko ty”, ale czy to jego kostki tak spuchły, że wyglądają, jakby stracił nad nimi kontrolę? Czy to jego piersi zwisają jak balony napełnione wodą? Może on spodziewa się dziecka, ale to ja jestem w ciąży).

„Miliony kobiet na to sikało. Ty też możesz, Emily”. Tak powiedział Twój ojciec, kiedy weszliśmy do łazienki, żeby sprawdzić to, co podejrzewaliśmy. Z nerwów nie mogłam nic zrobić. Dopiero po półtorej godziny poczułam, że powinnam skorzystać z toalety. Twój ojciec wszedł za mną do środka, no i tak się stremowałam, że minęła jeszcze godzina, zanim zrobiłam to, co miliony kobiet przede mną. Na wskaźniku pojawiła się pozytywna kreska. Znaczenie tej informacji trzykrotnie sprawdzaliśmy w dołączonej ulotce. Zmarnowałam jeszcze kilka testów. Za każdym razem pojawiała się czerwona kreska. Nie mieliśmy już wątpliwości.

Od razu wiedziałam (nieważne, czego chciał Twój ojciec), że będziesz dziewczynką. Już nie mogłam się doczekać nadchodzących nocy (takich jak ta dzisiejsza). Będę przesiadywała do późna (Twój ojciec od dawna smacznie śpi) i wsłuchiwała się w swoje emocje, rozkołysane od ekscytacji po lęk.

Twój ojciec jest większym optymistą niż ja. Śpiewa pod prysznicem i nie odpukuje w niemalowane drewno; leży teraz na boku i śni o bohaterskich wyczynach nagradzanych słowami pełnymi uznania. Uważa, że potrzeba dokumentowania Twojego życia od chwili poczęcia jest niezdrowa i ekstrawagancka. Zastanawia się, dlaczego igraszkę z losem - granicę między miłością i jej przeciwieństwem jest nieuchwytna.

W moim przekonaniu to nie jest takie proste. Decyzja, by zapisywać wszystko, co dotyczy Ciebie, była poniekąd nieświadomym wyborem. Czasem wracam do czasu sprzed dwudziestu tygodni, by przypomnieć sobie, że byłeś wtedy jedynie wyobrażeniem, marzeniem snutym podczas bezsennych nocy. Wtedy, w tamtym świecie „przed Tobą”, też czułam wewnętrzną potrzebę spisywania wspomnień. Gdy mnie już nie będzie, otworzysz ten pamiętnik i znajdziesz mnie na jego stronach.

Prawdę mówiąc, nikt nie wie, jak długo będzie żył. My, kobiety z rodu Prattów, nie słyniemy z długowieczności.

To trochę nie na temat, wiem... Nieważne, kiedy odejdę, czy będę mieć czterdzieści trzy lata, czy osiemdziesiąt trzy. To błogosławieństwo, a zarazem przekleństwo pamięci. Jedne wspomnienia przecho-  
wuje, mimo nieuchronności starczej demencji, inne zdewaluują się przed jej nadejściem. Te, co pozostają,  
nawiedzają mnie w nocy. Głowa jest ciężka od wspomnień, przewracam się w pościeli, zazdroszcząc mę-  
żowi, który śpi obok mnie i śni o wspinaniu się po ściankach w lateksowym kombinezonie.

Moja matka, po której odziedziczyłaś imię, bohaterka licznych anegdot, znana z kapryśnego uspo-  
sobienia, zostawiła po sobie kilka przypadkowych zdjęć. To niewiele. Straciłam ją tak dawno... Ze znie-  
kształconych i przefiltrowanych przez czas fragmentów usiłuję odtworzyć jej obraz. Znajduję pocieszenie  
w oglądaniu wyretuszowanych fotografii. Mogę sobie wyobrazić, jak wyglądała, ale już się nie dowiem,  
jaka była.

Ta prawdziwa. Z krwi i kości.

W jakiś sposób okruchy wspomnień o mojej matce bardziej mnie przerażają niż sama jej strata.

Nie nauczyłam się jeździć na rowerze. Podobno tej umiejętności nigdy się nie zapomina. Taka je-  
stem: pragnę czegoś i jednocześnie boję się w to zaangażować. Na tym polega zapominanie, fragment po  
fragmentie pamięć się dezintegruje; nie dotyczy to jednak blizn wewnętrznych. Obydwie te rzeczy straszą  
mnie na swój sposób.

Nie znasz mnie takiej, jaką byłam kiedyś, zanim pojawiłaś się na świecie. Pod pewnymi względami  
byłam sobą. Jest to więc Twoja i moja historia; o tym, jak się narodziłaś do życia i dla mnie.

Teraz Twoje zdjęcie pojawiło się na lodówce, a ja przygotowuję się do roli kapłanki domowego  
ogniska. Nasze losy splotły się w nierozzerwalny węzeł. Opowiem Ci, jak zostaliśmy rodziną: ja i Twój oj-  
ciec, Ruth i dziadek Jack oraz mój ojciec, w tej chwili zajęty montowaniem różowych dodatków na dzie-  
cięcym łóżeczku.

To będzie historia o pewnej granicy w życiu, którą kocham, żyję nią i pozostawię po sobie: to gra-  
nica między zapamiętywaniem i zapominaniem, poświęceniem i wolnością. O tym, jak zostałam kiedyś na  
lodzie.

Granica, zawsze jest jakaś granica. Ta, która oddziela mnie od mojej matki, oddziela też mnie od  
Ciebie.

# 1

Zeszłej nocy przyśniło mi się, że porąbałam Andrew na sto tysięcy kawałków i zjadłam. Smakował jak kurczak. Poczułam się najedzona, ale trochę zawiedziona. Obudziwszy się, miałam nieprzepatą ochotę na befsztyk.

Chcę zapomnieć o tym śnie. Powstrzymam myśli o „włóknistym”, „wieprzowym” Andrew. Pozbędę się go bez emocji, bezpowrotnie wykasuję, nie będzie żadnych reperkusji ani irytującego déj à vu, mimo że ten sen był początkiem wszystkiego, co nieuchronnie doprowadziło mnie aż do tej chwili.

Już wiem, że nasz koniec się zbliża. Nieodwołalnie.

Dzisiaj w restauracji, gdzie na stolikach leżą kredki, a po podłodze walają się łupiny orzechów, zerwałam z Andrew. W trakcie imprezy, na której młoda, podpita dziewczyna (oprócz kowbojskiego kapelusza z frędzlami miała na sobie niewiele więcej) oblewała swój licencjat. Bezskutecznie usiłowała zorganizować wspólny taniec. Zdaję sobie sprawę, że powinnam była wybrać stosowniejszy moment. Wygląda na to, że moim zdaniem nasza znajomość sprowadzała się do kilku piw i satysfakcjonującego, ale palącego język dania pod nazwą „skrzydełka bizona”. Nie o to mi chodziło.

Wyobrażałam sobie, że wyplątanie się z tej znajomości odbędzie się kulturalnie, może nawet trochę romantycznie. Fikcyjne zerwanie, które sobie wymyśliłam, przypominało pantomimę: bez słów, same smętne uśmiechy, pocałunek w policzek i machnięcie ręką na pożegnanie. Coś na kształt zestawu łatwopalnego : ukłucie żalu i ogromne uczucie ulgi - coś, co oboje zrozumielibyśmy.

Andrew dziwnie na mnie patrzy, jakbym była cudzoziemką, którą właśnie spotkał, i nie potrafi po akcencie określić, z jakiego kraju ona pochodzi. Nie mogę spojrzeć mu w oczy. Mam wielką ochotę wybiec wprost na Trzecią Aleję i wtopić się w tłum wylewający się z barów na ulicę. Pewnie byłoby to lepsze niż patrzeć na Andrew, którego zakłopotanie było tak odczuwalne jak nieprzyjemny zapach jego potu. Układam nogi wokół podstawy stołka barowego i gapię się na jego górną wargę, ubrudzoną sosem pieczeniowym. Łagodzi to moje poczucie winy. Nie mogę poważnie traktować mężczyzny, który paraduje z resztkami jedzenia na twarzy. Gwoli prawdzie Andrew nigdzie się nie wybiera. Siedzi osłupiały.

Też jestem ozdobiona dodatkami. Ketchup na podkoszulku wygląda, jakby moje serce krwawiło.

- To nie mogło trwać wiecznie, w stylu: „i żyli długo i szczęśliwie” - stwierdzam, chociaż wiem, że dla niego to wcale nie było takie oczywiste. Nie zdziwiłabym się, gdyby mnie uderzył. Niemal życzyłam sobie, żeby to zrobił.

Teraz wydaje mi się to dziwne, ale naprawdę nie zdawałam sobie sprawy, że ta chwila nadejdzie. Nie przecwicyłam jej wcześniej w myślach. Dopiero wczoraj. Zwykle jestem niezła w kończeniu znajomości, napawa mnie to nawet dumą. Nie wierzę ludziom, którzy nieszczercze twierdzą, że pomysł zerwania wziął się znikąd. Nic nie bierze się z niczego, może z wyjątkiem dziwnych przypadków. Albo nowotworu. Ale nawet na tę okoliczność można być przygotowanym.

Pewnie mogłam pozwolić, żeby ten weekend przebiegał zgodnie z planem, z wojskową dokładnością, i jutro obudziłabym się w łóżku obok Andrew, który obejmowałby mnie swoim ramieniem. Później, w pracy, przy automacie z wodą mogłabym przytoczyć kilka zabawnych anegdot na temat Święta Pracy; weekend byłby powtórką z rozrywki. Mocno wierzę, że najpierw musi się coś wydarzyć, zanim później opowie się o tym zabawną historyjkę; zdaję sobie sprawę, że jutro nie podzielę się żadnymi smacznymi kąskami. Przynajmniej nie śmiesznymi. Jestem tego pewna.

Zamiast tego dzisiaj, podczas kończącego się Święta Pracy, siedzę naprzeciwko Andrew - człowieka, z którym spędziłam minione dwa lata. Próbuję wyjaśnić, dlaczego powinniśmy przestać oglądać się nago. Chcę powiedzieć, że winę za tę sytuację ponosi nasz wiek - ja mam dwadzieścia dziewięć lat, a on trzydzieści jeden. Zachowujemy się zgodnie ze zbiorowym kulturowym wyobrażeniem: ludzie po dwudziestym piątym roku życia tworzą związki (nawet przypadkowe), zakładają kajdanki przypadkowej osobie, która wylądowała na krześle obok podczas zabawy w zamianę miejsc. Tylko tak potrafię wyjaśnić, dlaczego Andrew przekroczył wczoraj wszelkie granice: napomknął o pierścionku i pozwolił sobie na aluzję o nieuniknionej propozycji. Oczywiście nie mówię tego głośno. Słowa wydają się zbyt ogólnikowe, brzmią jak usprawiedliwienie, może nawet za bardzo prawdziwie.

Nigdy nie byliśmy jedną z tych fikcyjnych par, które są skłonne zakładać, że czeka ją szczęśliwe zakończenie, albo wymyślać imiona dla nienarodzonych dzieci podczas pierwszej randki. Prawdę powiedziawszy, nasza pierwsza randka miała miejsce w uderzająco podobnej restauracji jak ta, w której odbywało się oblewanie licencjatu, i nie rozmawialiśmy o wspólnej przyszłości ani nawet o nas samych, ale zażycie walczyliśmy o to, kto zje więcej pikantnych skrzydełek. Po wyjściu z restauracji usta mieliśmy tak spieczone, że ledwo poczułam pocałunek na dobranoc. Cztery miesiące później przyznał się, że skrócił randkę, bo po skrzydełkach miał biegunkę. Mnie z kolei zajęło kolejne dwa miesiące wyznanie, że pozwoliłam mu wygrać. Nie przyjął tego za dobrze.

Kiedy coś się dzieje, do naszego słownictwa wprowadzamy wygodne zastrzeżenie: „jeśli”.

Jeśli będziemy mieli dzieci, chciałabym, żeby miały twoje oczy i moje palce u stóp - powiedziała-bym, rysując kółka na brzuchu Andrew.

Jeśli będziemy mieli dzieci, mam nadzieję, że odziedziczą po tobie strusi żołądek. Posyłałibyśmy je na zawody obżartuchów i dzięki ich wygranym spędzili emeryturę w Meksyku - dodałby on, a potem zebrałby moje włosy w kucyk i bawił się nimi.

Być może ta lekcja ma nam zwrócić na coś uwagę. (Zawsze jest jakaś lekcja, prawda? Inaczej nie wiedzielibyśmy, dokąd zmierzamy). Więc może powinniśmy być czujni, uważać na coś. Bo jakoś tak, *niepostrzeżenie*, wczoraj rozegrała się nasza tragedia.

Plan był taki, żeby spotkać się z przyjaciółmi: Danielem i Kate w Central Parku, a potem rozpustnie trwonić wolny od pracy czas. Świszczący wietrzyk rozwiął pancerz wilgotnego powietrza nad Manhattanem i po dusznym sierpniu odczuwaliśmy ulgę, jakby balansując pomiędzy porami roku. Reszta miasta znalazła sobie lepsze miejsce do spędzania świątecznego weekendu, mogliśmy więc skorzystać z całej sze-

rokości chodnika. Szliśmy zygzakiem do przodu, zawracali, dawali sobie łokciami kuksańce w żebra, podstawiali nawzajem nogę, szczypali się, jak w grze „Mam cię!”. Odczuwałam prawdziwą przyjemność, a nie udawane szczęście. Żadnego niepokoju, żadnej rewolucji w żołądku, która ostrzegłaby mnie przed tym, co miało nastąpić.

Daniel i Kate szli w naszą stronę. Pierścionek zaręczynowy na jej palcu, proporcjonalnie wielki do rangi wydarzenia, przyciągał promienie słońca i rzucał błyski na chodnik. Nasi najbliżsi przyjaciele, do wczoraj mogliśmy tak o nich mówić, również byli symbolem tego, jak dziś funkcjonują pary i jak bez wysiłku dotrzymują zobowiązań. Daniel i Kate tworzyli tę dojrzalszą część naszego towarzystwa. Byliśmy w leniwym nastroju; wiedzieliśmy, że trzeba łapać ostatnie promyki słońca, zanim drzewa zrzucą liście i pokryją się śnieżnym puchem.

Ostatni raz podstępnie złapałam Andrew za rękę (zawsze go wtedy rozpraszam), a on zakończył ten manewr, splatając nasze dłonie. Trzymając się za ręce, szliśmy przez chwilę, zanim poczułam, że bawi się moim palcem serdecznym (na którym nie było pierścionka) i w dziecięcym uścisku tuli go w swojej dłoni. Chociaż nic nie powiedział, wiedziałam, że ma zamiar oświadczyć mi się.

Muszę przyznać, że jego pomysły były w pełni metodycznie przygotowane - to jak się oświadczyć, bez żadnych „jeśli” i „dlaczego”. Znalazł wolny dzień, wsiadł w pociąg do Connecticut, żeby poprosić mojego ojca o pozwolenie, albo pojechał do Riverdale zapytać o zgodę dziadka Jacka. Przywołał wspomnienia moich ulubionych restauracji i jubilera ze swojej rodziny. Żadnych refleksji na temat, czy wystarczająco się znamy, żeby budować wspólną przyszłość; żadnych zmartwień, że nie potrafi rozszyfrować myśli, które w dowolnym momencie przebiegają przez mój nieprzystępny umysł. Ostatecznie Andrew jest człowiekiem, który nie zawraca sobie zbytnio głowy jakimiś „jeśli” i „dlaczego”.

Zanim zdążyłam zastanowić się, czy rosnąca panika jest wynikiem mojego złudzenia, zaciągnął mnie przed wystawę jubilera i objął ramieniem. Wyobraziłam sobie pierścionek, który mruga do mnie, i śmiałam się z mojego zakłopotania.

- Podoba ci się coś? - zapytał.

- Ta bransoletka jest ładna - odpowiedziałam - i te kolczyki. Podobają mi się, mimo że nie noszę dyndających kolczyków. Popatrz, gwarantują zwrot pieniędzy. Lubię, kiedy jest taka możliwość.

- A co powiesz o tym pierścionku?

- Zbyt błyszczący. Wolę kolczyki.

- Daj spokój. Jaki rodzaj szlifowania ci się podoba? Typu princessa, owalny czy markiza o szlifie fasetowym? - Jasno widać, że odrobił zadanie domowe. Zdałam sobie sprawę, że nie myślał o tym po raz pierwszy.

Cholera!

- Nie wiem, jaka jest między nimi różnica. Nie interesuję się tym.

Powiedziałam prawdę. Myślałam, że Markiza to wyspa na Karaibach. A ponieważ nie wiedziałam, co jeszcze robić, wskazałam na coś w głębi witryny.



- Spójrz! - powiedziałam, jak dziecko, które właśnie nauczyło się nowego słówka. - Piesek!

Reszta popołudnia przebiegła jak w dobrze napisanym serialu komediowym. Nasza czwórka bawiła się w berka na środku parku, mimo żartobliwego nastroju bardzo się w to angażując. Pewnie zachowywałam się najgłupiej ze wszystkich (próbowałam zagłuszyć strach), wierzyłam, że odsunę to, co nieuniknione.

Ale tak naprawdę to nie miałam wyjścia. Obiecałam sobie, że nie będę pracować w ten weekend, i „przypadkiem” zostawiłam swój telefon komórkowy w biurze. Nie zrobiłam tego od pięciu lat, odkąd pracuję jako pełnomocnik procesowy u Altmana, w firmie Pryor & Tisch, LLP. Zostawiłam moją smycz na biurku, co przed weekendem wydawało się dobrym pomysłem. Wtedy jeszcze myślałam, że chcę odpocząć od klientów, nie od własnego życia. Nie sądziłam, że tak szybko będę chciała rzucić się z powrotem do sterty papierów na biurku, uciec do miejsca, gdzie nie padają słowa „nasze” i „my”.

Ucieczka byłaby jednak próbą odwleczenia nieuniknionego. Doszłam do takiego wniosku przed sklepem jubilera. Zerwę z Andrew, zanim on uklęknie i zada mi to nieznośne pytanie. Zniszczę nasz naiwny i wygodny świat, jak dzieciak z amerykańskiego programu telewizyjnego, który bawi się pistoletem.

Samoświadomość to bardzo śliska sprawa, zwłaszcza gdy nie zgadzasz się na to, co prawdopodobnie się wydarzy. Prawdopodobnie chcę poślubić Andrew. Niektóre kobiety marzą o chwili, gdy zobaczą klęczącego przed sobą mężczyznę, z zaręczynowym pierścieniem w wyciągniętej dłoni. Wyobrażają sobie, że błyszczący kamień cichutko ogłasza światu: „Widzicie, ktoś mnie kocha. Ktoś mnie wybrał”. Potem śnią o pierwszym tańcu z nowo poślubionym oblubieńcem, zanim tłum weselników ruszy w takt prężnych dźwięków hitu YMCA.

Prawie każda z nas chce mieć współnika w chwili popełniania zbrodni, kogoś, kto odwiózłby ją z lotniska do domu, z kim mogłaby świętować sukcesy albo kto podtrzymałby jej głowę, gdy będzie wymiotować. I jeśli mam być szczerą, osobiście pragnę tego z całego serca.

Ale wychodzić za męża? Za Andrew? Póki śmierć nas nie rozłączy? Nie mogę tego zrobić. Byłabym oszustką, naciągaczką w roli panny młodej, udawałabym, że dorosłam. Nie chcę spędzić reszty życia nawet ze sobą. To jak Andrew da radę? I jak wyjaśnić komuś, kogo się kocha, że nie mogę ofiarować mu siebie, bo nie jestem go pewna? Czy moje słowa mają sens? Nie można powiedzieć tego komuś, zwłaszcza gdy się go kocha. Więc nie powiem.

Zamiast tego postąpię właściwie. Skłamię.

- Więc to koniec - mówi Andrew.

Ledwie go słyszę poprzez dźwięki szafy grającej. Jego głos brzmi surowo, bez cienia błagalnej nutki. Opanowany jak profesjonalista. Akceptacja pozbawiona emocji.

- Przepraszam.

Andrew kiwa głową, zwiesza ją na piersi, jakby stała się zbyt ciężka, żeby mógł utrzymać jej ciężar.

- Chcę, żebyś wiedział, że bardzo martwię się o ciebie - rzucam gładkie zdanie jak z książkowego poradnika na temat zrywania znajomości. Mam nawet czelność dodać: - Nie chodzi o ciebie, tylko o mnie.

Andrew zaśmiał się krótko. W końcu go sprowokowałam. Od zakłopotania i smutku przeszedł do gniewu, a to mi odpowiadało.

- Masz rację. Chodzi o ciebie, Em. Nie martw się. Wiem, że to twoja wina.

Chwyta marynarkę, jakby miał zamiar wyjść. Chcę go zatrzymać, przedłużyć tę okropną chwilę, zanim stanie się to, co ostateczne, ale nie mam mu nic do powiedzenia.

- Przykro mi - szepczę, kiedy rzuca rachunek na stół. - Naprawdę.

Wziął głęboki oddech, jego napięte ramiona opadły.

- Wiem - odpowiada, przewiercając mnie wzrokiem.

Zadziwiająco, jego oczy nie były wypełnione gniewem ani smutkiem i też nie miłością, tylko czymś, co wyglądało jak litość. Odchrząknął, pocałował mnie w policzek i spokojnie wyszedł z restauracji.

W kilka sekund pochłonęła go fala unosząca tłum na Trzeciej Alei.

Zostałam sama, wpatrzona w drzwi, za którymi zniknął Andrew, i przeżuwasz resztki palących skrzydełek.

Zanim dotrę do mojego mieszkania, mijam kilkanaście przecznic. W tym czasie porządkuję myśli. Powietrze szczypie mnie w nos - to kolejny znak, że jesień wkrótce zastąpi lato. Idąc aleją Madison, obserwuję tłumy okupujące uliczne ogródki. Przy migoczących w słońcu koktajlach ludzie pragną ocalić ostatnie chwile długiego weekendu i mijającej pory roku. Zazdroszczę im tej odrobiny wolności, zanim zacznie się tydzień pracy. Przez chwilę zastanawiam się, czyby nie wstąpić do jednego ze szpanerskich barów i nie udawać jednej z nich. W ten sposób odsunęłabym odczuwanie czegokolwiek o godzinę albo dwie.

Idę dalej. Skupiam się na numerach ulic, to spowalnia moje tętniące myśli. Czternasta, zrobiłaś to, co musiałaś.

Trzynasta, nie byliśmy sobie przeznaczeni. Dwunasta, to moja wina. Jedenasta, zrobiłam to. Poczucie rytmu przynosi mi ulgę. Ponoszę całkowitą odpowiedzialność za to, jak potoczyły się sprawy. Wiem, że pozwoliłam rozwinąć się tej znajomości. Powinnam była rozstać się z nim kilka miesięcy temu, zanim stanęłam przed wystawą sklepu jubilerskiego. Oboje mniej ucierpielibyśmy. W ostatniej chwili przywracam kontrolę nad swoimi myślami. Dziesiąta, wszystko jest pod kontrolą. Dziewiąta, będzie dobrze. Ósma, zostawiłby mnie prędzej czy później. Tak czy inaczej zostawiłby mnie.

Gdy dochodzę do mojego domu, portier Robert otwiera przede mną drzwi. Ma około siedemdziesiątki, śmiesznie białe włosy i brodę. Wygląda jak dobroduszny Bóg albo Święty Mikołaj. Ma zwyczaj wtrącać się w sprawy lokatorów, w większości zajmujących kawalerki. Zawsze na posterunku. Nawet jego natarczywe pytania nikogo nie złością. Każdego, kto wchodzi do budynku, zagaduje, jak minął dzień, obrzuci uważnym spojrzeniem.

- A gdzie twoja druga połowa? - pyta.

- U siebie - odpowiadam gładko.

Uśmiecha się do mnie i usuwa z drogi, żebym mogła wejść do windy.



- Życzę dobrej nocy, Robercie.

- Dobranoc, Emily.

Od tej pory każdy mój dzień będzie się kończył tutaj - przy drzwiach frontowych. Głos Roberta będzie ostatnim ludzkim dźwiękiem, jaki usłyszę. Jego twarz będzie ostatnim obliczem, jakie zobaczę.

## 2

Kiedy Andrew zaśmiał się przez sen po raz pierwszy, powinnam go była obudzić i od razu rozstać się z nim. Nikt nie zasługuje na to, żeby być tak szczęśliwym.

Otuliłam się wokół niego, przywarłam do jego pleców i chłonołam jego nastrój. Miałam nadzieję, że coś, co sprawiło, że był taki wyluzowany, taki czysty, jest zaraźliwe. Ale nie było.

Moje sny są czarno-białe. Widzę mężczyzn, którzy uganiają się za mną w labiryncie ulic, zostaję wciągnięta w ściek w kształcie koperty albo znikam w tłumie na Times Square. Czasem moje niepokojące sny są prozaiczne: na przykład wypadają mi zęby albo pojawiają się w pracy nago. Wtedy śni mi się, że krzyczę, aż mi w gardle zasycha. Ale nawet te duszne sny mogą mnie podniecić, przemieniając romans w czarny film gangsterski. Wstaję po namiętym seksie z nieznanym, wypuszczam dym z papierosa przez uchylone przyciemnione okno i przypatruję się nieznanemu kochankowi, którego skrzywdziłam.

Nie zawsze mam koszmary. Czasem noc przynosi słodką ulgę. Ale coś wam powiem: mogłabym śmiać się następnego ranka z mojego snu, kpiąc z jego efektów specjalnych rodem ze szkoły średniej albo filmów porno klasy B, ale nigdy nie śmiałam się w trakcie snu. Nie jestem tak szczęśliwa.

Wczoraj w nocy leżę w moim ogromnym łóżku (rozmiar królewski: 152 x 203 cm), mozolnie odzyskuję przestrzeń, eliminując ślady podziału na dwie części. Wygładzam fałdki na prześcieradle w kolorze kości słoniowej, które Andrew zostawił jakieś dwanaście godzin temu. Sen nie miał żadnych szans.

Budzik dzwoni o ósmej rano, więc zwlekam się z łóżka. Szybkie spojrzenie w lustro potwierdza to, co już wiem - wyglądam okropnie: ciemne podkówki pod oczami, jakby namalowane fioletowym markerem. W żołądku czuję pustkę. Zrobiłaś to - mówię sobie. Nie będziesz za to przepraszać. Poradzisz sobie z tym.

Mój ulubiony kostium jest w prążki wydłużające sylwetkę. Wyglądam w nim seksownie i zarazem profesjonalnie. Gdy go zakładam, przeistaczam się w bohaterkę komiksu, którą z Andrew nazwaliśmy Suuuuperprawniczką. Czuję się w nim doskonale.

Ludzie, którzy tak jak ja dojeżdżają do pracy, wydają się dziwnie samotni. Kiedy wsiadam na Blecker Street do pociągu numer 6, zwykle pełnego ludzi, w wagonie jest tylko dwoje pasażerów: bezdomny z poplamionymi atramentem palcami i stertą gazet na kolanach oraz młoda kobieta w spódniczce i tenisówkach, zatopiona w lekturze powieści o przygodach Harry'ego Pottera. Nie patrzą na mnie.

Wysiadam z pociągu na stacji Grand Central, przechodzę obok dwóch wieżowców i docieram do siedziby firmy w drapaczu chmur, bliźniaczo podobnym do sąsiednich budynków: też ma małe okna, które się nie otwierają, żeby ludzie przez nie nie wyskakiwali.

Pokazuję identyfikator Marge, strażnicze na portierni. Ma ze dwa metry wzrostu, no może trochę mniej, szerokie ramiona i bicepsy tej samej grubości co uda. Jest takim ludzkim palindromem: czy się patrzy na nią z góry na dół, czy od dołu do góry, wygląda tak samo. Rysy jej twarzy, niesamowicie symetryczne, tworzą linie równoległe: wyżej oczy ułożone zbyt blisko nosa, niżej cienka kreska ust. Marge występuje zawsze w granatowym poliestrowym mundurze, zapinanym wysoko pod szyją, w butach ze stalowymi czubkami, a usta ma pomalowane wściekle różową szminką. Gwałtownie zbliża się do wieku średniego albo już go osiągnęła i sądzi, że ten kolor ją odmładza. Życzyłabym sobie mieć prezencję Marge. Kiedy wchodzi do pokoju, wyobrażam sobie komentarze ludzi. To jest kobieta - myślą - która może skopać mi tyłek w ciągu dziesięciu sekund albo jeszcze szybciej. To kobieta - myślą - której makijaż nie ma prawa się rozmazać.

Przechodzę obok Marge przynajmniej dwadzieścia razy dziennie. Obliczyłam, że przez ostatnie pięć lat, odkąd zaczęłam pracować u Altmana, Pryora i Tischa, mijaliśmy się ponad 2600 razy, a ona nigdy nie życzyła mi dobrego dnia. Patrzy na mnie niewidzącym wzrokiem, jakbym była powietrzem, a nie człowiekiem. Chciałam coś zmienić w naszych codziennych stosunkach, ale nie wiedziałam, jak. Rozważaniami nad znalezieniem sposobu na Marge uatrakcyjniałam sobie nudne godziny spędzane w sali konferencyjnej na przeglądaniu milionów dokumentów w sprawach o oszustwa. Niektórzy z moich kolegów, na przykład Mason, uśmierzają swoje cierpienia poprzez masturbację w toalecie. Oczywiście, teraz unikam podawania im ręki w biurze.

Marge była dla mnie prawdziwym wyzwaniem. Próbowałam wyrobić sobie bardziej przyjazne, nowojorskie oblicze. Moja taktyka była niewinna. Polegała na uśmiechaniu się, zwracaniu po imieniu, komplementowaniu uczesania. Chciałam jej nawet dać kuksańca, na szczęście w porę się powstrzymałam.

Pomimo moich bohaterskich wysiłków Marge nigdy nie wypowiedziała do mnie ani jednego słowa. Nigdy się nie uśmiechnęła. Odbyła trening w pałacu Buckingham, mówiła z eleganckim brytyjskim akcentem, a nie takim szorstkim jak ochroniarze z Brooklynu.

Wpatrując się wprost przed siebie, wierzyła, że spełnia swój obywatelski obowiązek.

Moją prywatną krucjatę zakończyłam mniej więcej rok temu. Po prostu poddałam się. Nowy Jork tak robi z ludźmi: w końcu pokona twój upór, zanim doprowadzisz coś do końca. Teraz kiwam tylko głową w stronę Marge i wyobrażam sobie, że darzy mnie czymś w rodzaju matczynych uczuć.

W biurze zastałam dwanaście wiadomości od Karen, mojej sekretarki. Do jednej z nich jest przyklejona karteczka z napisem: „Powodzenia!!!!”. Cztery wykrzykniki - po jednym na każdą wiadomość od chronicznie trudnego współnika, Carla MacKinnona, który domaga się pilnej odpowiedzi na swoje maile wysłane w ciągu minionego tygodnia. Moja odpowiedź jest krótka, nieagresywna, bez tradycyjnych wyrazów szacunku.

Nie chcę się dzisiaj tym zajmować.

Do: Carl R. MacKinnon, APT

Od: Emily M. Pratt, APT

Temat: Świąteczny weekend

Przypadkiem zostawiłam swój telefon w biurze i dopiero dzisiaj rano odebrałam Twoje maile. Twoje pilne pytania dotyczą sprawy Quinn, która wejdzie na wokandę 29 sierpnia 2010, w przybliżeniu za dwa lata. Jeszcze nie zaczęłam się do niej przygotowywać.

Od: Carl R. MacKinnon, APT

Do: Emily M. Pratt, APT

Temat: Re: Świąteczny weekend

Emily, pracujesz w firmie nie od dziś. „Przypadkowe” pozostawienie telefonu nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Widzimy się w moim biurze w południe. Mamy sprawy do omówienia.

Kilka lat temu mail Carla doprowadziłby mnie do łez; dzisiaj śmieję się z tego. Jeśli zechce mnie w południe zwolnić, będzie to dla mnie błogosławieństwo.

Od: Emily M. Pratt, APT

Do: Mason C. Shaw, APT

Temat: Re: Re: Świąteczny weekend

Ups. Mason, czy możesz załatwić, żeby Marge skopała Carlowi tyłek? Założę się, że chętnie byś na to popatrzył.

Do: Emily M. Pratt, APT

Od: Masona C. Shaw, APT

Temat: Re:FW:Re: Świąteczny weekend

Zrobi się. Ale z tego, co wiem, Carlowi mogłoby się to spodobać. Ten typ lubi dostać lanie.

Zjemy lunch w czwartek?

Dzięki Bogu, że jest Mason. O czwartej rano, kiedy tonę w morzu stenogramów zeznań i nie spałam więcej niż po kilka godzin w ciągu tygodnia, Mason rozśmiesza mnie, zabawnie naśladując stałe teksty wyższych rangą współpracowników. Potrafi sprawić, że absurdalność naszej codziennej egzystencji w APT staje się niewysychającym źródłem rozrywki, magicznie manipulując nudą, przemieniając ją w pewien rodzaj sportu. Mason jest typem faceta, który już w szkole średniej odnosił sukcesy jako kapitan drużyny piłkarskiej, przewodniczący samorządu i deflator cheerleaderek. Ale zamiast mizernieć, jak wielu szkolnych prymusów, rozkwitał. Studia prawnicze na uniwersytecie Stanford ukończył z pierwszą lokatą. Jest notorycznym

monogamistą, ale jego związki trwają na tyle krótko, że nie pamiętam imion jego dziewczyn. Na swój sposób wszystkie są do siebie podobne: blondynki z silikonowymi piersiami, zadowolające się błyskotkami. Mało wymagają i mało otrzymują. Nie jestem pewna, czy nasze drogi przetną się i zostaniemy z Masonem przyjaciółmi poza obrębem tego dziwnego prawniczego świata w naszej firmie. Na razie jest moim bezpośrednim szefem.

Do: Mason C. Shaw, APT

Od: Emily M. Pratt, APT

Temat: Re:Re:FW:Re: Świąteczny weekend

Jeśli do czwartku nadal będę tu pracować. Jeśli mnie wywalą, Ty stawiasz.

Nim zdążyłam odpowiedzieć na pozostałe maile i wydostać się z dołka, który sama sobie wygrzebałam, nie odbierając maili przez weekend, Kate wkłada głowę w uchylone drzwi do mojego biura. Włosy ma upięte w ciasny kok i opaskę na głowie, bluzkę dopasowaną, wsuniętą do środka i spiętą paskiem. Wszystko jest na swoim miejscu. Surowy wyraz twarzy łagodzą zmarszczki w kącikach oczu - sprawiają, że wygląda młodziej, nawet figlarnie.

- Em - szepcze - coś ty zrobiła?

Myślałam, że mówi o moim kłamstwie wobec Carla. Już wie, że wyleciałam z pracy? Tak szybko? Dlaczego ja nic o tym nie wiem? Jak zapłacę czynsz? Nagle olśnienie: chodzi jej o zeszły wieczór. Widzę smutek na jej twarzy, jakbym zerwała z nią, a nie z Andrew.

- Dobre wieści szybko się roznoszą. - Mój płaski głos maskuję uśmiechem.

- Andrew dzwonił wczoraj do Daniela.

- No i?

Kate siada naprzeciwko mnie i zamyka drzwi szpiczastym obcasem.

- Martwię się o ciebie, Em. Nie rozumiem tego.

- Nie jestem pewna, czy sama to rozumiem.

- Byliście szczęśliwi.

- Czasami. I dlatego mieliśmy się pobrać? To niedobry pomysł.

Kate patrzy na mnie z niedowierzaniem, jakby nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

Nie jestem zdziwiona jej reakcją. Wiedziałam, iż wkurzy ją to, że zerwałam z Andrew. Ona była tą osobą, która nas ze sobą poznała. Zorganizowała nam randkę w ciemno, zakładając, że jej najlepsza przyjaciółka i najlepszy kolega narzeczonego idealnie będą do siebie pasować i wypełnią lukę w przyjacielskich kontaktach. Pomyliła się.

Kiedy Kate przedstawiła mi swój pomysł, opisała Andrew jako świetną partię, co sprawiło, że natychmiast poczułam niechęć do niego. Wszyscy mężczyźni, jakich znałam, wydawali się ustatkowani albo próbowali się ustatkować. Nie miałam ochoty skakać na głęboką wodę w celu znalezienia sobie chłopaka. Zgoda na poznanie „świetnej partii” wydawała mi się aktem rozpacz.

Kate nie wierzyła mi, że lubiłam być sama. Jako jedyne dziecko nonszalancko roztargnionych rodziców nigdy nie miałam kłopotów z zajmowaniem się sobą. Odpowiadało mi to. Kiedy byłam dzieckiem, zanim moja matka umarła, a ja zamknęłam się w swoim pokoju i wywiesiłam na drzwiach kartkę z kategorią „Wstęp wzbroniony”, zaszywałam się w jakimś kącie i czytałam. Zazdrościłam Nancy Drew, że może przenosić się do miejsc, gdzie dzieci wydawały się mądrzejsze i bardziej odpowiedzialne niż dorośli. Podczas przyjęć rodzice posyłali mi pocałunki, niezrażeni moim zachowaniem. Pocieszali się, że z tego wyrosnę i z czasem spełnię ich oczekiwania. Zbyt wiele ode mnie wymagali. Jako dorosła nie zmieniłam się za bardzo.

Mówiąc szczerze, Kate miała absolutną rację: Andrew był dobrą partią. Nie można mu się oprzeć i nawet nie próbowałam tego zrobić. Spełniał wszystkie warunki: był mądry, zabawny i odniósł sukces. Jest dość przystojny, choć lewa powieka opada mu troszkę niżej niż prawa. Aby to wyrównać, w ujmujący sposób unosi głowę. Zawsze wynosi śmieci, wywiesza nową rolkę papieru toaletowego, wyjmując włosy z odpływu prysznicu. Oprócz tego zostawia obcięte paznokcie na stoliku, konsekwentnie spóźnia się dwadzieścia minut i potajemnie ogląda filmy porno w Internecie. Bez wątplenia będzie cudownym mężem dla jakiejś szczęśliwej żony. Ale prawdą jest, że tracił czas dla mnie.

- Andrew naprawdę polubił cię. Powiedział to Danielowi. Świetnie wam poszło. - Tak Kate zdawała mi relację po naszej pierwszej randce.

Jak gdyby randka była przedstawieniem, a ja otrzymałam dobre recenzje. Później, kiedy oficjalnie zostaliśmy parą, Kate triumfowała i podkreślała swoją rolę jako swatki. Teraz czuję się winna, że zepsułam jej reputację. Chciała dobrze. Według jej planu mieliśmy się pobrać i już była podekscytowana, że na ślubie wystąpi jako drużna. Lubi takie rzeczy; uśmiecha się, niezrażona perspektywą założenia sukni z tafty, spowijającej ją od stóp do głów. Właściwie nie zdziwiłabym się, gdyby już zamówiła dla mnie koszulki z wyhaftowanym na plecach napisem „Pani Warner”.

- Powiedz mi, dlaczego, proszę cię, Em - mówi nagle.

Stanowczo odmawiam odpowiedzi i chcę, żeby moja przyjaciółka to uszanowała. Nie wiem, jak to zrobić. Nawet nie wiem, czy sama rozumiem, dlaczego z nim zerwałam.

- Nie wiem, dlaczego. Po prostu nie widzę się w roli pani Warner albo pani Pratt-Warner, jakkolwiek bym się nazywała po ślubie. Nie mogę za niego wyjść, Kate. Nie jestem pewna, czy gdybym to zrobiła, nadal byłabym sobą. - Skupiam się na rysowaniu serduszek na kartce. - Ktokolwiek by to był, do diabła!

- Nie musisz zmieniać nazwiska.

- Wiem. Nie chodzi o nazwisko. - Rysuję teraz duże kwiaty z okrągłymi płatkami.

- Nie rozumiem tego. Przecież nawet nie poprosił cię o rękę. Nie musicie się pobierać, jeśli nie jesteście na to gotowi. - Zerka na swój pierścionek i kładzie jedną dłoń na drugiej.

- Nigdy nie będę gotowa. Andrew jest wspaniały. Obie o tym wiemy. Ale to nie wystarczy. Nie mogę być jego drugą połową. Rozumiesz, o co mi chodzi? - pytam, choć wiem, że ona nie wie. Nigdy nie

musiała wątpić w to, co łączy ją z Danielem. Po prostu zawsze była tego pewna. Jej urok tkwi w łagodnym charakterze.

- Może za wiele oczekujesz? - pyta.

- Nie chodzi o to, że szukam kogoś lepszego. On jest najlepszy, ale mnie nie rozumie.

Wiem, że to kiepsko brzmi, ale nie mogę się zdecydować, czy powiedzieć to, co naprawdę chcę: Zjadłam go, Kate. Smakował jak kurczak. Zjadłam go i ledwie coś poczułam. Zachowuję te myśli dla siebie, bo wiem, że nie mają żadnego sensu.

- Prawda jest taka, że w ogóle nie chodzi o Andrew.

- Nie, nie sądzę, żeby tak było - mówi i patrzy na mnie jak Andrew wczoraj wieczorem: z politowaniem.

Przed wyjściem całuje mnie w czoło. Żadnego protekcjonalizmu ani osądu. Tym jednym gestem przywraca poprzedni nastrój. Kate nigdy nie zostawia za sobą bałaganu. Zawsze upewnia się, czy problemy zostały usunięte.

- No dobrze, później jeszcze pogadamy. Muszę wracać do pracy.

Kate pracuje trzy lata dłużej ode mnie i w przyszłym roku zamierza zostać jednym ze współników. Jeśli jej się powiedzie, a pewnie tak (o ile jest jakaś sprawiedliwość na tym świecie), będzie drugą kobietą na stanowisku pełnomocnika procesowego w dwustuletniej historii APT. Z kolei mnie powiedziano, po ostatniej ocenie pracowników, że powinnam bardziej poświęcać się dla firmy.

- A tak przy okazji, uważaj, Em. Za wszelką cenę unikaj Carla. Szuka jelenia do roboty przy sprawie Synergonu.

- Błagam, powiedz mi, że ty się nią zajmujesz. Mam z nim umówione spotkanie po popołudniu.

Nie mam wątpliwości, że jej wzrok wyraża litość. Tkwią w bagnie po uszy. Pierwszego dnia w APT starsi koledzy nauczyli mnie, że jeśli chcę przeżyć, powinnam unikać trzech rzeczy: sprawy Synergonu, Carla MacKinnona i jedzenia na wynos od Chińczyka z knajpki na rogu.

- Za późno. Do tej sprawy jest już wyznaczona Carisse. Będzie podlegać bezpośrednio Carlowi.

Myślałam, że nie jestem zdolna nienawidzić nikogo na świecie, ale to nieprawda. Nienawidzę Carisse. Nawet Kate, która lubi wszystkich, też jej nie znosi. Carisse jest jedną z tych kobiet, które powinny być wyrzucone ze zgromadzenia sióstr. Przekracza normy (oprócz sypiania z żonatymi mężczyznami), grając ze swoimi fagasami w następujące gry: „To twoja wina” i „Popracuj za mnie. Dzięki”. Znana jest z takich powiedzeń, jak: „Och, wyglądasz okropnie/na zmęczoną/jakbyś była spuchnięta”. Albo: „Moje gratulacje z powodu poronienia”. Pracuje dwa lata dłużej ode mnie i jest tylko trybikiem w maszynie, a rozkazuje, jakby była jednym ze współników. Czasem myślę, że mogłabym ją zamordować - nie zawahałabym się i pociągnęła za spust. Świat byłby lepszy bez niej.

- Przykro mi, Em - mówi Kate i wychodzi.

Patrzę na kartkę i widzę nowy zestaw esów-floresów, utworzonych z krzyżyków.



W południe, buntowniczo nastawiona, idę do biura Carla. Może moja nieprzyjazna postawa zniechęci go do angażowania mnie w tę sprawę. Kieruję spojrzenie w stronę Marge. W sprawach takich jak ta czerpię od niej odwagę.

Carl siedzi za ogromnym mahoniowym biurkiem, na którym znajduje się jedynie elegancki płaski monitor. Mój szef nie jest wysoki, więc krzesło ma tak podkręcone, że wydaje się, jakby miał dwa metry wzrostu. Krzesła dla gości mają niżej ustawione siedziska. Rozmawia przez telefon, ale daje mi znak, że bym weszła.

Siadam na niskim krześle. Właściwie mogłabym go podwyższyć. W gabinecie dyrektora czuję się jak pięcioletnie dziecko. Oprawione dyplomy tworzą imponujący rząd na ścianie; nazwy uczelni aż biją po oczach. Princeton. Wyższa Szkoła Biznesu Wharton. Prawo na uniwersytecie w Harvardzie. Czy to możliwe, żeby uczęszczał na wszystkie trzy uczelnie? Za nimi wiszą nagrody fundacji „Ocalmy Dzieci”; wynika z tego, że Carl udzielał się charytatywnie w 1994, 1999 i 2005 roku. Zdjęcie, na którym obejmuje wychudzone afrykańskie dziecko, też się tam znajduje.

Podczas słodkiej pogawędki przez telefon Carl gapi się i ocenia mnie. Przytulam blok listowy do piersi, żeby udaremnić mu zapuszczanie żurawia w mój dekolt. Jest typem, który sądzi, że takie zachowanie jest akceptowane. Potrafi na jakąś babkę nakrzyczeć, a potem podciągnąć jej spódnicę i położyć rękę na udzie. Krążą pogłoski, że w związku z molestowaniem seksualnym jego udziały były już kilka razy redukowane, nie został jednak zwolniony, bo mógłby zabrać ze sobą zbyt wielu ważnych klientów, takich jak Synergon. Podobno kiedyś rzucił książką (opatrzoną adnotacjami) *Przepisy prawne w sprawach cywilnych obowiązujące w stanie Nowy Jork* w głowę współnika.

To musiało zabołec.

Och, czy wspomniałam, że jego żona jest w ciąży? Spodziewa się bliźniaków.

Zwykle, kiedy wiem, że czeka mnie spotkanie z Carlem, ubieram się w staromodne ciuchy, nie maluję się i układam włosy w kok, jak stara babcia. Wierzę, że to powstrzyma go przed napastowaniem mnie. Oczywiście, stanowczo sprzeciwiam się molestowaniu seksualnemu, ale muszę przyznać, że martwię się, iż mój strój tak doskonale się sprawdza. Jestem jedyną kobietą w firmie, którą się nie zainteresował seksualnie.

- Wciągnąłem cię w sprawę Synergonu. Będziesz ty, ja i Carisse. Od ciebie jako najmłodszej oczekuję największego wkładu pracy legislacyjnej - mówi Carl, odłożywszy słuchawkę.

I to jest to. Mój żołądek zacisnął się. Wiedziałam, że ta chwila nadejdzie.

- Oczekuję, że całkowicie poświęcisz się tej sprawie, która wymaga od nas nadludzkich wysiłków i jest wspaniałą okazją do zaprezentowania swojego oddania dla firmy. Oczekuję, że nie będzie takich wypadków jak w ten weekend.

Kiwam głową. Carl kręci nosem, jakby poczuł jakiś smród.

- Oczywiście, Carl. Przykro mi - wymknęło mi się, zanim zdołałam pomyśleć, i wstydzę się, że przeprosiny przyszły mi tak łatwo. Równie łatwo mogłam rzucić tę robotę i mieć to z głowy.

- W porządku, a teraz szczegóły. Synergon jest pozwany przez mniej więcej pięćdziesiąt rodzin. Sprawy toczą się w sądzie w stanie Arkansas. Zasadniczo będziemy bronić tę firmę. Tym razem, na szczęście, ta dziwka, Erin Brockovich, nie jest w to zaangażowana. Wiesz, że ona w ogóle nie przypomina Julii Roberts?

- Och! - mówię.

- Wszyscy ci biedacy ze środkowego Arkansas chorują na raka, rośnie im trzecie oko i temu podobne. Twierdzą, że dzieje się tak przez odpady chemiczne.

- Czy są jakieś dowody?

- Tak, Synergon przez pięćdziesiąt lat spuszczał fabryczne ścieki do rzeki Caddo. Założyli, że nikt z tych BH, którzy mieszkają w okolicy, nie będzie wystarczająco sprytny, żeby podać ich do sądu.

- BH?

- Biała hołota. Na razie nikt nie udowodnił, że ludzie chorują właśnie od tego.

Patrząc na Carla i widząc, że drżą mu kąciki ust w uśmiechu. Podoba mu się to. Musieli mu w szkole średniej codziennie ściągać spodnie i bić go w stołowce. Nieźle namieszało mu się w głowie. Nie ma innego wyjaśnienia dla jego zepsucia. Jego chęci zemsty.

- Mówiąc poważnie, dla nas to okazja, żeby wycisnąć trochę pieniędzy z jednej z amerykańskich korporacji - stwierdza.

- A jeśli wylewali...

- Czy naprawdę muszę powtarzać? Zapisz sobie, Emily. Odprowadzanie odpadów do rzeki niekoniecznie powoduje nowotwory. Wylewanie odpadów powoduje zanieczyszczenie środowiska, a nie raka. Rozumiesz?

- Tak sądzę...

- Plan naszego działania jest następujący: ciężar sprawy i szczegóły zostawiam tobie. Obciążając ich, mamy zamiar oprzeć się na *Sprawach cywilnych*. Czytałaś tę książkę?

- No, to lektura obowiązkowa na pierwszym roku prawa. - Nie dodałam, że na zajęciach z etyki uczono nas, jak nie należy praktykować prawa.

- To dobrze, to dobrze. Plan jest taki. Zaangażujemy kilku ekspertów z grona naukowców, którzy stwierdzą, że nie ma żadnego związku między zrzucaniem odpadów chemicznych do rzeki a zachorowalnością na raka. Ja w to wierzę. - Carl zerka w notatki. - Tu jest lista ekspertów na usługach Synergonu. Im więcej powołanych świadków, wypisanych wniosków i zebranych akt, tym większe koszty sądowe. Synergon przeznaczył kupę pieniędzy na tę sprawę. Gdy wygramy w trybie doraźnym - a wygramy, bo nikt niczego im nie udowodni - nastąpi akt trzeci. Podamy ich do sądu o honoraria dla naszych adwokatów. Prawdopodobnie nie otrzymamy ich, ale będzie to punkt dla nas. Synergon jest pod wrażeniem naszego nieprzejednanego stanowiska. Musimy wycisnąć z nich jak najwięcej kasy. Nauka płynie z tego taka, że ludzie, zadzierając z firmą Synergon, pakują się w kłopoty.

Uśmiecha się i przysięgłabym, że widzę, jak dyszy chęcią zemsty.

- Natychmiast sporządź listę najpilniejszych spraw. Oczekuję jej na moim biurku jutro rano. Przygotuj plan podróży do Arkansas na najbliższe miesiące. Zorganizuj jakiś przyzwoity transport. I jeszcze jedno... - Robi pauzę i uśmiecha się. - Ładny garnitur, Em. - Mruga do mnie porozumiewawczo.

Nie mam wątpliwości, że właśnie wyobraził sobie mnie nago.

Gdy zatrudniasz się jako osoba rozpoczynająca spór sądowy w dużej firmie prawniczej, zaprzedasz swoją duszę. Kto twierdzi inaczej, kłamie albo oszukuje samego siebie. Do tej chwili myślałam, że, owszem, zaprzedałam życie, ale nie duszę. Wiedziałam, że ta robota będzie wymagała ode mnie bezgranicznego poświęcenia i niewiele pozostanie mi czasu na życie towarzyskie. Na porządku dziennym będzie odwoływanie zaplanowanej od dawna wizyty u lekarza itp. W piątkowe popołudnia większość nas trzymać kciuki i modli się, żeby szef nie rzucił nam na biurko czegoś, co musi być zrobione do poniedziałku.

Tak na marginesie, zaprzędanie duszy to całkiem niezły interes. Choć czuję się przepracowana, pensja pozwala mi na spłacenie gigantycznej pożyczki zaciągniętej na studia i drugiej na wynajem dziewięćdziesięciometrowego mieszkania w Village. Ludzie sprzedają własne organy, żeby mieć apartament na Manhattanie. Własny kąpielownia w takim miejscu daje mi poczucie luksusu.

Przeglądam skargi z akt sprawy przeciwko firmie Synergon. Złożyli je biedacy z maleńkiego miasteczka Caddo Valley w stanie Arkansas, o którym nikt nigdy nie słyszał. Liczba ludności wynosi 565 mieszkańców. Pierwszą skargę napisał niejaki Jones, gdy na ostrą białaczkę limfoblastyczną zmarła jego żona Jo-Ann, osierocając pięcioro dzieci w wieku od dwóch do dziewięciu lat. Rodzina Jonesów mieszka w odległości 18 kilometrów od rzeki Caddo. Jo-Ann jest siódmą osobą, u której postawiono taką diagnozę, a to oznacza, że zachorowalność na raka jest w tym mieście pięćset razy większa, niż wynosi przeciętna krajowa.

Zgłębiam szczegóły zażalenia, siedząc w swoim pokoju biurowym na czterdziestym czwartym piętrze budynku z błyszczącej stali i szkła, w samym środku Nowego Jorku. Mam stąd widok na zorganizowaną sieć miejskiego chaosu. Z rodziną Jonesów łączy mnie jedynie to, że moja matka też zmarła na raka. To niewiele.

Ogarnia mnie wstyd, kiedy zdaję sobie sprawę, na czym polega moja praca. Za to mi płacą. Co dwa tygodnie dostaję czek i formularz 401K ubezpieczenia zdrowotnego (w tym zapewnione świadczenie, gdybym zachorowała na raka), a w zamian za to spędzę ten wieczór i następne sześć miesięcy, gromadząc pomysły, jak zapobiec dystrybucji niewielkiej ilości bogactwa firmy Synergon na rzecz pięćdziesięciu rodzin, które potrzebują tych pieniędzy i należą im się. Zastanawiam się, co o tej sprawie pomyślałby Andrew - on, który codziennie ratuje ludziom życie na ostrym dyżurze i czyni ten świat lepszym. Szybko porzucam tę myśl. Potem, przelotnie jak iskierka, nawiedza mnie myśl, co powiedziała by moja matka, której kosmyki włosów równomiernie opadały po bokach twarzy, a piersi były jak wyrzeźbione, gdyby wiedziała, kim jestem w dorosłości. Nie chcę wiedzieć. Klikam na stronę Amerykańskiego Stowarzyszenia Walki z Rakiem i przekazuję na jej konto tysiąc dolarów (moją małą pokutę). To nic w porównaniu z pięćdziesięcioma milionami roszczeń w tym sporze.

Potem precyzuję, punkt po punkcie, żądania Carla odnośnie do badań i z grubsza szkicuję resztę spraw. Nie oderwę od tego wzroku, aż w moim oknie pojawi się mrok i na Manhattanie zapadnie noc. Jedyny dźwięk, permanentne wycie syren z daleka, uspokaja Nowy Jork jak kołysanka.

Nie uwolnię się od tego.

### 3

W domu na środku pokoju leży sterta rzeczy do prania. Jej zatrważająca wysokość przełącza alarm z poziomu żółtego (podwyższony) na pomarańczowy (wysoki), co oznacza, że jutro nie będę miała czystej bielizny. Postanowiłam zbojkotować bieliznianą policję - nikt nie będzie sprawdzał, co mam pod spódnicą. Jeżeli ktokolwiek to zrobi, dostanie to, na co sobie zasłużył.

Światelko automatycznej sekretarki mruga podwójnie: błysk-błysk, błysk-błysk, błysk-błysk. Zaszifrowana informacja, że mam dwie wiadomości.

- Cześć, Emily, mówi ojciec. Co u ciebie? - Pstryk.

- Cześć, Em. - Głos Jess odbija się od ścian mojego mieszkania w kształcie doskonałego kwadratu. - Mam nadzieję, że trzymasz się w związku z tą całą sprawą z Andrew. Piątkowy wieczór. Ty. Ja. Bar Merc. Wybierzemy się na miasto. Nie przyjmę odpowiedzi odmownej.

Jess spotkałam w firmie Brown, gdy jako początkująca prawniczka pomyliłam salę sądową. Z czasem stała się dla mnie kimś więcej niż koleżanką z college'u. Myślę o niej jak o siostrze bliźniaczce, jak o magicznej kuli, która zna odpowiedź na pytanie o przyszłość, jak o żydowskiej matce. Wspiera mnie finansowo i w każdej innej potrzebie. Jest dla mnie jak doradca życiowy Tony Robbins. Zadzwoiłabym do niej, ale wiem, że już śpi. Jess kładzie się spać o 22.43 - to jedyne natręctwo myślowo-obsesyjne, jakie pozostało jej z dzieciństwa.

Podnoszę słuchawkę i oddzwaniem do ojca, który w przeciwieństwie do Jess i wszystkich ludzi na świecie wydaje się nie sypiać.

- Zastępca gubernatora Pratt, słucham.

Ojciec najwidoczniej zakłada, że ktoś, kto dzwoni na jego osobistą komórkę o pierwszej w nocy, nie wie, że jest zastępcą gubernatora stanu Connecticut. A kogo to obchodzi? Zastanawiam się, czy to był dobry pomysł kontynuować niekończącą się zabawę w telefonicznego berka. Te rozmowy z ojcem sprawiają, że czuję się bardzo samotna.

- Cześć, tato. Mówi Emily. Jak się miewasz?

- Dobrze, kochanie, dobrze. Trzymam formę. Rano przebiegłem dziesięć kilometrów. Wystartowałem o piątej rano.

O rany, tato - mówię, jakbym nie słyszała tego za każdym razem, gdy dzwonię. Sądzę, że to forma zawołanej krytyki. Wie, że ja nigdy nie zdobędę się na to.

No bo, wiesz, to ważne, żeby być w formie. Powinnas czasem pobiegać. Może w Central Parku?

- Tato, mieszkam w centrum.

- Och, w takim razie biegnij do parku. Przypomniałaś mi, że muszę wreszcie zobaczyć twoje nowe mieszkanie.

- Nie takie nowe. Mieszkam tu od ponad roku.

- Prawda, prawda. Nad czym teraz pracuje supergwiazda pełnomocników sądowych?

Opowiedziałam ojcu o sprawie Synergonu. Przede wszystkim dlatego, że łatwo nam się rozmawia o mojej pracy. Opisując, co się dzieje w Caddo Valley, martwię się, że być może dam ojcu powód, żeby się za mnie wstydził. Mimo wszystko jest urzędnikiem administracji państwowej.

- Och, dziecko. Dobrze mieć kontakty w Synergonie - mówi - lepiej poświęć się tej sprawie. Może ci to pomóc w karierze.

- Ale, tato, ja mam bronić Synergonu. Wiem, że nic mu nie udowodnią, ale...

- Biznes to biznes, Em. Wiesz o tym. Nie zaszkodzi mieć przyjaciół na wysokich stanowiskach.

Oczekiwałam innej reakcji. Chciałam, żeby na mnie nakrzyczał, powiedział, że to, co robię, jest złe i że moja praca psuje ten świat. Oczywiście to jest absurdalne, ale chciałam, żebyśmy się o to pokłócili. Nigdy się z ojcem nie kłóciliśmy. On tego nie uznaje. Kłótnie są mało znaczące i obrzydliwe, w sam raz dla dzieci.

Mój ojciec ma pancierz - taki jaki okrywa wszystkich polityków: blask, wdzięk, młodzieńczy wygląd i siwiejące skronie. Witając się, ściska dłoń oburącz, żeby pokazać, jak bardzo jest zainteresowany spotkaniem. Patrzy prosto w oczy, jakby chciał powiedzieć: „Przejmuję się”. Nie wiem, co kryje się pod tą wyrafinowaną maską. Nigdy mi tego nie pokazał.

Kocham mojego ojca, ale niespecjalnie go lubię. Sądzę, że nieszczególnie lubię go, bo nie jestem pewna, czy on mnie lubi.

Po śmierci mamy zostaliśmy sami i wtedy istniała jeszcze szansa na porozumienie się. Mogliśmy krzyczeć, płakać i mówić niewybaczalne zazwyczaj rzeczy. Opłakując mamę, spostrzeżlibyśmy, że razem z nią straciliśmy więź, jaka nas łączyła. Gdy nie widział, śmiałam się i bawiłam z przyjaciółmi, żeby po przebudzeniu powiedzieć sobie: „To nie boli, to nie boli, to nie boli”.

Moja mama zmarła w czwartek po południu. Do szkoły poszłam już w poniedziałek rano. Nie pozwolił mi zostać w domu. Odtąd żyliśmy oddzielnie, oddając się rutynie codziennych obowiązków. Żyliśmy, jakby nic się nie stało, jakbyśmy nagle nie poczuli się jak pies o trzech nogach.

Wiedziałałam, że ojciec płacze w nocy. Leżałam obok w swojej sypialni i słyszałam jego rozpacz: szybki oddech, stłumione poduszką łkanie. Echo mojej własnej rozpacz. Nie zapukałam do jego drzwi ani on nie zapukał do moich. Oczywiście, myślałam o tym. Wyobrażałam sobie, jak stoję przed drzwiami jego pokoju, nieruchoma, niezdolna podnieść ręki do klamki. Nie wiem, dlaczego nasze drzwi stanowiły taką barierę nie do przebycia. Może czuliśmy, że mamy swój żal na własność, a dzielenie się nim byłoby rozdawaniem cząstek pamięci o mamie. Może w przerażających ciemnościach nocy żadne z nas nie miało siły

nieść pocieszenia, bo oboje wyczerpaliśmy naszą energię w ciągu dnia, zajęci, bardzo zajęci udawaniem, że wszystko jest dobrze.

- Wiesz co, tato? Muszę już kończyć. Mam jeszcze trochę roboty - mówię.

Kłamstwo numer jeden.

- Rozumiem. Pozdrów ode mnie Andrew.

- Pozdrowię.

Kłamstwo numer dwa. Nie jestem gotowa, żeby mu powiedzieć, że zerwaliśmy ze sobą. Podobnie jak praca mój związek jest źródłem zadowolenia taty. To znaczy, że moje osobiste szczęście nie jest już jego problemem. Mam w tym swój współudział. Przez lata sumiennie pracowałam i spełniłam naszą niepiśnaną umowę, że gdy tylko to będzie możliwe, sama o sobie zadbam. Wystarczająco trudno być wdowcem.

- A tak przy okazji - mówię - w niedzielę jadę do dziadka Jacka. Pojedziesz ze mną?

- Nie mogę, Em. Wiesz, jak jest. Powiedz ojcu, że jestem bardzo zajęty. W biurze panuje istne szaleństwo.

- Powiem.

Kłamstwo numer trzy. Nigdy nie obrażę dziadka ulubionym kłamstwem taty.

- Trzymaj się, moje dziecko - słyszę i w słuchawce rozlega się sygnał.

Wpełzam pod koldrę. Jestem wyczerpana. Prześlizguję się wzrokiem po zdjęciach zatkniętych w pustym oknie. Andrew i ja podczas moich ostatnich urodzin. Moja twarz oświetlona od dołu płomieniem świecy wygląda niesamowicie: jakby płonęła od środka. Jess i ja na ślubie jej siostry: obie mamy suknie z fioletowej tafty i rozmazany makijaż. I jedno małe rodzinne zdjęcie: stoimy razem - mama, tata i ja - przed frontowymi schodami naszego domu w Connecticut. Mam na sobie kombinezon firmy Osh Kosh i dumnie wyciągam pudełko Superkobiety w stronę aparatu. To mój pierwszy dzień w przedszkolu. Wyglądam na nieustraszoną. Jedyne, co mnie trzyma w tym miejscu, to ta sekunda oczekiwania na kliknięcie.

Dziś wieczorem zostawię włączone światło w łazience i dwa razy sprawdzę zamek u drzwi. Usiądę po turecku na łóżku i będę robić nowe śnieżne aniołki. Mechanicznymi, wyćwiczonymi ruchami zacznę od tego miejsca, gdzie poprzednio skończyłam.



## 4

- Jak się czujesz? - pyta Jess, kiedy dzwonię do niej rano.

Wyczuwam w jej głosie żałobny ton.

- Świetnie - odpowiadam beztrąsko.

- Martwię się o ciebie.

Wyobrażam sobie Jess, jak siedzi w swoim boksie pomalowanym na wściekły różowy kolor. Założę się, że okręca sznur telefonu wokół palców, tak jak to robiła w college'u. Jest grafikiem, płacą jej za gryzmolenie na komputerze.

- Nie musisz się martwić. Czuję się dobrze. Pamiętaj, to ja z nim zerwałam. To była moja decyzja.

- Dlatego się martwię.

- Jess...

- Mówię serio. Sporo myślałam o tym. Jesteś najlepszą osobą, jaką znam, i nigdy nie skrzywdziłaś Andrew, gdybyś nie czuła się do tego zmuszona. Po prostu chciałabym to zrozumieć. Wyglądaliście razem tak dobrze.

- Jess, nie chcę się wymigiwać, ale czy możemy pomówić o tym później? Jestem w pracy.

Gdy zadzwoniłam do Jess, żeby powiedzieć jej, że zerwałam z Andrew, naiwnie sądziłam, że spełni moje oczekiwania i przyłączy się do nagonki na mojego byłego chłopaka. Chciałam jej powiedzieć: „Nigdy nie lubiłam tego gościa” albo „Zawsze myślałam, że jest śmieszny”, ale nie odważyłam się. Reakcję Jess można by zaklasyfikować w przedziale od: a) „A ja myślałam, że Andrew to najlepsze, co przytrafiło ci się w życiu”; i b) „Świetnie, jeśli nie chcesz wyjść za niego, ja to zrobię”; do c) - moja ulubiona - „Odebrało ci rozum?”.

- Dobra, rozłączam się, ale tylko dlatego, że godzina jest przedpołudniowa i nie piłaś jeszcze kawy. W piątek wieczorem wychodzimy - przypomina, a jej głos, w przeciwieństwie do mojego, brzmi dźwięcznie i rześko.

Biuro Jess ma taką zaraźliwą internetową energię. Efekt połączenia współczesnych mebli, wysokiej klasy ekspresu do kawy latte i bilardu elektrycznego. Personel nosi wyłącznie funkowe okulary.

- Jasne.

Chciałabym być teraz w biurze Jess, mieć na sobie dzinsy i sączyć red bulla. Może mogłabym podporządkować się obowiązującym tam normom. Ten styl bardziej mi odpowiada. W jej świecie wręcz zachęca się do wykonywania zwrotów o 180 stopni.

- Jasne? - powtarza zdziwiona.

- No pewnie. Nie mogę się doczekać.

- Serio? A ja myślałam, że będę cię musiała namawiać. Miałam nawet przygotowaną mowę. Chcesz posłuchać?

- Nie za bardzo.

- Na pewno? Jest bardzo inspirująca.
- Już jestem zainspirowana, ale jeśli chcesz, zrobię ci przyjemność i posłucham.
- Nie zmuszaj się. Nie musisz niczego udawać ze względu na mnie.
- Ależ dla ciebie mogę nawet udawać. Czego oczekiwałaś? Że będę za bardzo zrozpaczona? Albo zbyt zajęta pracą?
- Oczywiście, ten drugi wariant. Nie udawałabyś rozpaczy, to nie w twoim stylu.
- Masz rację.
- Em, może nie jesteś jeszcze gotowa na stały związek z Andrew?
- Proszę, zostawmy to. Nie wiem nawet, co to znaczy.
- Czy mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie? Tylko jedno?
- Wal śmiało.
- Czy na pewno dobrze się czujesz?
- Tak myślę. Sądzę, że postąpiłam słusznie. Z korzyścią dla nas wszystkich. Naprawdę.
- Skoro tak mówisz... - Jej ton wskazuje, że nie wierzy mi, ale nie mam czasu teraz się tym zająć. Słyszę, jak mówi do kogoś: - Musisz zrobić na rysunku większe cycki. Mark powiedział, że chce widzieć brodawkę. Będą wyglądać na bardziej zdrowe.
- Nad czym pracujesz? - pytam i jestem wdzięczna, że mogę zmienić temat.
- Nad etykietą witamin dla dzieci.

## 5

Praca wciąga mnie. W ciągu kilku następnych dni Carl stale daje mi cesje Synergonu, niekończące się, paraliżujące zadania, a ja wykonuję je jedno po drugim. Monotonna, przygnębiająca i rytmiczna robota pozostawia niewiele miejsca na myślenie o czymkolwiek. Codziennie spędzam w biurze dwadzieścia godzin. Gdy wstaję z krzesła, wzrok mam szklisty, a w stopach czuję ukłucia setek pinezek albo szpilek. Wszystkie posiłki jem w mojej kwadratowej celi; jedzenie spada z automatu, a jego resztki plamią ważne dokumenty. W firmie prawniczej te ślady są jak honorowa odznaka.

Nie rozmyślam o Andrew. Przeciwnie, tam gdzie myśli i wspomnienia o nim zwykle żyły, czuję pustą przestrzeń. Moje mieszkanie też to odczuwa, odkąd panuje w nim przytłaczająca cisza. Chrupki cherios są schowane w szafce, kłapa od sedesu opuszczona, poduszka Andrew bezpieczna. Na szczęście prawie nie bywam w domu.

Wychodzę wcześniej rano, kiedy ulice są ciche. Hałasują tylko śmieciarki. Ludzie, którzy mieszkają w blokach obok mnie, chodzą o tej godzinie ze spuszczoneymi głowami i podniesionymi kołnierzami. Wszyscy wyglądamy, jakbyśmy coś przeszkrobali. Krótko przed świtem opuszczam biuro, jadę samochodem z przyciemnianymi szybami. Rozglądam się jak ślepiec, mijam ulice o ciemnym, niewyraźnym kształ-

cie. Włazę do łóżka, zbyt odrętwiała, żeby zauważyć nieobecność Andrew, śpię kilka godzin, wstaję i zaczynam wszystko od nowa.

Pewna część mnie rozkoszuje się tym, że mam worki pod oczami, że moje ciało jest obolałe, bo nie ćwiczę. Odkrywam, że mówiąc do kolegów w pracy, kiedy mijamy się w drodze do toalety: „Może dobiję do trzystu godzin w tym miesiącu” albo „Wygląda na to, że znów będę siedziała całą noc”, odczuwam coś w rodzaju dumy. Lubię myśleć, że podziwiają mnie za poświęcenie, ale swoje wiem.

Przekonuję samą siebie, że bawi mnie odgrywanie wielkiej prawniczki w dużym mieście, bardzo zapracowanej, z ciągle dzwoniącym telefonem i okrawkami wczorajszej pizzy na biurku. Jestem kimś, kto przepada za życiem jak w karykaturze.

Ale to kłamstwo, bo prawda jest taka, że źle się czuję z tym wszystkim. Po prostu czuję tylko tępy ból.

- Gotowa? - pyta Mason, zapukawszy uprzednio do moich drzwi, i zszokowany rzuca okiem dookoła.

Moje biuro, zazwyczaj dość uporządkowane, wygląda jak krajobraz po napaści; jakby bandyci po dokonaniu zabójstwa zdemolowali to miejsce dla zatarcia śladów. Widzę po jego minie, że wyczuł też stęchły zapach w powietrzu (to od wczorajszego nocnego obiadu i pewnie dlatego, że od kilku dni nie brałam prysznicu), ale jest zbyt uprzejmy, żeby to skomentować. Patrzy, jakby tego wszystkiego nie widział. Jego włosy, starannie uczesane, są nadal mokre.

- Gotowa na co?

- Na lunch. - Mason poprawia mankiet koszuli, jakby w reakcji na mój bałagan.

- Nie mogę. Przykro mi. Mam mnóstwo roboty. Może dobiję do trzystu godzin w tym miesiącu - mówię, bo są to jedyne słowa, jakie potrafię ułożyć w zdanie.

- Zamknij się. Mówisz jak Carisse. A teraz podnieś swój uroczy tyłek z krzesła. Wychodzimy. A tak przy okazji, wyglądasz i pachniesz jak prezent, który Rambo zostawił mi wczoraj w nocy.

Rambo to baset Masona. Chyba jednak Mason nie jest, mimo wszystko, aż tak uprzejmy, jak mi się wydawało.

- Dzięki.

- Chodź. Idziemy do Charliego. Zamówisz sobie stek, który tak ci kiedyś smakował.

Przepuszcza mnie przodem w drzwiach. Kładzie mi rękę mi plecach i lekko mnie popycha. Jego ruchy są dostosowane do stylu mówienia: zdecydowane i leniwe. Pochodzi z Teksasu i mimo iż ostatnią dekadę spędził na linii Mason - Dixon, nie pozbył się tego powolnego, zmysłowego południowego tempa. Rozczuliłam się, gdy pierwszy raz nazwał mnie „darlin”. Teraz już tego nie zauważam. Czasem, patrząc na Masona, na jego wielkie dłonie, myślę, że to ostatni kowboj w Nowym Jorku.

Wychodzę za nim z biura prosto w słońce. Oczy palą mnie żywym ogniem. Przymykam powieki i zapada kojąca ciemność. U Charliego są czekoladowobrązowe boksy, ściany wyłożone boazerią, kelnerzy noszą zielone aksamitne marynarki. Kocham to miejsce. Uwielbiam przyglądać się biznesmenom, jak z

podwiniętymi rękawami koszul rozgrzebują żeberka na talerzu ze szczodłą porcją oliwek w martini. Charlie stoi za barem i pozdrawia stałych klientów po imieniu.

Mason ciężko opada na ławę w boksie, siadając naprzeciwko mnie. Lubi zajmować dużo miejsca. Myślę, że dopracowane ułożenie mięśni rąk i nóg to jego sposób wyrażania męskości.

- Słyszałem, że pracujesz nad sprawą Synergonu. Moje kondolencje - zagaduje.

- Nie jest tak źle.

- Naprawdę? Co się z tobą ostatnio działo? Zwykle muszę wypraszać cię z mojego biura, żebyś mógł popracować, i nagle zasuwasz jak maniak.

- Wiesz, co to znaczy pracować dla Carla - odpowiadam. - Byłam bardzo zajęta.

Zastanawiam się, czy powinnam mu powiedzieć, że zerwałam z Andrew. Czuję, że gdy powiem to głośno, a zwłaszcza jemu, zabrzmiałoby to bardziej realnie, bardziej oficjalnie. Zawsze miałam wrażenie, że nie lubi Andrew, więc mówienie o tym zabrzmiałoby jak zdrada.

Kilka razy ćwiczę w myślach zdania: „Andrew i ja zerwaliśmy. Zerwałam z Andrew. Prawda jest taka, że zerwałam z Andrew. Zniszczyłam nasz związek”.

- Zerwałam z Andrew - mówię na głos.

- Rozumiem - odpowiada po chwili, jakby potrzebował czasu na wymyślenie tego.

W przeciwieństwie do moich przyjaciół nie uderza w żałobny ton ani nie bombarduje mnie wyrazami współczucia.

- Co się stało?

- Chciał mi się oświadczyć.

Mason kiwa głową, jakby wszystko było jasne. Zna mnie i doskonale rozumie. Wie, że nie oszalałam. Męski instynkt podpowiada mu, żeby nie rozwijać tego tematu.

- Zamówmy coś. - Daje znak kelnerowi i wydaje się, że ten wątek naszej rozmowy został zakończony.

- Dla mnie poproszę podwójnego cheeseburgera z bekonem i talerzyk krążków cebulowych. A dla pani polędwicę i na pocieszenie dodatkową porcję frytek - mówi przeciągle i uśmiecha się do kelnera. - Właśnie złamała serce pewnemu biedakowi.

Gawędzimy o wszystkim, tylko nie o Andrew: o pracy, o Carlu, o Rambo. Rozmawiamy o Laurel, aktualnej dziewczynie Masona, która niedawno bez pytania o pozwolenie dorobiła sobie klucze do jego mieszkania. Na koniec lunchu czuję się wzmocniona zarówno posiłkiem, jak i konwersacją. Po wyjściu od Charliego, stojąc w drzwiach, rozkoszuję się ciepłem słońca na powiekach. Czuję się prawie normalnie.

Gdy wchodzę do mojego biura, uderza mnie smród. Przysięgam sobie, że pójde dzisiaj do domu wcześniej i wyśpię się, a przedtem wezmę długą kąpiel i porządnie się wymoczę (zmyję z siebie wszystko, będę oczyszczona jak majątek spadkowy z długów). Pokrzepia mnie ta myśl. Czar pryska, gdy przed moim biurkiem staje Carisse. Kiwa tą swoją głową lalki, puszkę mózgową ma jak człowiek z Cro-Magnon i cienkie nogi. Właśnie nachyla się do mnie. Najpierw widzę zęby.

- Słyszałam, że Andrew z tobą zerwał. Był do bani. Napaleniec!

Kto używa takich słów jak „napaleniec” po ukończeniu dziewiątej klasy? Właściwie powinnam sprostować, że to ja zerwałam z Andrew. Z zadowoleniem stwierdzam, że nie obchodzi mnie, co ona myśli.

- Powinnaś to usunąć. - Carisse uderza w mój czuły punkt, wskazując na oprawioną fotografię stojącą na biurku. Stoimy z Andrew obok siebie, trzymamy się za ręce, ubłoceni po wycieczce do New Hampshire zeszłego lata. Jeszcze nie zdecydowałam, co zrobię z tym zdjęciem. Czułabym się źle, chowając je do szuflady.

- Pewnie tak.

Chyba smutno wyglądam, bo Carisse uśmiecha się pogardliwie, jakby ograła mnie w tenisa, zdobywając decydujący punkt. Jej wąskie usta wykrzywiły się jak u czarnego bohatera kreskówki. Ciekawe, czy gdybym trzasnęła ją w tę jej lalkowatą buzię, nadal miałaby taką minę.

Czeka na zwierzenia, ale się nie doczeka. Nie jest moją przyjaciółką i nie mam zamiaru się jej zwierzać. Zrozumiawszy to, Carisse zwała na moje biurko stertę akt. Może myślała, że odbędziemy szczerą rozmowę i wypłacę się jej na ramieniu. Czy gdybym tak zrobiła, zabrałaby akta z powrotem?

- Carl chce, żebyś przygotowała te akta dla sądu. Przyślij mi pierwszy szkic. Znajdziesz tu wszystkie informacje.

Szykując się do wyjścia, obciąża przykrótką stalowoszarą spódniczkę, której długość podobnie jak wysokość obcasów jest nieodpowiednia do pracy w biurze. Zatrzymuje się, patrzy na mnie, jakby się nad czymś namyślała.

- Potrzebuję tego o dziewiątej jutro rano.

Gem, set, mecz.

Po wyjściu Carisse pozostał zapach jej perfum. Patrzę na akta i zdaję sobie sprawę, że nie przerzucę tej sterty przed upływem czternastu godzin.

Mam nieuczciwą pracę. Jedynym powodem, dla którego wypisujemy te rzeczy dla sądu, jest to, aby druga strona zmarnowała prawomocne opłaty; dla mnie to nie jest wystarczająco ważny powód, abym zarywała kolejną noc. Mimo że piszę dość szybko (jak tylko potrafię), kończę dobrze po północy.

Przed wyjściem z biura wysyłam SMS do Carisse. Jest wpół do piątej rano. Dobrze jej tak. Przechwala się, że śpi z telefonem pod poduszką. Wyobrażam sobie drgnięcie jej powiek, gdy przyjdzie wiadomość. Głośne piknięcie sprawi, że obślini się jak pies Pawłowa.

Zaczynamy nowy mecz. Piętnaście dla mnie, kochana.

## 6

- Od Święta Pracy ubieram się na biało. Nie przejmuję się. Jeśli chcesz, aresztuj mnie, chcę to mieć za sobą - mówi Jess w piątkowy wieczór i składa ręce jak do założenia kajdanek. Wkroczyła do mojego mieszkania w białej bluzce bez pleców, z zawiązaną na szyi żółtą apaszką, i w obcisłych białych spodniach. Taki strój uchodzi tylko trzem osobom w Ameryce. Jess jest jedną z nich. - „Vogue” twierdzi, że jest to całkowicie dozwolone.

- Od kiedy czytasz „Vogue'a”?

- Nie czytam. Po prostu wymyśliłam to. Wierzysz mi? - pyta.

- Nie - odpowiadam i uśmiecham się.

Jess nawet by nie otworzyła „Vogue'a”, nie zerknęła na zdjęcia, nie mówiąc o naśladowaniu modelek w sposobie ubierania się. Ja, w przeciwieństwie do niej, nie mam własnego stylu.

- W porządku, panienko. Spójrzmy na siebie.

Jess przesuwa mnie w stronę dużego lustra, obejmującego całą postać. Otwiera torebkę z kosmetykami i zaczyna malować moją twarz. Dodaje trochę więcej koloru niż ja. Od lat praktykujemy ten zwyczaj. Jess wie, gdzie przebiega granica, na co jej pozwolę, aby makijaż sprawił, że będę się czuła atrakcyjnie albo żałośnie, i trzyma się tej zasady.

Współpracujemy ze sobą. Ona jest moją osobistą stylistką i dekoratorem wnętrz, a ja jej księgową od podatków.

Jess wyciąga magiczną kredkę i stawia błyszczące kropki nad moimi oczami. Od razu wyglądam na bardziej przytomną. Krótco przed wyjściem stajemy obok siebie i przeglądamy się w lustrze. Fizycznie jesteśmy swoim przeciwieństwem. Ona wysoka i chuda, z kościstymi łokciami i kolanami, ja mam bardziej okrągłe kształty. Ona ma włosy blond, prawie białe, bardzo krótkie, nierówno obcięte, co sprawia, że sama może sobie układać fryzurę. Moje włosy są długie, pokręcone i tak ciemne, że na zdjęciach nie widać ich koloru. Gdy wchodzimy do baru, spojrzenia wszystkich mężczyzn kierują się na nią. Mnie nikt nie zauważa. Nie przeszkadza mi to. Mężczyźni zainteresowani Jess nie interesują się mną i na odwrót. Praktycznie rzecz biorąc, jesteśmy odmiennymi gatunkami kobiet.

Przed wyjściem z domu wypiliśmy po dwa kieliszki taniego wina. Jess bierze mnie pod rękę i chwiejąc się na wysokich obcasach, docieramy do centrum. Zachowujemy się jak nastolatki z college'u, chichoczące i pełne optymizmu. Robimy widowisko, nie zważając na to, czy mamy publiczność.

- Rozmawiałaś z Andrew?

To pytanie sprawia, że cała moja lekkość uchodzi ze mnie jak powietrze z balonika.

- Nie. Nie ma zamiaru dzwonić do mnie. - Wzruszam ramionami, ale czuję się tak, jakby właśnie przekłuła obcasem moją mydlaną bańkę.

- Może powinnaś zadzwonić do niego.

- Nie. Co miałabym powiedzieć?



- Nie wiem. Tęsknisz za nim, prawda?

- Nie wiem. Przez ostatni tydzień byłam tak zajęta, że nawet nie pomyślałam o tym.

- Dlaczego to sobie robisz? - Jess zatrzymuje się na chodniku i patrzy na mnie uważnie.

- Co robię?

- Jesteś swoim najgorszym wrogiem. Znajdujesz przyjemność w doławaniu się. - Kiwa głową z dezaprobatą, jakby usłyszała sprośny dowcip od starego człowieka.

- To nieprawda - protestuję. - To nie było w porządku, Jess. Nie mogę wyjść za niego. Po prostu nie mogę. - Dolna warga zaczyna mi drżeć. Wbijam paznokcie w dłoń, żeby powstrzymać łzy.

- Och, Emily - mówi Jess i obejmuje mnie. Moje pełne imię pobrzmiwa fałszywą nutą w jej ustach. Sięgam jej do ramienia i to mnie dołuje. - Jak to możliwe, że jesteś najbardziej zabawną osobą, jaką znam, i zarazem najbardziej nieszczęśliwą? Czy to cię nie wykańcza? - pyta.

Nie wiem, co odpowiedzieć, więc milczę. Mogłabym obrócić to w żart, nawiązać do króliczka z reklamy baterii Energizer, ale to tylko potwierdziłoby jej rację. Wobec tego resztę drogi przebywamy w ciszy. Cały czas myślę, że powinnam była zostać w domu i oglądać wypożyczone filmy na DVD. Może masturbować się do miniserialowej wersji *Dumy i uprzedzenia*. Trwa ponad sześć godzin.

Byłoby to mniej męczące.

W barze jest pełno studentów i kilku świeżych absolwentów. Dziewczyny mają na sobie dziecięce T-shirty, ozdobione bohaterami kreskówek: Myszka Miki, Supermanem, smurfami. Między bluzeczką a krótką dzinsową spódniczką widać goły brzuch, z kolczykiem w pępku. Mężczyźni w dopasowanych czarnych koszulach, z odpiętymi dwoma górnymi guzikami. Powietrze jest ciężkie od zapachu żelu do włosów.

- Czy mi się tylko tak wydaje, że wszyscy tutaj mają około dwunastu lat? - pyta Jess, a ja jestem zdziwiona, że to zauważyła.

- Mam ochotę zamówić shirley, żeby dopasować się do nastroju.

Przeciska się do baru, zamawia dla nas po wódcę z tonikiem, którą wypijamy w ciągu trzydziestu sekund.

- Teraz tequila? - pyta.

Po trzech kolejkach bar wygląda inaczej. Tęsknię za tym - myślę. Nigdy nie wiesz, kiedy spotkasz kogoś, kto zmieni twoje życie. Nowy Jork z jego możliwościami może być niebezpiecznym miejscem dla nazbyt twórczych osób. Każdy zmierza własną drogą ku przeznaczeniu: mężczyzna w sklepie z żywnością ekologiczną, kupujący „zdrowe” jajka, mężczyzna w garniturze i krawacie, który wpada ci na plecy, kiedy rusza metro, i ten z baczkami i kilkudniowym zarostem, zatopiony w lekturze „The Believer”.

Sytuacja się zmienia, kiedy zerkam na mężczyzn skupionych przy barze. Z krótko ostrzyżonymi włosami i jasnym spojrzeniem wyglądają jak młodzi chłopcy. Czuję, że w tym stroju nie pasuję do tego miejsca. Co ja tutaj robię?

Często mi się zdarza myśleć o sobie, że jestem nieprzystosowana do otoczenia. Mam nadzieję, że później, po latach, moja pamięć, jak historyk (rewizjonista), wyretuszuje dzisiejszą imprezę i wykasuje

moje egzystencjalne niepokoje. Będę pamiętać śmiech i upijanie się z Jess; nie będę pamiętać, że chciałam iść do domu.

Dawno temu, kiedy pierwszy raz wybierałyśmy się do Paryża, przez kilka miesięcy przed wyjazdem, dziko podekscytowane, uczyłyśmy się na pamięć przewodników i podciągały w naszym słabiutkim francuskim. Pamiętam, że dwa dni przed wakacjami urządziłyśmy sobie piknik z bagietkami i serem fromage na trawniku przed kościołem. Czuliśmy się dorosłe, choć nie miałyśmy nawet dwudziestu lat.

Gdy tam siedziałyśmy i entuzjastycznie wyrażały się o tym gorzkim serze, czułam znajome ukłucie rozczarowania. Czy to jest to, na co czekałam? Czy nie powinnam czuć się inaczej? A potem, kiedy tańczyłam w klubie z przystojnym Francuzem i wiedziałam, że wyglądam beztrzesko, a moja młodość jest czymś przyprawiającym o zachwyt, musiałam ciągle powtarzać sobie w myślach jak mantrę: „To jest zabawa, to jest zabawa, to jest zabawa”. Całowanie się „z językiem” pomogło mi stłumić ten głos. Kilka miesięcy później wspominałam te wakacje jak idyllę i żartowałam z mojego miłosnego podboju: miał na imię Jacques. Mam po tej wycieczce miłe wrażenia.

Przyglądam się Jess, która gawędzi z mężczyzną o zrosniętych brwiach, jak u Fridy Kahlo. Klepię ją po ramieniu i mówię, że muszę wyjść na zewnątrz zatelefonować. Łapie mnie za przegub. Mocno.

- Do Andrew?

- Nie.

- Nie rób tego. Jeśli chcesz do niego zadzwonić, poczekaj, aż wytrzeźwiejesz. Zaufaj mi. Jutro mi podziękujesz - mówi.

W sprawie odbywania niebezpiecznych rozmów po pijanemu jest dla mnie autorytetem.

- Chciałam się tylko przywitać.

- Daj mi ten telefon.

Trzymam go w górze. Jess, pomimo kruchości, jest silniejsza ode mnie, mogłaby mi spuścić lanie. Wyłącza komórkę i oddaje mi ją. Widocznie jestem bardzo pijana, bo uznaję sprawę za zamkniętą.

Cztery godziny później, po niezliczonych kolejkach, siedzimy na stołkach barowych i rozmawiamy z „Fridą” i jego przyjacielem. Jak na ironię „Frida” jest malarzem artystą. Jego przyjaciel, którego imienia nie znam albo nie pamiętam, twierdzi, że jest przedsiębiorcą, ale kiedy pytam, w jakiej branży, patrzy na mnie tępo. Podczas rozmowy gapię się na jego brwi, które, w przeciwieństwie do „wąsów” na czole „Fridy”, wyglądają, jakby niedawno zostały wydepilowane gorącym woskiem przez profesjonalistę i uformowane w doskonały łuk.

Kiedy pomieszczenie zaczyna wirować, a ja jestem znudzona wewnętrznymi debatami nad swoim wyglądem, czas iść do domu. Jess, która ma największe libido ze wszystkich osób, jakie znam (nazywa siebie feministką pozytywnie nastawioną do seksu; podejrzewam, że pogląd ten nie ma podłoża filozoficznego), zostaje, prawdopodobnie, żeby nagabywać „Fride”. Podziwiam jej podejście do seksu. Mogłaby się ze mną podzielić odrobiną swojej nonszalancji.

Samotnie idę do domu. W drzwiach pozdrawiam Roberta. Gdy zataczając się, zmierzam do windy, krzyczy za mną, żebym wypła kilka szklanek wody, zanim się położę. Po kilku nieudanych próbach wkładam wreszcie klucz do zamka, wchodzę do mieszkania i wpadam do łazienki.

Rano budzę się na podłodze, z głową spoczywającą na desce od sedesu, zadowolona, że czuję chłód na policzku. W oknie świeci słońce i zwiastuje nowy dzień.

Dawno się tak dobrze nie wyspałam.

## 7

Wszystkich ranię. Nie mogę przejść przez pokój, bo kręci mi się w głowie. Zerkam na zegar i ruch ten, zbyt szybki, powoduje świeży przypływ mdłości. O dziesiątej umówiłam się z dziadkiem w Riverdale. Powinnam była wyjść z domu co najmniej dziesięć minut temu. Cholera! Rozważam odwołanie wizyty, ale nie mogę tego zrobić dziadkowi. Każdemu, ale nie dziadkowi Jackowi. Zawsze mogłam na niego liczyć.

Podnoszę się z podłogi, myję zęby i gulgoczę płynem do płukania ust. Lepiej nie pokazywać się w domu opieki pachnąca tequilą. Nie mam czasu na prysznic, przecieram pachy chusteczką higieniczną Cle-rasil. Szczypie. Chwytam T-shirt, rozwalające się dzinsy ze sterty brudnych ubrań, przerzucam torebkę przez ramię, zbiegam sześć pięter w dół, nie czekając na windę, i jestem na ulicy. Dzisiaj nie będzie zwycięzców w konkursie czystości. Szybkie spojrzenie na zegarek niweczy jakiegokolwiek marzenia o kawie. Nierównym sprintem biegnę do metra. Chyba jeszcze całkiem nie wytrzeźwiałam. Wpadam na peron w chwili, gdy drzwi do wagonów zamykają się. Cholera!

Wsiadam do następnego pociągu, który przyjechał za sześć minut.

- Nie mogę spóźnić się na pociąg do Riverdale - mruczę pod nosem. Może trochę za głośno. Wciąż jestem pijana. Szlag by to trafił!

Ludzie odsuwają się ode mnie, jakby mój stan był zaraźliwy. Chcę im powiedzieć, żeby się nie martwili, nie jestem chora, tylko wczoraj za dużo wypłam, ale zdaję sobie sprawę, że o dziewiątej rano nie znajdę u nich zrozumienia. Chowam głowę w ramionach i w duchu pomstuję na siebie. Pociąg kołysze się, wywołując objawy kaca.

- Emily? - słyszę bezcielesny głos nade mną.

Widzę świeżo wypastowane czarne buty, ale nie podnoszę głowy. To nie dzieje się naprawdę. Wyobrażam to sobie. Boże, proszę, spraw, żeby to mi się przywidziało.

Ciekawe, czy gdybym trzymała głowę w dół i udawała, że nie słyszę, Andrew odszedłby. Zaciskam powieki w nadziei, że gdy otworzę oczy, on zniknie. Nie znika. Nadal jest. Świeżo wypastowane buty. To dzieje się naprawdę.

- Cześć - mówi.

Patrzy na mnie z ciekawością i kuli ramiona. Zgaduję, że próbuje się nie śmiać. Podążam za jego wzrokiem w dół i nagle zdaję sobie sprawę, że mam na sobie jego koszulkę z czasów studiów, gdy należał

do drużyny pływackiej. Obiecał ją wyrzucić, ale tego nie zrobił. W poprzek mojego biustu biegnie wypisany czarnymi literami napis MOKRE OGOLONE BOBRY. Gdy usłyszałam historię tej koszulki, śmiałam się - szkolną maskotką był bóbr; chłopcy z drużyny golili sobie nogi, żeby szybciej płynąć - ale teraz nie było mi do śmiechu. Jediną korzyścią jest to, że osoba pijana nie odczuwa tak boleśnie upokorzenia jak trzeźwa.

- Potrzebujesz pomocy?

Widzę, że bawi go to, ale nie mam pretensji.

- Cholera! - mówię głośno, a to znaczy, że muszę po prostu pomyśleć. - Cholera! - powtarzam, tym razem głośniej, a w duchu nakazuję sobie: Weź się w garść, Emily. - Cześć - mamroczę. - Przepraszam, ale jestem jeszcze od wczoraj pijana.

- Widzę.

- Tequila. Jadę do dziadka Jacka... spóźniona. - Głowę trzymam spuszczoną w dół, żeby uniknąć uczucia wirowania.

- Byłaś wczoraj z Jess, prawda?

Jess jest znana z tego, że wyciąga mnie na imprezy, po których się ślaniam. Ona, zdaje się, uważa, że utrata kontroli nad ciałem jest raz na jakiś czas niezbędna. Według niej wymiotowanie oznacza koniec dobrej imprezy.

- No. Kolejki. A ta koszulka to dlatego, że byłam spóźniona.

Język mnie zawodzi. W głowie mam jasne zdania, ale nie potrafię ich wypowiedzieć.

Andrew siada obok mnie i patrzy zaniepokojony.

- Dobrze się czujesz?

- Dobrze, tylko jestem spóźniona. Jest mi trochę niedobrze.

Głos nagrany na taśmę obwieszcza, że jesteśmy na stacji Grand Central.

- To mój przystanek - mówię, dumna z tego, że ułożyłam całe zdanie, i z ulgą uciekam.

Ku mojemu zdziwieniu Andrew wysiada za mną. Dwa piętra schodów pokonujemy razem. Trzyma mnie pod rękę i pomaga iść prosto. Wchodzimy na główny terminal. Wydaje się dziwnie pusty, prawie kameralny w swoim ogromie. Sufit jakby wisiał niżej niż zwykle. W pustej hali słychać tykanie dużego zegara. Wyobrażam sobie, że w moim obecnym stanie ma to symboliczne znaczenie, ale nie wiem, jakie.

Bliskość Andrew sprawia, że czuję mrowienie w całym ciele. Przestań - mówię sobie. To nie czas na coś takiego. Nagle to mrowienie niepokoi mnie, przypomina o kołyszącym pociągu, zaraz narzygam na buty Andrew. Dostosowuję oddech do zegarowego tik-tak; wdech na „tik”, wydech na „tak” i dzięki Bogu mdłości przechodzą.

- W takim stanie nie możesz nigdzie jechać - mówi.

Mam ochotę powiedzieć coś w stylu: „Nie będziesz mi rozkazywał”, ale powstrzymuję się. Andrew ma absolutną rację. Pozwalam mu skierować się do kawiarni Starbucks.

Prosi mnie o telefon, więc mu go podaję. Od wczorajszego wieczora wciąż jest wyłączony. Pstryknięciem otwiera go i z listy kontaktów wybiera numer dziadka.

- Dziadek Jack? - upewnia się. Nie słyszę, co mówi dziadek, ale pewnie coś wesołego, bo Andrew śmieje się. - Niestety, Emily trochę się spóźni. - Zerka na mnie i marszczy brwi. - Nie, nie, nic się nie stało. Spóźniła się na pociąg. Prawdopodobnie przyjedzie tym o dziesiątej piętnaście.

Przyjadę dziadku. Mam nadzieję, że już niedługo. Pozdrów ode mnie Ruth - mówię w myślach. Andrew rozłącza się i oddaje mi telefon. Patrzy na mnie wzrokiem, który mówi: „Nie wierzę, że właśnie musiałem okłamać dziadka Jacka”. Idzie do baru i przynosi dwa kubki kawy i czekoladowe rogaliki.

- Dzięki - mówię.

Andrew milczy. Siedzi naprzeciwko mnie, ramiona zaczynają mu lekko drżeć, a potem trząść się, jakby łkał. Serce mi krwawi. Nie chciałam go skrzywdzić. Po chwili orientuję się, że on wcale nie płacze, lecz pęka ze śmiechu. Zaczął od chichotu, w przeciągu kilku sekund zwiął się już ze śmiechu, z głową między kolanami. Też zaczynam się śmiać. Nie mogę przestać, jego śmiech był zawsze zaraźliwy. Łzy spływają mi po policzkach.

Opanowujemy się. Wydaje się, że atak śmiechu się skończył, ale wtedy zaczynam czkać i wszystko zaczyna się od początku. Andrew klepie się po udach, ja trzymam się za brzuch. Śmieję się tak, że aż bolą mnie mięśnie twarzy.

Podnoszę wzrok i nasze oczy spotykają się. Przystajemy się śmiać i nastaje niezręczna cisza. Chciałabym, żebyśmy zapomnieli, co się wydarzyło.

- Jak się czujesz? - pytam, żeby przerwać napięcie.

- Dobrze - odpowiada. - Właściwie wspaniale. Naprawdę świetnie.

- To dobrze. Cieszę się.

- A ty? - pyta, jakbyśmy byli zwykłymi sąsiadami, jakbyśmy kilka tygodni temu nie kochali się na podłodze w kuchni. I w wannie. I w przebieralni sklepu Saks.

- W porządku. Zajęta w pracy. Bardzo zajęta. - Otulam dłońmi kubek, żeby ogrzać sobie palce. Kawa parzy mnie w język, gdy upijam łyk.

- Jakaś interesująca sprawa? - Gryzie rogalika. Kawalek ciasta przykleja mu się do ust. On ma zawsze lepkie usta. Chcę mu to zlizać. Zresztą nie pierwszy raz.

- Oszustwo w księgowaniu - kłamię. - Bardzo fascynujące. A ty? Coś ciekawego działo się na ostrym dyżurze?

- Wczoraj odebrałem poród. Było nieźle. Cud życia.

- Rany! - mówię. - O rany!

- No. Chodźmy - mówi Andrew i wstaje.

To sygnał, że rozmowa skończona. Wyrzuca resztki niezjedzonych rogalików do kosza. Nie byłam na to przygotowana, nie skończyłam śniadania, ale idę za nim do głównego terminalu.

- Uważaj na siebie - mówi, zatrzymując się pod dużym zegarem.

Odwracam się do niego. Mam nadzieję, że pocałuje mnie na pożegnanie. Wiem, że to więcej, niż mogę oczekiwać, ale chcę poczuć jeszcze raz jego usta, poczuć, jak Andrew drży z podniecenia. Tylko ten jeden raz. Nie pogardziłabym też cmoknięciem w policzek. Byłoby mi miło.

- Ty też. Dzięki za pomoc - mówię, ale on już mnie nie słyszy. Kiedy podnoszę wzrok, napotykam pustkę. Andrew jest już po drugiej stronie hali, szybko biegnie w stronę wyjścia.

Dom opieki w Riverdale przypomina hotel w Las Vegas. Zdobiony hol, sufity przystrojone złotem, kanapy z rzeźbionymi poręczami, jest nawet recepcja. Na parterze, wokół okrągłego holu, znajdują się kino, jadalnia i kawiarnia. Taki układ sprawia, że znalezienie wyjścia jest prawie niemożliwe. Program telewizyjny wywieszony w windzie atakuje zmysły, zapowiada wydarzenia wymagające czasu i uwagi pensjonariuszy: *Terminator: Nocny film akcji*, *Polityka na Bliskim Wschodzie: Czy jest jakaś nadzieja na pokój?* *101 inwestycja: Jak pomnożyć swoje oszczędności*. Nie wiem, które z tych dwóch miejsc jest bardziej depresyjne: dom opieki czy Las Vegas? I tu, i tam oferuje się podstępny optymizm, na którym kładzie się cieniem przegrana klientów. Ludzie wybierają się do obu tych miejsc, by umierać powolną śmiercią.

Dom opieki jest na swój sposób miłym miejscem. Dziadek mieszka na piętrze „aktywnych seniorów”, w apartamencie z oknami dachowymi. Panuje u niego sterylność czystości, przestrzeń jest efektywnie wykorzystana, urządzenia i meble spełniają wielorakie funkcje, bo tak lubi. Stolik do kawy ma wysuwany blat na gry planszowe, w tosterze można upiec kurczaka z rożna, a w kłapie od sedesu jest zamontowana pozytywka. Kiedy dziadek przeniósł się tutaj kilka lat temu po lekkim wylewie, wydawało się, że jest to przyzwoity kompromis. Przynajmniej z pozoru zachował niezależność. Musi wprawdzie przestrzegać pory wydawania posiłków, jak nowicjusz w college'u, i żyć zgodnie z zaleceniami lekarza, ale na koniec dnia idzie do swojego pokoju i zamyka za sobą drzwi. Był w tym nieugięty - musiał mieć swój pokój i prawo zamykania za sobą drzwi.

Największym minusem tego miejsca jest ciągle obcowanie ze starością i zniedołężnieniem. Mieszkanie dziadka obsługuje ta sama winda, co piętro „stałej opieki”, a to oznacza, że każda jazda w dół przypomina o tym, co nieuchronne. Pewien pensjonariusz z tego powodu prawie nie wychodził ze swojego pokoju. Nikt nie chce widzieć wszechobecnych kroplówek, dyndających jak plastikowe owoce, wielkich pielęgniarek, które opiekują się zasuszonymi staruszkami. Nikt nie chce słyszeć jęków.

Po drugiej stronie holu dostrzegam dziadka Jacka i Ruth, jego sąsiadkę i przyjaciółkę. Macham do nich. Idę po marmurowej posadzce i widzę, jak Ruth szarpie dziadka za rękaw koszuli (w szkocką kratę).

- Piłaś, kochanie? - pyta dziadek, gdy pocałowałam go w policzek. Nos ma czuły jak spec od narkotyków.

- No, kilka kolejek tequili zeszłej nocy. Przepraszam, dziadku.

- Wiedziałem. Dlatego się spóźniłaś, prawda? Trzymałaś głowę w sedesie?

- Coś w tym stylu.

- Dzięki. Właśnie zarobiłem trzydzieści dolarów. Ruth? - Wyciągnął dłoń.

- O czym ty mówisz? - pytam.



- Założyłem się z Ruth, że nie uciekł ci żaden pociąg, a ona na to, że nie okłamałabyś mnie. Ja znam cię trochę lepiej. - Uniósł czapkę chłopca hotelowego w moją stronę (pozostałość z młodzieńczych czasów).

Kusi mnie, żeby mu ją skraść, tak jak kiedyś płaszcz Burberry. Wiem, że nie miał mi tego za złe. Powiedział, iż cieszy go to, że jego ciuchy jeszcze raz przeżywają przygody na Manhattanie.

- Przepraszam - mówię do Ruth i obejmuję ją. - Uczyłam się od najlepszych.

To nie przesada. Wszystko, co wiem o życiu, nauczył mnie dziadek Jack. Zawiązywać buty, zawsze mieć przy sobie książkę, mówić „proszę” i „dziękuję”, sprawdzać stan konta, świadomie fantazjować, pytać o istnienie Boga, uśmiechać się przez łzy. Być widoczną.

Kiedy byłam dzieckiem, był w realnym świecie moją ulubioną postacią, tak jak mama. Prawdziwy superbohater: pojawiał się i znikał, w zależności od potrzeby. Gdy oblałam test na prawo jazdy, gdy usunięto mi wyrostek robaczkowy, gdy w szóstej klasie Toby Myers obwieścił wszem wobec, że mam owłosioną górną wargę, i doprowadził tym do łez, był przy mnie i łagodził ból. Podobnie jest teraz.

Mama zawsze powtarzała, że dziadek zmienił się, gdy ja się urodziłam; nieśmiały sześćdziesięciolatek stał się mężczyzną. Nie jestem pewna, kim był dla mojego ojca, kiedy on dorastał; może był chłodny, zajęty, podobnie jak mój ojciec teraz, ale w moim życiu, zwłaszcza odkąd mama nie żyje, dziadek Jack był tą osobą, która dbała o to, żebym nie stała się nieznośną jedynaczką. Dzięki niemu czułam się mniej samotna.

Zostawiamy za sobą dom opieki. Dziadek idzie w środku, Ruth i ja trzymamy go pod rękę. Wychodzimy na świeże powietrze. Idziemy powoli. Od czasu do czasu, porozumiewając się bez słów, oboje zatrzymują się dla nabrania tchu. Jestem pewna, że to dziadek ma kłopoty z oddychaniem, a nie Ruth, ale nie pytam. Na szczęście nie musimy iść daleko, restauracja jest na rogu. Nie trzeba mi przypominać, jaki jest słaby. Myślę o tym codziennie.

Dziadek i ja stawiamy czoło statystykom. Od dziadka, który przez pewien czas zajmował się tą profesją, uczyłam się sporządzać tabele, ale liczby nie trzymały się kupy.

Chłodna kalkulacja podpowiada, że nie pociągnie długo, a ja czuję, że wprost przeciwnie.

Nie wyobrażam sobie życia bez dziadka Jacka.

Wchodzimy do restauracji, zajmujemy czerwony winylowy boks, zamawiamy kawę. Często tu bywamy, bo jest to miejsce, gdzie można się poczuć jak gdziekolwiek w Ameryce i na świecie; ta niejednoznaczność sprawia, że mamy wrażenie, jakbyśmy byli tysiące kilometrów od Riverdale. Dziadek wyraźnie zmizerniał, więc zmuszam go do zamówienia koktajlu truskawkowego. Musi się pochylić, żeby upić łyk z wysokiej szklanki. Z różowym wąsem nad górną wargą wygląda uroczo, jak małe dziecko. Ostatnio postarzał się. Skóra obciągnięta na kościach policzkowych tworzy pod nimi głęboki, zapadnięty krater, akceptowalny jedynie na twarzach supermodelek w latach osiemdziesiątych.

- Gdzie jest Andrew? - pyta dziadek.

Andrew często przyjeżdżał ze mną do Riverdale i w czwórkę graliśmy w pokera przez cały dzień. Dziewięć razy na dziesięć Ruth nas ogrywała.

- Zerwaliśmy.

- Dlaczego? - Dziadek prostuje się i wpatruje we mnie.

- No wiesz, takie rzeczy się zdarzają. A co u was?

- Przestań, Emily. Nikogo nie interesuje, jak Ruth i ja uczyliśmy się wczoraj robótek ręcznych. Ty mów. Dobrze się czujesz?

- Nie ma o czym, a czuję się dobrze. Czasem znajomość się kończy.

- Co się stało? - pyta.

- Nic - odpowiadam.

- Zerwanie to coś więcej niż nic - mówi.

- Zostaw ją, Jack - prosi Ruth i upija łyk jego koktajlu.

W przeciwieństwie do dziadka Ruth świetnie się trzyma. Jest dobrze po osiemdziesiątce, ale wygląda młodzieńczo, a nawet seksownie. Ma na sobie kostium boucle od Chanel, włosy spryskane lakierem tworzą platynowy hełm na głowie. Domyślam się, jak wyglądała przed laty: jak piękna królowa balu maturalnego. Nie wyobrażam sobie, że mogłaby być jeszcze urodziwsza, niż jest teraz. Ma ten typ urody, że nie można od niej oderwać wzroku. Chciałoby się zgłębić każdą zmarszczkę i plamkę na skórze, wskazać bliźnię na szyi, jak nowy kochanek, i powiedzieć: „Opowiedz mi jej historię”.

Nie wiem, co łączy Ruth i dziadka Jacka. Czy coś więcej niż przyjaźń? Tak czy siak dziadek wygrał los na loterii. Ruth Wasserstein jest żywą legendą. Zasiadała w drugim obwodzie sądowym, min. stanu Nowy Jork, przez czterdzieści lat. Była nawet mowa o nominacji do Sądu Najwyższego. (Opowiada o tym: „Przegrałam z inną Żydówką o imieniu Ruth”). Dziadek żartuje, że nie wierzy, iż jest tą sławną Ruth Wasserstein, bo jest zbyt wesoła jak na sędziego. Wtedy ona mówi: „Sprzeciw, Wysoki Sądzie”.

- Och, daj spokój, nie męczę jej. To ważne. Chcę wiedzieć, co się stało. Czy to on zerwał z tobą? Wpadł w popłoch? Jeśli tak, połamię mu nogi. Albo wynajmę płatnego mordercę. Ma się te kontakty.

- Dziadku, nikogo nie trzeba zabijać. To ja z nim zerwałam.

- Poważnie? - Dziadek Jack i Ruth pytają jednocześnie.

- No, poważnie.

- A wydawał się takim miłym młodym człowiekiem... - Ruth kiwa z niedowierzaniem głową.

- I w klubie zapłacił za piwo z góry za miesiąc dla mnie. Myślisz, że teraz to odwoła? - pyta dziadek.

- Jack - mówi ostrzegawczo Ruth.

- Spokojnie, żartowałem. Choć ten porter morelowy był całkiem niezły. Prawda, Ruthie?

- Był. Emily, mam nadzieję, że nie będziesz mi miała za złe, jeśli zapytam, dlaczego z nim zerwałaś. Wydawał się idealny dla ciebie. Nie znajduję słów, tak jestem tym poruszona - mówi Ruth.

- Wiesz, nigdy nie zamierzaliśmy się pobrać. Wydaje się, że to była najlepsza chwila na zakończenie znajomości - wyjaśniam.

- Chciał się oświadczyć? - mówi domyślnie dziadek Jack.

- Co? Skąd, do diabła, o tym wiesz?

- Powiedział mi. Właściwie poprosił mnie o twoją rękę. Powiedziałem, że powinien ci się oświadczyć.

- Co powiedziałeś? Dziadku, dlaczego mnie nie uprzedziłeś? Dlaczego mnie nie ostrzegłeś? Nie mogę uwierzyć.

- Myślałem, że wolałabyś być zaskoczona. Czy powinienem był powiedzieć: „Nie”? Jak mógłbym odmówić takiemu gościowi? Przykro mi, Emily, ale on jest wspaniały. Dzisiaj większość chłopców nie wyrasta na mężczyzn. Jego rodzice odwalili kawał dobrej roboty.

- Lubisz go, bo jest lekarzem - stwierdzam.

- Nieprawda. Andrew jest dobrym chłopcem. Zadał sobie trud, przyjechał tutaj i poprosił mnie o twoją rękę.

- Przyjechał tu? Do Riverdale? Kiedy?

- Nie pamiętam dokładnie. Może w zeszłym tygodniu.

- Poprosił cię o zgodę na nasz ślub - mówię beznamiętnie, bo wiem, że nie mogę obwiniać dziadka o taki obrót sprawy. To moja wina. Moja decyzja.

- No. Nie zapominaj o piwie. To zaważyło.

- A co powiedział?

- Nie będę was okłamywać. Był zdenerwowany. Ledwo mógł mówić, ale był uprzejmy i poważny.

- Siedzieliśmy jak na szpilkach, czekając na telefon z wiadomością, że się zaręczyliście - mówi Ruth. - Byliśmy tacy podekscytowani.

Oboje patrzą na mnie. W oczach wciąż mają cień nadziei. Jakby to był jakiś żart z mojej strony i Andrew zaraz tu wkroczy. Czuję ciężar winy. Ostatnio rozczarowałam wiele osób.

- Przepraszam. Po prostu nie mogłam. Nie chciałam was zmartwić.

- Nie zmartwiłaś. Lubiłem go, tylko tyle, kochanie. Przez ostatnie dwa lata, kiedy byłaś z nim, byłem o ciebie spokojny. Dbał o ciebie - mówi dziadek Jack. - To wszystko.

- Mogę sama zadbać o siebie. Jestem dorosła - usprawiedliwiam się jak szesnastolatka, która doprasza się przyzwolenia na prowadzenie samochodu. - O Boże, nie wiesz, czy pytał mojego ojca?

- Nie sądzę. Rozmawiałem z Kirkiem kilka dni temu i nic o tym nie wspominał, a ja mu nie powiedziałem - odpowiada dziadek Jack.

- Boże! Proszę, nie! Nie jestem jeszcze gotowa, żeby powiedzieć o tym ojcu, rozumiecie?

- Nie ma sprawy. Emily?

- Tak?

- Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa.

- Wiem, dziadku.
- Martwi mnie, że nie radzisz sobie z tym - mówi.
- Czuję się dobrze, naprawdę. Jestem szczęśliwa.
- Jesteś kupą nieszczęścia - mówi dziadek Jack i nie brzmi to nieuprzejmie.
- Co robić? Uczyłam się od najlepszych. Dziadek nagle poważnieje i kiwa głową.
- Czy to znaczy, że nie możemy go już zaprosić na pokera? - pyta.
- Chyba nie - wyjaśniam.
- Cholera - mówi z zalem Ruth - tak łatwo było go ograć!
- Wiem - mówi dziadek. - I nie było to uczciwe.

Po kilku godzinach odprowadzam Ruth i dziadka pod ich drzwi, mieszkanie PH1 i PH2.

- Na razie, Emily - mówi dziadek i całuje mnie na pożegnanie. - Pozdrów ode mnie... - Przerywa w połowie zdania i zawiesza głos.

- Dziadku?
- Pozdrów ode mnie, no wiesz, jak on się nazywa...?
- Kirk - mówi szybko Ruth. - Pozdrów Kirka.
- No i powiedz mu, że powinien mnie odwiedzić za jakiś czas - dopowiada dziadek.
- Oczywiście, dziadku - mówię. - Powiem.

Dziadek idzie do siebie położyć się, a Ruth zaprasza mnie na herbatę. Mówi, że rozgrzeje mnie przed drogą powrotną. Jestem szczęśliwa, że mogę spędzić u niej trochę czasu. Kocham jej mieszkanie, ponieważ jest krańcowym przeciwieństwem mieszkania dziadka. Wszystkiego tutaj jest za dużo. Zamiast jednej lub dwóch ulubionych fotografii zdjęcia pokrywają całą powierzchnię ściany. Kwiecista kanapa do połowy jest przykryta narzutą jednobarwną, a od połowy - we wzorki, bo Ruth nie mogła się zdecydować, którą woli. Cztery zegary, same antyki, hałaśliwie celebrują mijające godziny.

Sypialnia Ruth wygląda jak muzeum. Podchodzę do regału z książkami. Jest przeładowany i pełen skarbów: są tam pierwsze wydania, pisarze, których utwory zawsze chciałam przeczytać, rozprawy Ruth. Podążam wzrokiem za rzędem fotografii; troje jej pociech jako dzieci i później, jako dorośli i rodzice. Moje ulubione zdjęcia przedstawiają Ruth jako młodą kobietę w czarnej todze. Na jednym z nich ma gładką skórę, włosy są dłuższe i upięte w kok. Uśmiech jest ten sam: widać dwa przednie zęby nachodzące na siebie.

- Byłam tuż po czterdziestce, kiedy było zrobione to zdjęcie - mówi Ruth i stawia na stole tacę z herbatą. - Nie wiem, co jest dla mnie trudniejsze: uwierzyć, że kiedyś byłam taka młoda, czy to, że teraz jestem taka stara.

- Nadal świetnie wyglądasz.
- Dzięki, kochanie. Posłuchaj, przykro mi z powodu Andrew. Nie chciałam zrobić ci przykrości.
- Nic się nie stało.

- Jeśli kiedykolwiek będziesz chciała pogadać, jestem tutaj. Wiem, że rozmawiasz o tych rzeczach z dziadkiem, ale gdybyś potrzebowała kobiecej rady...

- Dzięki, doceniam to.

Patrzę na inne zdjęcie Ruth. Można by je podpisać: *Macierzyństwo*. Ma na nim około dwudziestki, takiej jej nigdy nie widziałam, i tuli do siebie niemowlę.

- To moja Sarah. Była ślicznym dzieckiem.

- Słodki dzidzius.

- Jest prawnikiem w Waszyngtonie. Szykuje się na emeryturę. Kończy karierę, podczas gdy ty zaczynasz. - Patrzy na zdjęcie, potrząsa głową i odkłada z powrotem na obramowanie kominka. - Posłuchaj, chciałabym porozmawiać z tobą o Jacku, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Czy nie wydaje ci się, że jest inny niż ostatnio?

- Nie sędzę. To znaczy może szybciej się męczy. Pomyśl, że zajmujecie się robótkami na drutach, jest przygnębiający. O co chodzi?

- Nie wiem. Wydaje się trochę zagubiony. Zapomina, gdzie co położył...

- Myślę, że to dziedzictwo Prattów. Zachowuję się dokładnie w ten sam sposób. Kiedyś wyszłam z toalety z bielizną na wierzchu. My, Prattowie, jesteśmy ekscentryczni. Sędzę, że o to chodzi.

- Może, ale...

- Powiedziałby mi, gdyby źle się czuł. Lekarz, gdy byliśmy ostatnio u niego, powiedział, że Jack może tracić pamięć. W tym wieku należy się tego spodziewać.

- Ale, Emily...

- Przyszędłby do mnie, gdyby coś było nie tak, Ruth. Dziadek czuje się dobrze.

Ruth wyczuwa, co naprawdę chcę powiedzieć: „On musi czuć się dobrze. Po prostu musi”.

- Dobrze. - Macha ręką, jakby mówiła: „Nie zwracaj na mnie uwagi”.

Kończymy herbatę w cudownie cywilizowany sposób. Ruth opowiada o czasach, gdy była jedną z czterech kobiet na wydziale prawa. Gawędzimy, plotkujemy, śmiejemy się i ani słówkiem nie wspominamy o dziadku Jacku.

Dwa tygodnie później stoję z Carlem MacKinnonem na lotnisku Linii Kontynentalnych w Newark. Niosę laptopa, torbę przewieszoną przez ramię, piętnaście segregatorów z zeznaniami i wlokę walizkę z utraconym kółkiem. Jest czwarta trzydzieści rano. Ramiona bołą mnie od nadmiaru bagażu. Obawiam się, całkiem serio, że zaraz zasnę na stojąco. Głowa opada mi na jedną stronę, czuję ślinę zbierającą się w kąci-ku ust. Pozostawia białawy ślad, gdy wycieram ją rękawem kostiumu.

Kiedy przychodzi nasza kolej do kontroli biletów, kobieta stojąca za blatem promiennie się do nas uśmiecha, mimo okrutnie wczesnej pory. Próbuję zgasić jej entuzjazm, ale nie mam dość energii i tylko burczę coś pod nosem. Zaczynam opowiadać, że lecimy do Little Rock w stanie Arkansas, ale Carl mi przerywa.

- Zaszła pomyłka - mówi, starannie wypowiadając każdą sylabę. - Moja koleżanka ma miejsce w klasie turystycznej. Natychmiast żądam dla niej miejsca w pierwszej klasie, obok mnie.

Funkcjonariuszka wyczuwa wagę sprawy, więc wściekle wali w klawiaturę. Nie odzywam się, bo nie było żadnej pomyłki. Miałam zarezerwować bilety lotnicze, a sekretarka Carla - hotel. Celowo zabu-kowałam bilet dla siebie w klasie turystycznej, a dla Carla w pierwszej. Niska cena za spędzenie czasu bez niego.

- Przepraszam pana, nie ma wolnych miejsc w pierwszej klasie - mówi kobieta.

Wstrzymałam oddech. Perspektywa spędzenia trzech i pół godziny obok Carla jest nie do zniesie-nia.

- To nie do przyjęcia! - Carl podnosi głos i uderza dłonią w blat. - Przelatuję tymi liniami ponad sto sześćdziesiąt tysięcy kilometrów rocznie. Jak się pani nazywa? Żądam rozmowy z kierownikiem.

Rzuca różne rodzaje plastikowych kart na blat. Platynowa dla częstego użytkownika tych linii, czarna American Express, błyszcząca klubu admirałów. Kobieta gwałtownie wystukuje coś na klawiaturze. Na jej czole pojawia się kroplisty pot.

- Wygląda na to, że coś się znalazło, proszę pana. Przepraszam za kłopot. - Drukuje bilet dla mnie. - Niestety, dodatkowa opłata wynosi dwieście sześćdziesiąt dolarów. Może być?

- Oczywiście - odpowiada Carl.

Podaje jej kartę kredytową i mruga do mnie. Wycieczka jest na koszt Synergonu.

- Państwa miejsca to 1A i 1B. Życzę bezpiecznego lotu.

I tak skończyła się moja wolność. Na moim bilecie jest znaczek dla ochrony, na bilecie Carla go nie ma. Oznacza to, że zanim wsiądę do samolotu, mój podręczny bagaż zostanie przeszukany. O ironio! Ona naprawdę myśli, że z nas dwojga ja mogłabym być terrorystą! Może to kara dla mnie za podróżowanie z takim dupkiem.

Carl robi mi wykład o asertywności, mówi, że bez tego daleko nie zajdę w dzisiejszym świecie. Jest jasne, że dowartościował się przez tę awanturę o bilety i poprawił sobie nastrój. W hali dworca zatrzymu-



jemy się na śniadanie. Carl nie przestaje gadać. Jego osobowość wydaje się niespójna. Zwykle nokautuje ludzi swoją agresją, ale siedząc teraz obok mnie na połączonych plastikowych krzesłach, żonglując obwarzankami i kawą, zachowuje się normalnie, po przyjacielsku, jakby cieszył się, że spędzi trzy dni ze mną w Arkansas.

Ja wprost przeciwnie. Wizja przebywania dwadzieścia cztery godziny na dobę tylko z Carlem wcale mnie nie cieszy. Po przylocie pojedziemy do Arkadelphii (to miejsce na końcu świata, nie ma go nawet w ofercie Expedii; odkryłam to, szukając hotelu) i spędzimy trzy dni na nudnej konferencji, spisując zeznania pana Jonesa. Plan jest następujący: przepytać go na temat obrzydliwych okoliczności śmierci jego żony. Przypuszczam, że słowa Carla brzmiały: „Doprowadzimy go do łez”. A jutro będzie jeszcze gorzej. W południe przyleci Carisse.

Kiedy szykujemy się do wejścia na pokład, ochrona lotniska odprowadza mnie na bok i ku uciesze wszystkich stojących w kolejce otwiera mój bagaż. Przyglądają się, jak ochroniarze, posługując się specjalnym aparatem, przeszukują moją bieliznę. Cieszę się, że ich rozczaruję. Teraz wszyscy wiedzą, że a) biorę tabletki antykoncepcyjne, b) kupuję bawełniane figi przez Internet.

Jeśli nie liczyć poniżenia, jakie zafundowali mi ochroniarze, lot przebiegł stosunkowo gładko. Załedwie kilka turbulencji i wiele hałasu o zapinanie pasów. Carl zostawił mnie w spokoju, zadowolony, że może wykonywać swoją robotę. Też jestem zadowolona, bo mam spokój. W związku z tym, że Carisse przybędzie tu dopiero jutro rano, ja będę spisywać zeznania. Wyznaczono mnie też do przedstawienia streszczenia wniosku dla sądu. To wielka rzecz. Jeśli wygramy - to znaczy Synergon - do procesu nie dojdzie. Fabryka nic nie wypłaci ludziom z Cado Valley. Za to wyda mnóstwo pieniędzy na wynagrodzenia dla naszych prawników. Naszych, mam na myśli APT.

Nie jestem fanem tej sprawy, ale pisanie mowy dla sądu to dla mnie pierwsza okazja od prawie pięciu lat, odkąd pracuję w firmie, do pokazania współpracownikom, że mam mózg i potrafię robić coś więcej niż sprawdzać dokumenty w sali rozpraw. To prawdziwa robota dla prawnika; moja robota. Zamierzam porządnie się tym zająć.

Kiedy wysiadamy z samolotu, natychmiast staje się oczywiste, że jesteśmy daleko od Nowego Jorku. Wszystko dzieje się tutaj wolniej. Zmiana tempa przynosi ulgę. Przeciąganie samogłosek, typowe dla Południa Stanów, ma też wpływ na Carla - cudownie go uspokaja. Nawrzeszczał na panią z linii kontynentalnych, przy obwarzankach stał się niemal przyjacielski, a teraz prawie mi bliski. Można by pomyśleć, że przybyliśmy do Arkansas odbyć mecz golfa, a nie „rozwalić pana Jonesa” (to słowa Carla, nie moje).

Chłopcom w wypożyczalni samochodów znalezienie naszej rezerwacji zajęło dwadzieścia minut. Carl powstrzymał się od robienia afery. Czarna karta American Express wystaje z portfela, ręce trzyma w kieszeniach spodni. Gawędzi ze mną i nazywa mnie dzieciakiem. Na przykład w zdaniu: „Czyż nie jest przyjemnie wyrwać się z miasta, dzieciaku?”. Albo: „Mam nadzieję, że szefowie nie kazali ci ostatnio pracować za dużo, dzieciaku”.

Uśmiecham się i nie zważam na tę jego protekcjonalność. Czuję się tu inaczej. W rzadszym powietrzu jest jakby więcej przestrzeni między słowami, krokami, oddechami.

Droga do Arkadelphii wiedzie prosto jak strzeł. Jedziemy przy otwartych oknach. Rozkoszuję się ciszą: nie ma klaksonów, tupotu tysiąca stóp, żadnych ciężarówek, na które coś się ładuje i wyładowuje z nich. Trasę przez to pustkowie można by zdefiniować na podstawie tego, czego tu nie ma.

Nie ma drapaczy chmur ani centrów handlowych. Nie napotykamy żadnego samochodu, nie mówiąc o McDonalddie. Jest tylko ziemia, brązowa, w kolorze przypalonego ciasta, sporadycznie na horyzoncie jakaś kolcowata roślina, jak kropka. Tylko Carl i ja na pustej drodze, z łokciami wystawionymi za okno, na działanie powietrza.

W końcu skręcamy z autostrady na parking przy Hampton Inn. Wyjazdy służbowe mają dla mnie jedną korzyść: mogę zatrzymać się w pięciogwiazdkowym hotelu, na przykład Ritz lub Four Seasons, czyli w miejscach, gdzie moja noga nigdy by nie stanęła, gdybym miała zapłacić rachunek za nocleg. W Arkadelphii jest to jedyny hotel oprócz Motelu Six. Zgaduję, że w czasie tej wycieczki nie dodam minimydełka do mojej kolekcji, nie będę spała nago pod prześcieradłem i co najsmutniejsze - nie zamówię kolacji do pokoju, żeby nie jeść jej z Carlem.

Wchodzimy do hotelu - betonowego budynku w kształcie prostokąta, który równie dobrze mógłby być szkołą. Również zapach jest podobny - stołówkowy, hamburgerów podawanych z małymi ziemniaczkami. Chłopak za kontuarem ma świeżo ułożone włosy, identyfikator z napisem „Bob” i koszmarny trądzik, na który nie można się nie gapić. Nad górną wargą sypie mu się wąs. Znad opuszczonych poniżej bioder spodni wystają bokserki marki Calvin Klein i z jakiegoś powodu wprawia mnie to w zakłopotanie.

- Witam państwa w Hampton Inn - mówi.

- Rezerwacje na nazwisko MacKinnon - rzuca Carl.

Jego głos jest ponownie oficjalny, protekcjonalny.

- Pokój z podwójnym łóżkiem, zgadza się? - pyta Bob.

Carl nie odpowiada. Przeciwnie, wpatruje się z zainteresowaniem w brud za swoimi paznokciami.

- Och, nie - prostuję. - Rezerwacja była na dwa pokoje.

- Chwileczkę, zerknę do komputera, ale wydaje się, że rezerwacja była na jeden pokój - odpowiada Bob. Powoli stuka w klawiaturę, nie zwracając uwagi na dzwoniący telefon.

- Możliwe. Prosimy jednak o dwa pokoje, bez względu na rezerwację - mówię. - Proszę - dodaję z naciskiem, jakbym chciała powiedzieć, że negocjacje nie wchodzą w grę.

Bob ponownie stuka w klawiaturę, przesuwa listę na monitorze komputera.

- Nic nie poradzę, młoda damo. Wszystko zarezerwowane. Przyjechało do nas wesołe miasteczko - wyjaśnia.

- Ale ja mam rezerwację - upieram się.

- Nic się nie da zrobić, młoda damo - powtarza.

- Pan chyba nie rozumie. Potrzebne nam są dwa pokoje. Mam rezerwację.

Dlaczego Carl mi nie pomaga? Gdzie jest jego czarna karta AmEx? Czuję, że puszcza mi nerwy, zaraz się rozplącę, i jeszcze na dodatek ta „młoda dama” Boba i „dzieciak” Carla.

- To jest nie do przyjęcia - mówię, naśladując ton Carla.

Bob uśmiecha się krzywo, dając do zrozumienia, że ani trochę się mnie nie boi.

- Przykro mi, ale w komputerze jest rezerwacja na jeden pokój z podwójnym łóżkiem - mówi i odwraca monitor w moją stronę. Muszę stanąć na palcach i przechylić się przez blat, żeby zobaczyć ekran. - Proszę spojrzeć, tu jest adnotacja, że zamówiliście pokój z podwójnym łóżkiem, a nie dwa oddzielnie - wyjaśnia Bob. - Nic nie mogę zrobić.

Łzy natychmiast przeradają się w złość. Spoglądam na Carla. Nadal nie włącza się do rozmowy, udając, że przegląda broszurę o Bibliotece Clintonów.

- Carl? - Wciąż mam nadzieję, że mi pomoże. Łudzę się, że nie zrobił tego celowo, że sekretarka pomyliła się. Nie ma sensu krzyczeć na recepcjonistę. Naraziłabym się na jego lekceważący śmiech albo nawet drwinę. Carl zwyczajnie mnie ignoruje, zapatrzonego w fotografię Clintona z Fleetwood Mac.

- Chcę rozmawiać z twoim szefem - mówię twardo.

- Ja tu jestem szefem - wyjaśnia Bob i uśmiecha się. Bawi go ta słowna przepychanka. Ustawienie mnie, przemądrzałej kobiety z Północy, na właściwym miejscu sprawia mu prawdziwą przyjemność. Mogłabym być jego matką. - Przykro mi, nic nie mogę zrobić.

- A jak wygląda sytuacja w motelu? - pytam. - Masz do nich telefon?

- Wszystko mają zajęte. Odsyłają gości do nas - mówi Bob, dumny, że pracuje w drugim pod względem ważności miejscu w Arkadelphii.

- Och, daj spokój, Em - wtrąca się wreszcie Carl, wypychając broszurę do tylnej kieszeni. Odkąd nazywa mnie Em? - Przecież to żaden problem, prawda? Oboje jesteśmy dorośli. - Mruga do Boba i Bob szybko podaje mu klucz.

Nie mam nic do powiedzenia. Jestem zgubiona. Nie dano mi wyboru. Byłoby dziecinadą nadal się upierać. Carl nie jest głupi, w życiu się nie przyzna, że nie było żadnej pomyłki.

- Będzie potrzebne łóżko polowe - mówię, próbując uratować resztki godności, jakie mi pozostały. Bob zerka na mnie i podciąga bokserki.

- Wiadoma rzecz - powiada i staje się dla mnie jasne, że dopóki on ma służbę, nie będzie żadnego łóżka polowego.

Cztery godziny później, w połowie spisywania zeznań, zdaję sobie sprawę, że jest jeszcze gorzej, niż sądziłam. Nie spakowałam pizamy.

Oddycham głęboko. Wdech, wydech. Jest z nami dziennikarz sądowy, który nagrywa każde moje słowo. Jąkanie też zostanie zapisane dla potomności. Mówię sobie: Zapomnij o tej nieszczęsnej rezerwacji. Skup się na zeznaniach. Rób swoje. Bądź profesjonalistką.

Siedzimy przy długim prostokątnym stole, który ledwo mieści się w dusznym kwadratowym pokoju. Krzesła ocierają się o ściany, kolana muskają kolana sąsiadów. Nie rozumiem, dlaczego umieszczono nas w tym pokoju. Czyżby to jakiś prawniczy trik, żeby nas zbić z pantafelku?

Pan Jones siedzi naprzeciwko mnie. Posłusznie, a nawet z szacunkiem odpowiada na moje pytania. Grube okulary w plastikowej brązowej oprawce opadają mu na nos, przykrótkie rękawy sportowego płaszcza odsłaniają nadgarstki. Zwraca się do mnie: „proszę pani”, często kiwa głową, jakby chciał pokazać, jaki jest chętny do współpracy.

Zerkam w notatki i próbuję się skupić. Zadaję głupie pytania, bo w głowie układam sobie streszczenie wniosku dla sądu. Carl chce, żebym przygotowała typową mowę oskarżycielską. Moim celem jest dowiedzieć, że nowotwór pani Jones spowodował tuzin innych przyczyn, a nie zanieczyszczenie rzeki przez Synergon.

- Ile ważyła pana żona, panie Jones?
- Sto czterdzieści kilogramów.
- Czy lekarz mówił, że powinna schudnąć?
- Sprzeciw. Nie ma to związku ze sprawą.
- Proszę odpowiedzieć, panie Jones.
- Tak.
- Czy schudła?
- Nie.
- Czy chodziła na aerobik?
- Nie.
- Czy ćwiczyła w domu?
- Nie. Mówiła, że żyje się tylko raz. Szkoda tracić czas na ćwiczenia.
- Paliła papierosy?
- Tak, ale rzuciła, jak Sue Ann schowała jej papierosy.
- Jak długo paliła?
- Piętnaście lat.
- Jak wyglądało państwa typowe śniadanie, kiedy żona żyła?
- Bekon i jajka. Czasem kielbaski.
- Czy to prawda, że Caddo Valley słynie ze smażonych batonów Mars?
- Tak, proszę pani. Musi pani spróbować, kiedy jest pani tutaj.
- Dziękuję panu. Spróbuję. Czy mieszka pan niedaleko fabryki silników napędowych FarmTech?
- Tak.
- Czy może pan powiedzieć, jak daleko?
- Niedaleko. Około czterystu metrów.
- Czy właścicielem tej fabryki jest Synergon?

- Nie, proszę pani. Nie sądzę.

Wstyd się przyznać, ale idzie mi jak po maśle. Jestem w tym dobra. Przypieram pana Jonesa do muru i uzyskuję korzystne dla nas odpowiedzi. Chyba spisuję się jak należy, bo Carl pozwala mi kontynuować przedstawienie. Odczuwam satysfakcję. Mój autorytet ucierpiał po takim nagłym porannym zlekceważeniu przez pracownika hotelu. Mówię sobie, że „młoda dama” nie oszczędza setek milionów dolarów ich klientów.

- Panie Jones, proszę mi powiedzieć, czy w rodzinie pańskiej żony ktoś chorował na nowotwór.

- Sprzeciw, nie ma związku ze sprawą.

- Może pan odpowiedzieć, panie Jones.

- Tak, proszę pani. Oboje rodzice żony mieli nowotwór. Zmarli w ciągu dwóch lat.

Strzał w dziesiątkę. Czuję prawdziwą dumę, aż do chwili, kiedy przechwytuję spojrzenie pana Jonesa. Po prostu patrzy na mnie. Smutny i jakby zmieszany.

- Podobało mi się, kiedy zmusiłaś skurwysyna, żeby powiedział o nowotworach w rodzinie. Świetny argument! Te skłonności są dziedziczne - mówi Carl. Tryska energią jak dwunastoletni chłopiec. Jest ożywiony, jakby przed chwilą obejrzał swój ulubiony film akcji. - Dobrze zagranie, szybko zmieniałaś temat, tak że nie zdążył powiedzieć, że pili wodę skażoną przez Synergon. Znakomicie, Pratt. Znakomicie.

Ponownie jesteśmy tylko we dwoje, siedzimy przy obiedzie w restauracji Cracker Barrel, kilka kilometrów autostradą od naszego hotelu. Carl nadal ma maskę na twarzy, rozsiewa aurę uroku i szczerości. Udaje przesadnie uprzejmego, sypiąc interesującymi historiami z wojny, jakby chciał się pochwalić swoim rodowodem. Przynajmniej dwa razy rzucił Princeton, potem przeniósł się do Cambridge, by wreszcie studiować prawo na Harvardzie. Fałszywie narzeka, ile to pracy musiał wykonać dla kuratora Muzeum Sztuki Współczesnej. Jestem ciekawa, czy w jego przekonaniu eksponowanie bogactwa i władzy czyni go w oczach kobiet bardziej atrakcyjnym.

Carl nie jest brzydki, choć pewnie wolałby, gdyby oczy miał troszkę bliżej nosa. W przeciwieństwie do facetów w biurze jego siwe włosy są schludnie czyste i przystryżone na krótko. Głębokie zmarszczki nie postarzają go, raczej nadają mu coś charakterystycznego. Wiem, że nigdy nie wyjeżdża na urlop, nie rusza się z Nowego Jorku, a opalenizna jest efektem solarium albo kosmetyków. Ubiera się tak, żeby przewyciężyć prawo grawitacji - dwa tłuste męskie cycki i szeroki, płaski tyłek są wtłoczone w dopasowany, prążkowany garnitur od Armaniego, a koszule szyte na zamówienie w Azji.

Tutaj wygląda śmiesznie z tymi jasnoniebieskimi spinkami do mankietów wpiętymi w rękawy koszuli z wyhaftowanym monogramem. Je nabzdyczoną sałatkę na plastikowym talerzu, popija darmową wodą mineralną i spoziera na rodziny w T-shirtach i dzinsach, posilające się smażoną wieprzową polędwicą. Zamawiam hamburgera i ziemniaki purée z podwójną porcją czosnku.

Podobno Carl molestuje kobiety w biurze i jest często widywany na obiadach z modelkami na Manhattanie (chowa wtedy obrączkę do kieszeni). Nie rozumiem, co one w nim widzą, w tym jego okrucieństwie. Widocznie są kobiety, dla których bogactwo stanowi o atrakcyjności mężczyzny, ale oprócz

Carisse nie znam nikogo myślącego podobnie. Wszystkie kobiety, jakie znam, szukają Lloyda Dobiera, a nie Gordona Gekko.

Gdy kończymy obiad, Carl proponuje, że podzieli się ze mną swoim czekoladowym ciastkiem. Odmawiam. Jedzenie łyżeczką ciastka z jednego talerzyka jest dla mnie zbyt intymne i wygląda zbyt randkowo. W drodze powrotnej pytam o pizamę w miejscowym sklepie. Mają tysiące różnego typów karmników, ale ani jednej koszulki lub szortów na sprzedaż. Nie wiem, co zrobię, gdy nadejdzie wieczór. Zabrałam z domu tylko kostium i bieliznę.

Podczas jazdy do hotelu czuję, że w otaczającej nas nocnej ciszy robię się coraz bardziej nerwowa. Mam nadzieję, że po mojej dzisiejszej reakcji na zamieszkanie w jednym pokoju Carl zrozumiał, choć pewnie nie może w to uwierzyć, że nie chcę uprawiać z nim seksu. Czy mógłby? Jest dwa razy starszy ode mnie, ma żonę i jest moim szefem. Może Bob przyniósł łóżko polowe dla mnie? Nie wyobrażam sobie, żeby Carl spał na podłodze albo że ja miałabym się położyć na zakurzonej dywanie w hotelu Hampton Inn.

Przed wejściem do holu cała się trzęsę. Zastanawiam się, czy wyznanie, iż mam opryszczkę na genitaliach, nie zniechęciłoby go, ale nie umiem powiedzieć tego tak mimochodem i sędzę, że nie byłoby za mądre rozgłaszanie takiej plotki. Nawet w obronie własnej. W rozmowie w samochodzie mnóstwo razy wtrącam słowa „mój chłopak”, ale Carl w ogóle nie reaguje. Jeśli nie powstrzyma go myśl o ciężarnej żonie, to jestem pewna, że nie zrobi tego również mój wymyślony chłopak.

Zauważam sklepik spożywczy na rogu. Mówię Carlowi, że spotkamy się za minutę na górze. Uśmiecha się i kiwa głową. Zastanawiam się, czy on myśli, że idę kupić kondomy. Nie - mówię sobie - to tylko twoja wyobraźnia podpowiada ci takie rzeczy. Nie rzuci się na ciebie, a jeśli to zrobi, grzecznie go skasujesz. To jest najważniejsze, co muszę zaplanować. I proszę, Boże, proszę, spraw, żeby w sklepie było coś przypominającego pizamę.

Dzięki Bogu widzę nocne koszule zawieszane na ścianie. Nie zwracam uwagi na nadrukowane napisy w rodzaju „Ktoś w Arkansas kocha mnie” albo z karykaturą Clintona palącego cygaro. Stanowczo nie taką wiadomość chcę przekazać. Kupuję tę pierwszą koszulkę w rozmiarze XXL i bokserki z napisem z tyłu „Pocałuj mnie w mój arkansasowy tyłek”.

Zrobiłam wszystko, co mogłam.

Gdy wchodzę do pokoju, Carl leży na łóżku, w szytej na miarę koszuli i bokserkach w szkocką kratę. Mimowolnie spoglądam w dół i dostrzegam różową główkę jego penisa, wysuwającą się ze spodenek. Właśnie widziałam penisa Carla MacKinnona! Nie mogę w to uwierzyć - właśnie zobaczyłam jego penisa! Powtarzam te słowa w myślach i wkrótce słowo „penis” zaczyna brzmieć absurdalnie. Ten obraz wypala mi mózg. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek będę mogła o nim zapomnieć. Zdaję sobie sprawę, że nadal mam kłopot, i chce mi się śmiać. Sytuacja wymknęła się spod kontroli, oczekuję, że cofnie swoje owłosione łapy.



- Gdzie jest łóżko polowe? - pytam, jakby mój szef nie leżał na łóżku w bokserkach, a klamka jeszcze nie zapadła.

- Widocznie Bob nie przyniósł - odpowiada i wzrusza ramionami. - Pięknie wyglądasz w tym kostiumie, ale czy on jest wygodny? Może powinnaś go zdjąć?

Carl spogląda na mnie takim wzrokiem, jakby prosił o dostarczenie dokumentów. Ciekawe, czy wie, że mu wystaje. Pewnie nie.

- Nie, zostanę w nim. Naprawdę. Zadzwoń do recepcji w sprawie łóżka polowego. - Gapię się na staroświecką, obrotową tarczę aparatu.

- Nie musisz. Łóżko jest wystarczająco szerokie dla nas obojga. - Poklepuje miejsce obok siebie.

- Nie, nie sądzę, żeby to było stosowne, Carl - mówię stanowczym tonem, dając do zrozumienia, że nie jestem zainteresowana dzieleniem z nim łóżka. Nigdy.

- Daj spokój, Emily. Nie bądź taka nieśmiała. Zabawimy się - sugeruje Carl swoim chłopięcym głosem.

Ciekawe, czy ktoś mu powiedział, że w wieku sześćdziesięciu lat dziecięce gaworzenie staje się śmieszne. Nie mam pojęcia, co powiedzieć ani tym bardziej zrobić. Szkoda, że podczas studiów prawniczych nie uczono nas, jak się zachować na widok członka swojego szefa, wystającego z nogawki spodnek.

- Nie, Carl - mówię. - Jeśli sugerujesz to, co myślę, to nie jest to dobry pomysł. - Odwracam się tyłem do Carla i drżącym palcem wybieram numer recepcji. Na szczęście Bob ma dyżur. - Czekam pięć minut na łóżko polowe - zarządzam.

- No i o to chodzi - mówi Carl. - Wciąż jestem głodny. Nie zjedliśmy ciasteczka, więc schrupię ciebie na deser. Podobałoby ci się, nie?

Carl obmacuje się. To nie może się dziać naprawdę. Chce mi się płakać, śmiać i rzygać jednocześnie. Jak mogłabym komukolwiek spojrzeć w oczy w firmie? Wyobrażam sobie ich miny na widok obnażonych genitaliów Carla. Gorzej, Carla masującego sobie fiuta.

Jego bandera powiewa teraz wysoko na maszcie.

- Nie - odpowiadam - nie podobałoby mi się. Nie chcę prowadzić takiej rozmowy. Między nami nic się nie wydarzy. Proszę, natychmiast przestań.

- Wiedziałem, że twarda z ciebie sztuka i niełatwo przyjdzie mi ciebie zdobyć. Muszę nad tobą popracować. Nie przejmuj się, lubię wyzwania.

- Carl... - W mój głos wkradł się żenująco błagalny ton.

- Emily.

- Carl.

- Emily.

- Nie. Zdecydowanie nie. Nie mogę tego zrobić. Proszę, proszę, proszę, zostaw mnie w spokoju.

Jakimś magicznym sposobem te słowa sprawiły, że założył ręce za głowę (widzę to kątem oka).

- Jak chcesz - mówi i znowu wzrusza ramionami, jakby chodziło o dodatkową poduszkę, a nie o stymulację oralną szefa. - A tak przy okazji, zamówiłem budzenie na szóstą trzydzieści. Będziemy mogli przygotować się do zeznań - mówi swoim zwykłym tonem.

- Doskonale - odpowiadam jak zwykła koleżanka z pracy. Zabrzmiało nieźle.

Carl odwraca się ode mnie i gasi światło. Siedzę w ciemności, czekam na pukanie do drzwi. Ze zdenerwowania robi mi się zimno, mimo że mam na sobie wełniany kostium.

Kiedy w końcu łóżko polowe przybywa, wręczam posłańcowi pięćdziesiąt dolarów. Znajdę sposób na dołączenie tej kwoty do rachunku Synergonu. Oczywiście nie da się na nim spać. Nie wiem, co sobie wyobrażałam. Nie mogę być w tym maleńkim pokoju z Carlem, choć już chrapie (jak jednoosobowa orkiestra), a to oznacza, iż nic mi nie zrobi. Zamykam się w łazience i moszczę w wannie z poduszką i kocem. Trzymam główkę prysznicu jak rewolwer. Żałuję, że nie mam prawdziwej broni. Pewnie tu w Arkansas jest to dozwolone.

## 9

Pierwszą moją myślą po obudzeniu się są wydarzenia ostatniej nocy. Widzę bokserki w szkocką kratę. Widzę „małego” Carla, który wita się ze mną. Widzę jego ręce, jak sięgają niżej, żeby się zabawić. Proszę, przestań - mówię w myślach.

Przy śniadaniu Carl nie zachowuje się jakoś inaczej wobec mnie, jakby cały ten incydent nie miał miejsca. Zastanawiam się, czy sobie tego nie wymyśliłam. Dziwne, ale to ja zachowuję się inaczej. Jakby szwankował mój instynkt samozachowawczy.

Około południa, w czasie przerwy w zeznaniach, zauważam Carisse na zakręcie. Spieszy się, pięści ma mocno zaciśnięte. Pierwszy raz w życiu cieszę się, że ją widzę. Gdy mnie dostrzega, układa usta w fałszywy uśmiech. Ziemista cera wygląda, jakby była z gliny, a rzeźbiarz zapomniał usunąć zbędne drobiny. Delikatne, wręcz cienkie brązowe włosy, z przedziałkiem na środku, spięta nisko w koński ogon. Prześwituje przez nie różowa skóra czaszki. Można by to nawet uznać za intrygujące.

Zanim zdążyła się ze mną przywitać, uprzedzam, że na skutek pomyłki w rezerwacji musimy dzielić pokój ze sobą. Patrzy na mnie kpiąco, jakbym mówiła od rzeczy. Brwi tworzą łuk na czole.

- Chyba nie oczekujesz, że będę spała w jednym pokoju z Carlem, prawda?

Gapię się na nią, przekonując do mojej niemej prośby. Niemo błagam Carisse o litość. Nie zniosę powtórki przedstawienia.

- Oczywiście, że nie - mówi Carisse tonem, który znaczy coś dokładnie odwrotnego.

Wieczorem jemy we trójkę kolację w restauracji Hog Pit Barbeque - jednym z tych miejsc, w których wystrój daje wrażenie przebywania na świeżym powietrzu. Sztuczne palmy, drewniane ściany, gwiazdy naklejone na suficie, siano rozrzucone po podłodze. Otacza nas prawdziwa Ameryka: na stołach ceratowe obrusy w czerwono-białą kratkę, niechlujne dzieciaki o klejących się rękach, z nieodłącznymi

śliniaczkami wokół szyi. Krztuszę się ze śmiechu, widząc wymuszony uśmiech na twarzy Carisse i Carla, kiedy kelner przynosi im surówkę z białej kapusty - jedyną rzecz w tym miejscu, która przypomina sałatkę. Widzę, jak Carisse liczy w myślach kalorie w majonezie.

Oboje zaskakująco szybko odzyskują siły. Po kilku piwach robi się całkiem miło. Zaskakująco szybko wymazuję z pamięci obraz wczorajszej nocy. Carl jest znowu w swoim żywiole: opowiada, jak firma zmieniała się przez ostatnie dziesięć lat. Dowiaduję się, że otwarto partnerską firmę w Moskwie. Ledwo powstrzymuję się od sugestii, że oboje powinni się tam przenieść. Jedyny niezręczny moment następuje wtedy, kiedy Carl wstaje na chwilę od stołu i odbiera telefon od żony.

- Ty i Carl spaliście razem w pokoju, tak? - szepcze Carisse, podnosząc prawą brew tak wysoko, że niemal sięga linii włosów.

- Wszystkie miejsca w hotelu były zarezerwowane, a sekretarka Carla pomyliła się i zamówiła dla nas jeden pokój. Nie spaliśmy w jednym łóżku.

- Naprawdę? A czemu nie? - Brwi są znów na swoim miejscu. Zaciska usta, jakby przed chwilą malowała je szminką przed lustrem. Chyba lubi chwalić się elastycznością mimiki swojej karykaturalnej twarzy.

- Nie spałabym ze swoim szefem.

- Och, przestań, on jest taki miłutki. Jesteśmy przyjaciółkami. Mnie możesz powiedzieć.

- Nie zrobiłabym tego. Poza tym on jest żonaty - mówię. Nie prostuję, że nigdy nie byliśmy i nigdy nie będziemy przyjaciółkami.

- A zatem?

- Co „a zatem”?

- Daj spokój, chcesz, żebym uwierzyła, że nie spałaś z Carlem wczoraj w nocy? - Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wrócił Carl i Carisse szybko zmienia temat. - I co, miałaś jakieś wieści od swojego eks? - pyta.

- Jakiego eks? - zainteresował się Carl, chociaż nie dalej niż dwadzieścia cztery godziny temu nieustannie opowiadałam o tym, jak bardzo kocham mojego chłopaka i jak jestem mu oddana.

- Och, ten facet zerwał z Emilią w zeszłym miesiącu - mówi Carisse. - Szkoda, był świetną partią.

Kładzie rękę na moją dłoń, jakby w wyrazie pocieszenia. Sprytnie to rozegrała. Powstrzymuję się, żeby jej nie przywalić.

- Dzięki, Carisse.

Nagle robi mi się niedobrze. Czuję, że zaraz zwymiotuję. Carl łapie moje spojrzenie. Wygląda na zażenowanego. Najwyraźniej moja historia o zmyślonym chłopaku w celu uniknięcia spędzenia z nim nocy jest poza jego wyobraźnią.

Po skończonym posiłku Carl sugeruje, żebyśmy poszli do baru naprzeciwko. Mówi, że ma ochotę urznąć się w trupa. Kto używa takich określeń? Chociaż czuję się fatalnie i alkohol tylko pogorszyłby mi nastrój, zgadzam się pójść z nimi. Nie jestem pewna, dlaczego mam potrzebę sprawienia przyjemności

Carlowi, zwłaszcza po wczorajszej nocy, ale tak jest. Jak maltretowana żona, która w jakiś sposób wierzy, że sobie na to zasłużyła.

Jeszcze nie wiem, czy powinnam zakapować Carla w firmie. Musiałabym powiedzieć wszystko, co on mówił, co ja mówiłam, i nie załatwiono by tego dyskretnie. Wiem to. Wkrótce ludzie zaczęliby szeptać po kątach, rzucać mi dziwne spojrzenia na korytarzu. Nie wytrzymałabym tego i musiałabym odejść z pracy. Pewnie mogłabym pozwać firmę do sądu, ale to oznaczałoby koniec mojej kariery. Nikt nie zaryzykowałby zatrudnienia awanturnicy.

Sprawa jest przesądzona - nic nie zrobię. Nie mam siły walczyć.

Jedno mnie naprawdę wkurza: w związku z tą całą sprawą czuję się głupio, gorzej - pruderyjnie. O co tyle hałasu, tak naprawdę? Tak, ta sytuacja była niezręczna i nieprzyjemna, ale po co się tym zajmować? Carl gładko przyjął odmowę.

Nadal moje uczucia są skrajne. Nakręcam się: czuję się infantylnie z powodu mojego oburzenia i zbulwersowana własną infantylnością.

Knajpa nazywa się Sunny's Swimming Hole. Piwo kosztuje tu dolara. Na poplamionych białych ścianach wiszą koła i kamizelki ratunkowe - widać, że ktoś usiłował stworzyć z nich artystyczną dekorację. Zawsze byłam fanem barów jak z okrętu podwodnego, ale to miejsce wiele traci przez obecność moich towarzyszy. Stoliki w większości są wolne, ale my zajmujemy stołki przy barze. Carl siedzi w środku, pomiędzy Carisse i mną. Barman rzuca nam podstawki pod napoje z napisem Burger King, więc jestem zdziwiona, kiedy Carl zamawia trzy tequile.

- Nie, ja dziękuję - mówię.

- Przestań, Pratt. Przestań zachowywać się jak zepsuty dzieciak - strofuje mnie i podaje mi świeżo napełniony kieliszek.

Ciekawe, czy chce mnie ukarać za kłamstwo w sprawie Andrew. Nie protestuję i posłusznie wypijam z nimi kolejkę tequili, zaprawionej kilkoma kroplami gorzkiej cytryny. Gardło mi płonie i po rękach przechodzą dreszcze. Po trzydziestu sekundach ogień przepala mi wnętrzności. Po następnej kolejce czuję mdłości.

- Co jest grane, Pratt? - pyta Carl. - Nie potrafisz bawić się z dużymi chłopcami?

Carisse daje znak kelnerowi, żeby nalał na trzecią nogę. Mam dosyć.

- Zgadłeś, Carl - odpowiadam. - Poddaję się. - Zsuwam się ze stołka, trzymając się blatu, bo kręci mi się w głowie. - Jestem zmęczona. Idę do hotelu. Carisse, daj mi klucz.

Patrzy na mnie z triumfem. Nie jestem pewna, dlaczego z nią rywalizuję, ale nie przeszkadza mi to, że jeszcze nie wygrałam.

- Dzięki za obiad - mówię i wychodzę z knajpy o nazwie Sunny's Swimming Hole, zachwycona, że nie chce mi się rzygać.

Gdy przechodzę obok Boba w recepcji, nawet nie drgnie mi powieka. Odczuwam prawdziwą radość na widok dwóch łóżek w pokoju Carisse. Rzucam się na moje łóżko i zwijam w kłębek.

Nagle radość gaśnie. Łazienkowa lampka nocna rzuca groźne cienie na ścianie. Krzesło w rogu przemienia się w coś złowrogiego. Boję się, jestem sama i jedyne, co przychodzi mi na myśl, to telefon do Andrew. Muszę podzielić się z nim szczegółami tej wyprawy. Usłyszeć, jak mnie pociesza i mówi, że wszystko będzie dobrze. Szybko wybieram numer, nie zastanawiając się nad konsekwencjami.

Odbiera po drugim sygnale.

- Cześć - mówi.

Wpadam w panikę. Nie odpowiadam, w ogóle nic nie mówię, bo teraz, kiedy Andrew jest na linii, nie wiem, czy mam mu coś ciekawego do powiedzenia. Pewnie nie przejmie się tym, że spędziłam noc w wannie. Moje problemy nie są już jego problemami.

- Cześć? - powtarza. - Kto mówi? Słyszę twój oddech.

Telefon ciąży mi w dłoni. Jest zbyt ciężki, żeby go dłużej trzymać. Rozłączam się. Drobne załamania. Pomyłka.

Wmawiam sobie, że chciałam tylko usłyszeć jego głos.

Budzę się. Pulsujące skronie są zemstą za wczorajsze kolejki alkoholu. Widzę, że łóżko obok mnie jest nadal doskonale pościelone, a czekoladka wciąż spoczywa na poduszce. Schodzę na śniadanie. Carl i Carisse już tam są i dzielą się dzisiejszym wydaniem „The Wall Street Journal”.

- Dzień dobry - mówię, siadając do stołu.

- Dobry - odpowiada Carl i patrzy na zegarek. - Spóźniasz się. Zdajesz sobie sprawę, że to nie są wakacje?

- Nie ma nawet ósmej - mówi Carisse i uderza go serwetką. - Zostaw ją w spokoju.

- No tak, a my harowaliśmy całą noc. - Carl spiorunował ją wzrokiem, zdenerwowany poufałym gestem, potem powoli przenosi spojrzenie na mnie. - No, Emily... Carisse i ja rozmawialiśmy na temat mowy sądowej. Nienawidzę się za to, co teraz powiem: nie jesteś jeszcze gotowa, żeby ją przygotować. Przykro mi.

Carl nie wygląda na zmartwionego, raczej na zadowolonego z siebie. Jak kot, który oblizuje się po kremie, a ściślej mówiąc - po kremie Carisse.

- Dlaczego tak uważasz? - pytam i czuję, jak rośnie we mnie rozczarowanie.

- Bo ja ją napiszę - oświadcza Carisse i odkłada gazetę.

Jej prawa ręka jest tak blisko ręki Carla, że prawie dotyka jej swoimi różowymi paznokciami.

Rzuca spojrzenie w moją stronę. A jej mina jasno wyraża to, czego nie mówi głośno: „Chodziło tylko o obciążenie fiuta. Nawet nie musiałam połykać”.

Czasem, kiedy nie mogę zasnąć, wyobrażam sobie mój pogrzeb i w myślach piszę mowę pożegnalną. W wyobrażeniach zawsze umieram tragicznie i niespodziewanie. Na tamten świat przenosi mnie pijany kierowca albo tętniak mózgu. Trochę cierpię, ale odchodzę godnie, z odwagą i czystą bielizną. Lubię rozmyślać o moim pogrzebie, bardziej niż o samej śmierci. Kto przyszedłby na cmentarz? Kto przewyciężyłby strach przed publicznym wystąpieniem i stanął za mównicą? Kto postanowiłby, że lepiej byłoby w ogóle się nie pokazywać? Ciekawe, kto by płakał, a kto by się powstrzymał od płaczu, ze strachu, że nigdy nie przestanie.

Wyobrażam sobie dom ojca w Connecticut, gdzie przyjaciele zebraliby się w moim pokoju. Czują się jak dzieci na imprezie dla dorosłych, mimo że są pełnoletni. Ktoś wyciąga flaszkę i podaje dalej. Kiedy rozgrzał ich alkohol, przeglądają albumy ze zdjęciami ze szkoły średniej (przez ostatnie dziesięć lat pokryły się kurzem). Ktoś zatrzymałby się przy fotce, na której mam czternaście lat, trwałą ondulację, trądzik, małe pączki zamiast biustu, i śmiałyby się, pokazując ją wszystkim.

- To jest to, czego chciałaby Emily - powiedziała by ktoś inny.

W czasie ceremonii mój ojciec wygłosiłby kapitalną mowę, być może najlepszą w swojej karierze, w której podkreśliłby swoją rolę ojca i wykazał, czym jest tragiczna strata kogoś tak młodego i dobrze się zapowiadającego. Wyobrażam sobie, że używa słowa „utracjuszka”, choć nie bardzo wiem, dlaczego. Nie sądzę, aby rozwodził się na mój temat, może wyliczyłby moje osiągnięcia. Na pewno nazwa Yale padłaby więcej niż jeden raz.

Chwalenie się dzieckiem w obliczu jęgo śmierci nie jest niczym niestosownym.

Założę się, że Kate przeczytałaby wiersz, może z filmu *Cztery wesela i pogrzeb*. Jej wystąpienie byłoby znakomitym bajerem: wzruszające, smutne, może wyraziłaby swoją wdzięczność za czas, który spędziłyśmy razem. Wtedy wszyscy mieliby łzy w oczach. Jess próbowałaby wprowadzić równowagę, to znaczy rozśmieszyć żałobników, żeby na chwilę zapomnieli o umarłaku leżącym w pokoju. Opowiadałaby nieprzyzwoite historie z college'u, o których ojciec nigdy nie powinien się dowiedzieć (na przykład o kompromitującej wizycie na ostrym dyżurze). Z nieba, choć nie wierzę w niebo, patrzę w dół i jestem tłumna z Jess. Ona jedna z całego towarzystwa wie, jaka naprawdę byłam.

Oczywiście, dużego towarzystwa.

Odkąd Andrew i ja zerwaliśmy, nie wiem, jaką rolę wyznaczyć mu w tym scenariuszu. Wyobrażałam go sobie na mównicy, podczas gdy ja spoczywałabym tuż obok w zamkniętej trumnie. Ma na sobie czarny garnitur, który sprawia, że wydaje się wyższy i szerszy, niż jest w rzeczywistości. Zaczyna od frazesu, mimo wszystko wzruszającego, coś w tym stylu: „Emily chciałaby, żebyśmy się śmiali, a nie płakali. Chciałaby, żebyśmy świętowali, a nie boleli nad jej śmiercią”. I choć łzy lałyby mu się po policzkach, opowiadałby zabawne historie z naszej krótkiej znajomości, a zgromadzeni śmialiby się z nim przez łzy.



W innej wersji widzę go w ostatniej ławce. Wygląda kiepsko, ale nie na zdruzgotanego. Nawet nie jest ubrany na czarno.

Na pogrzebie matki, który pamiętam jedynie z nagrania wideo, nie płakałam. Mężczyzna, który nigdy nie spotkał mojej mamy, stanął przed tłumem w kościele i powiedział kilka słów na jej temat. Nic konkretnego, okrągłe zdania jak w gazetowym horoskopie. Ojciec i ja siedzieliśmy w pierwszej ławce. Była to jedyna chwila, jaką pamiętam, kiedy ojciec nie skorzystał z okazji, by wygłosić przemówienie. Czułam, że wszyscy gapią się na mnie, i prawdopodobnie tak było. Kto nie chciałby patrzeć na tragedię dziecka?

Pamiętam, że bardzo starałam się siedzieć prosto. Przynajmniej tyle ludzie mogli powiedzieć w drodze powrotnej do domu, że córka zmarłej ma prawidłową postawę. Chociaż było mi niewygodnie, byłam idealnie spokojna. Dzień wcześniej dziadek Jack kupił mi czarne rajstopy i bieliznę. Przed pogrzebem nie było okazji, żeby powiedzieć mu, że są o rozmiar za małe.

W tym dniu ojciec dziwnie się zachowywał - sztywny jak robot, wciąż chodził do łazienki i przeproszał, że nie życzył sobie składania głupich kondolencji. Byliśmy zbyt zmęczeni, żeby słuchać rzeczy w stylu: „Bardzo nam przykro” albo „Ona była wspaniałą kobietą”. Za wcześnie na słowa pocieszenia i na to, czego oczekiwano od nas. Za wcześnie na używanie czasu przeszłego.

Na pogrzebie czułam się tak, jakby to wszystko przydarzyło się komuś innemu, a nie mnie. W trumnie ustawionej przed ołtarzem nie leżała moja mama. Mamy przecież nie umierają. Zwłaszcza w wiejskim Connecticut, w tym cudownym świecie, gdzie trawniki były równiutko przystrzyżone jak paznokcie i nie zatrzymywał się pociąg. Zwłaszcza gdy ma się czternaście lat. W tym wieku najgorszą rzeczą, jaka mogła się przydarzyć, było wyjście na szkolny bal.

Teraz wydaje mi się to dziwne, ale wtedy nie skupiałam się na tym, że właśnie straciłam matkę, tylko martwiłam się, jak wyglądam. Chciałam uronić kilka łez nie dlatego, że było mi smutno (czułam pustkę i coś głębszego niż smutek), ale że tak wypadło. Musiałam się przemóc i nie płakać, bo mogłabym nigdy nie przestać. Powstrzymać się i nie walnąć mężczyzny w koloratce, który sypał frazesami jak z rękawa. Zachowałam kamienną twarz i siedziałam z zaciśniętymi pięściami.

Ojciec czuł się podobnie. Taki anonimowy pogrzeb nie pasował do niej, on to wiedział, ja też i wszyscy w kościele, ale był bezsilny. Oboje dusiliśmy się w tej atmosferze.

Po pogrzebie, już w domu, dziadek Jack poprosił mnie, żebym oddała mu kostium. Zapakowałam go elegancko w oryginalną torbę ze sklepu i przebrałam się w dżinsy, koszulkę, jak normalne dziecko. Zastanawiałam się, ile musiało go kosztować pójście do sklepu i wybranie dla mnie pogrzebowego stroju. Mam nadzieję, że udawał przed personelem, iż wnuczka potrzebuje go na przyjęcie towarzyskie albo na zakończenie szkoły. Ufam, że nie powiedział tego głośno.

Później, kiedy nikt nie patrzył, dziadek zdjął marynarkę i krawat i założył czapkę z daszkiem. Zaprowadził mnie za dom, gdzie stał wielki kubeł na śmieci. Wyjął kostium z torby i wrzucił go tam, na górę plastikowych sztućców, talerzy, resztek jedzenia po stypie. Dziadek Jack podał mi zapalki i z dała od kon-

dolencji i używania czasu przeszłego razem patrzyliśmy, jak płomienie przesuwają się po materiale i zamieniają go w popiół.

Moja mama umierała powoli i długo, ale gdy umarła, nie przyniosło nam to ulgi, co, jak sędzę, czasem się zdarza. Pożegnanie przyszło za wcześnie, jakkolwiek na to spojrzeć. Rok trwała terapia. Przez ten rok cichutko wymiotowała za zamkniętymi drzwiami, prosiła, żeby zostawić ją w spokoju, i samotnie paliła skręty w ogrodzie, za szopką z narzędziami. Tamtego roku nauczyłam się rozpoznawać szpitalne zapachy i zgadywać, że wiadomości są złe. Widziałam wtedy roztrzęsionego i skurczonego ojca, jakby to on powoli odchodził, a nie ona. Jakby to on, a nie ona, od dłuższego czasu umierał.

Podczas ostatniego Święta Dziękczynienia ojciec wznosił toast na cześć mamy i życzył jej powrotu do zdrowia, bo znowu była w domu i wydawało się, że wszystko będzie dobrze. Trąciliśmy się kieliszkami, ojciec pozwolił mi napić się wina, gorzko-słodkiego w smaku, że aż oczy zaszczyły mi łzami. Nie podobało mi się to. Mama miała srebrną przepaskę na głowie i pamiętam, że pomyślałam wtedy, iż wygląda piękniej, kiedy jest łysa (twarz nieokolona włosami miała wyraziste rysy). Orzechowe oczy (bez brwi) - delikatne, łagodne, ciepłe i młode. Ich promiennosc zaprzeczała powolnemu rozpadowi ciała i wychudłej twarzy.

Gdybym miała ograniczyć reminiscencje o mamie do jakichś fragmentarycznych sytuacji (pozostałych jako strzępy pamięci) czy kilku przymiotników, powinnam wspominać jej oczy - buntownicze, walczące jak diabli, żeby być z nami.

Ojciec i ja zjedliśmy tony indyka. Nadrabialiśmy miną, widząc, jak mama tylko przesuwając swój kawałek po talerzu. Zastanawiam się, czy wiedziała, że umiera. Czy uczestnicząc w Święcie Dziękczynienia, ostatnim spędzonym razem przy ogromnym dębowym stole, chciała nam zostawić wspomnienie o sobie. Może ojciec też wiedział i całe to przedstawienie było tylko z mojego powodu - sądził, że byłam zbyt dziecinna, żeby zauważyć kruchość uśmiechów rodziców. Albo wprost przeciwnie: wystarczająco dojrzała, żeby udawać razem z nimi i nie przeszkadzać losowi w tym, co mieli jasno wypisane na twarzach.

Świąt Bożego Narodzenia już nie obchodziliśmy. Potrawy przygotowała mama, ale była zbyt chora, żeby wstać z łóżka. Myślę, że ojciec zrobił zakupy, kupił choinkę, powiesił skarpety, tak samo starannie, jak robiła to mama każdego roku, ale to byłaby tylko namiastka, podróbka świąt, więc zgodziliśmy się, że nie będziemy udawać.

Mimo to, na wiadomość, że nie będziemy świętować jak zazwyczaj, będzie mniej prezentów, nie ustroiemy choinki, trzasnęłam drzwiami i siedziałam nadąsana w swoim pokoju (trochę jak nieznośne dziecko albo typowa nastolatka). Głośno przeklinałam, czułam siłę, wykrzykując słowa zwykle nietolerowane w domu. Wykorzystałam sytuację: choroba mamy pozwoliła mi przesunąć istniejące granice.

- Dlaczego, do cholery, wszystko musi się kręcić wokół niej!? - krzyczałam do ścian, do rodziców przez ściany, do Boga, w którego, jestem pewna, przestałam wtedy wierzyć.

Przez nieobchodzenie świąt chcieli mi powiedzieć, że to koniec. A gdy mama znowu poszła do szpitala, wiedzieliśmy, że już stamtąd nie wyjdzie. Nikt nie usiadł ze mną i niczego mi nie wyjaśnił. Nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł to zrobić. Sama wszystko rozumiałam, widząc, jak mama staje się coraz

drobniejsza i cichsza. Jak Lily Tomlin w filmie *Incredible Shrinking Woman*, tylko że nie była zabawna, tak jak ta aktorka.

Pewnego ranka ojciec obudził mnie i kazał mi się ubrać. Powiedział dwa słowa: „Stało się”.

Była zima, więc założyłam wełniany golf. Łaskotał mnie w policzki i pociłam się w nim pod pachami. W milczeniu jechaliśmy do szpitala. Ojciec brał czasami głęboki oddech, jakby chciał coś powiedzieć, ale musi się nad tym zastanowić. Nie było to westchnienie, raczej wyznanie strachu. Cały czas gapiłam się przez okno, nie mogłam spojrzeć na ojca. Był nieogolony, oczy miał zaczerwienione i szkliste, tak jak ja.

Kiedy przyjechaliśmy do szpitala, mama spała. Była w śpiączce albo ogłuszona po dawce morfiny. Nie miałam pewności co do tego, ale nie śmiałam zapytać. Usiedliśmy po obu stronach łóżka. Ojciec chwycił jej prawą rękę, a ja trzymałam lewą. Palce były jakieś obce, takie szorstkie, zimne, dłoń nienaturalnie ciężka. Poprawiłam jej przepaskę, żeby nie spadała na czoło. Siedzieliśmy tak kilka godzin, nie mówiąc ani słowa. Słuchaliśmy naszych oddechów. Zdesperowani, czekaliśmy, kto pierwszy uczyni jakiś gest.

Okolo czternastej ojciec zatrzymał lekarza (poklepał go po ramieniu, żeby zwrócić na siebie jego uwagę) i usłyszał: „To nie potrwa długo”. Potem kiwnął głową w moją stronę, jakbym była kimś dorosłym, godnym zaufania.

Umarła dokładnie o siedemnastej, jakby odbiła kartę zegarową po skończonej zmianie. Wiedzieliśmy o tym, bo następny oddech, na który czekaliśmy, nie nastąpił. Głupio mieliśmy jeszcze nadzieję, ale oboje pomyśleliśmy: „To już koniec. Tak wygląda koniec”. Nie tak jak w filmach, gdzie jest wiele hałasu, urządzenie medyczne głośno pika, wpada lekarz i zaczyna uciskać klatkę piersiową pacjenta. Jest dramatyczne crescendo.

Nie, cisza oznajmiła nam, że to koniec. Całkowity bezruch i cisza. Gdyby nie chodziło o mnie i moją mamę (która właśnie umarła), byłoby to jak naprawdę piękne zakończenie symfonii - króciutka pauza przed oklaskami. Ale to byłam ja i moja mama. Teraz najbardziej prześladowuje mnie cisza.

Potem, w drodze do domu (zanim zaczęło się telefoniczne trajkotanie), zrobiliśmy zakupy, żeby przygotować się na przyjęcie osób, które przyjdą składać kondolencje (załadowaliśmy cały bagażnik). Wzięłam półmisek z rybą na zimno (taki sam, jaki matka wybrała rok temu na moje urodziny), sądziłam, że tak będzie dobrze. Bez słów zapełniliśmy cały wózek. Kupiliśmy ciasteczka. Mrożoną lazanię. Płyn do płukania ust. Waciki do uszu - tyle, że wystarczyłoby ich na dziesięć lat.

Kiedy wsiedliśmy do samochodu, ojciec nastawił radio na cały regulator i tak dojechaliśmy do domu. Słuchając znanych piosenek z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku: *Wake Up Little Susie*, *Breaking Up Is Hard To Do*, *Love Potion Number Nine*, bezdźwięcznie wymawialiśmy ich słowa. Długo siedzieliśmy jeszcze na podjeździe, przy włączonym silniku, zanim ojciec wyłączył radio.

- Nie będę jakimś pieprzonym kotem, pieprzoną pielęgniarką, cholernym ptaszkiem ani gumką do ścierania. - Przesuwam palcami po sztruksowym blezerze w sklepie z kostiumami w dzielnicy East Village. - Chcę wyglądać seksownie. - Jess uśmiecha się i kiwa głową. O tej porze roku wygłaszam te same tyrady, a ona słucha i zaspokaja moje zachcianki. - Nie chcę być jedną z tych kobiet, które wykorzystują Halloween jako okazję do pokazania się nago - kontynuuję, jakby nie słyszała tego wcześniej. - Pierwszy raz zobaczę Andrew od spotkania w metrze, gdy pociłam się po wypitej tequili. Muszę wyglądać dobrze. Ale prawdziwy kostium też chcę mieć.

- Może domina? - pyta, pokazując mi nabijane ćwiekami bikini, z wyciętymi otworami na sutki. - To na pewno zwróci jego uwagę. - Smagneła mnie po tyłku skórzanym pejczem. Zabolalo jak cholera, ale nie pokazałam tego po sobie. - Dobra, to zbyt oklepane.

- Proszę, pomóż mi, Jess.

- A co powiesz na kostium à la Monika Lewinsky? Albo, jeszcze lepiej, Anita Hill?

Najwyraźniej popełniłam błąd, że powiedziałam Jess o tym, co zdarzyło się w Arkansas. Najpierw klęła przez dziesięć minut, potem próbowała mnie przekonać, że powinnam pozwać Carla do sądu. Teraz widzę, że postanowiła się z tego natrzasać. To jest śmieszne, bo nie przydarzyło się jej.

- Bądź poważna. Potrzebuję twojej pomocy.

- Rozmawiałaś z nim?

- Z kim? Z Carlem?

Ściągam blezer z wieszaka i obwąchuję go. Z jakiegoś powodu oczekuję, że będzie pachniał piżmem i serdecznością, jak dziadek Jack. Ale nie pachnie. Czuję woń kurzu. Cuchnie śmiercią.

- Nie, idiotko, z Andrew.

- Nie.

- Dzwoniłaś do niego?

- Nie.

- Naprawdę?

- Nie dzwoniłam.

Znowu smaga mnie pejczem, tym razem mocniej.

- No dobra, jeden raz. - Wkładam blezer z powrotem na wieszak. - Ale nie rozmawialiśmy. Spanikowałam i wyłączyłam się.

- Och, Emily! Jesteś bardziej popaprana, niż myślałam. Naprawdę potrzebujesz pomocy.

- Ze mną jest wszystko w porządku.

- Zrobiłaś dowcip przez telefon człowiekowi, z którym zerwałaś. Nie ma co, świetnie sobie radzisz.

Resztę dnia spędzamy na przetrząsaniu sklepów w okolicy w poszukiwaniu kostiumów. Choć Halloween jest dopiero za kilka dni, większość ludzi wygląda, jakby już przebrała się na zabawę. Mijamy

mężczyznę w pieluszcze i drugiego w obcisłym kostiumie jadącego na rolkach. Jess przysięga, że wcześniej widziała ich już na ulicy Piątej.

Ona chce się przebrać za wróżkę, więc kupujemy dla niej duży spiczasty kapelusz, brokat i aksamitną pelerynę. Z naręczem rzeczy wygląda jak bezdomna, ale jestem przekonana, że znajdzie sposób i zmieni ten kostium w coś olśniewającego. W ostatniej chwili naszych zakupów na Manhattanie (tam gdzie sprzedają mydło i powidło - od boa z piór po kamery cyfrowe) dostrzegam na wystawie błyszczący diadem, z fajką wodną w środku. Pytam sprzedawczynię, czy jest na sprzedaż i skąd go ma.

- To z czasów, kiedy byłam Miss Missisipi w roku 1983 - wyjaśnia i głaszcze się po brzuchu, tam gdzie na koszulce widnieje napis „Kocham Nowy Jork”. Skórę ma nienaturalnie bladożółtą i brakuje jej jednego zęba z przodu. Ostatnie lata okrutnie się z nią obeszły. - Oddam go za dwadzieścia dolców - mówi, a ton jej głosu sugeruje, że rozstaje się z czymś bardzo dla niej drogim.

- Biorę go - kwituję.

Kobieta wyjmuje ostrożnie diadem z gabloty, żeby nie dotknąć podrabianych pereł i diamentów.

Jest piękny. Jest absurdalny. Po prostu doskonały.

Wyciągam pieniądze, podczas gdy ona owija diadem papierową serwetką, delikatnie łącząc w górze jej ostre rogi. Nie spieszy się.

- Noś go na zdrowie - mówi.

Zanim wsunie diadem do torby i wręczy mi ją, ostatni raz przeciągle spogląda na niego.

W noc Halloweenu zamieniam się w królową balu szkolnego i zakładam suknię siostry Jess. Lubię ten chłodny dotyk tafty na ciele. Poprawiam głęboki dekolt, rozcięcie z boku, nie przejmując się, że tonę w błyszczących cekinach.

- Moja mała dziewczynka nareszcie dorosła - mówi Jess, wkładając mi diadem na głowę.

- Jak wyglądam?

Okręcam się i wiem, że wyglądam cholernie dobrze. Suknia świetnie na mnie leży, czuję się seksownie. Nie jak seksowna domina, ale wystarczająco seksownie. Tylko diadem mi trochę przeszkadza.

- Zajebicie - odpowiada Jess. - A ja?

- Jeszcze lepiej - mówię, bo to prawda.

Pod pelerynę założyła obcisłą czarną sukienkę. Czarodziejski kapelusz dziarsko trzyma się na głowie. Wygląda w nim trochę prowokacyjnie i zawadiacko. Błyszczące brokatowe iskierki na twarzy rozjaśniają jej czarne oczy.

- Denerwujesz się na spotkanie z Andrew? - pyta.

- No...

Jess macha różdżką nad moją głową i wypowiada zaklęcie. Mrużę oczy, kiedy to robi. Mam nadzieję, że to coś da i wszystko będzie dobrze.

- Możemy wychodzić - mówi i obejmuje mnie ramieniem, jakbyśmy wyruszały na spotkanie przygody.



Zanim przeszliśmy przez ulicę i skierowały się w stronę mieszkania Kate i Daniela, już słyszemy odgłosy przyjęcia. Nie dźwięki muzyki, ale gwar rozmów. Zawsze przed wejściem do pokoju, gdzie są już wszyscy goście i rozmawiają ze sobą, jestem trochę zdenerwowana. Staram się opanować niepokój. Dlaczego miałabym się obawiać Andrew? Czy powinnam obawiać się kogokolwiek?

Przecież uwielbiam Halloween. W ten jeden dzień w roku można robić to, co się chce, i jest to społecznie aprobowane. Można zmienić tożsamość. Świadomie wybrać nową. Podnieść adrenalinę.

Kiedy byłam mała, Halloween było rodzinnym świętem. Mama, tata i ja wałęsaliśmy się od domu do domu w pięknych kostiumach, zazwyczaj tematycznie związanych z postaciami telewizyjnymi, na przykład przebrani za smerfy, rodzinę Bradych czy współlokatorki z sitcomu *Three Company*. Ojciec uwielbiał ustalać strategię. Do Hoganów nie zachodziliśmy, bo oni częstowali rodzinami, ale zawsze wpadaliśmy do Dempseyów, choć mieszkali dość daleko od nas, ponieważ wspinałomyślnie obdarowywali nas wielkimi batonami czekoladowymi. Mama zajmowała się kreatywną stroną przedsięwzięcia. Potrafiła stworzyć z nas spójną całość. Uwielbiałam iść między nimi i wskazywać drogę, radośnie podskakując. Gdy skończyłam dwanaście lat, jednostronnie zakończyłam tę tradycję. Uznałam, że przebieranie się jest dobre dla dzieci.

Kate i Daniel mieszkają w Tribeca. W przeciwieństwie do mojego ciasnego mieszkania zajmują duży strych - prawdziwy apartament. Porządne mury z wyeksponowanymi rurami i minimalistycznym umeblowaniem. Określają swoje mieszkanie jako industrialne. Twierdzą, że jest im tam dobrze. Nie jestem pewna, czy chciałabym mieć mieszkanie, które przypomina magazyn. Gdy wchodzimy, oboje rzucają się w naszą stronę. Szukam wzrokiem Andrew, ale w zatłoczonym pokoju nie widzę go. Dostrzegam za to sześć domin, dwa czarne koty i trzy niegrzeczne pielęgniarki. Cieszę się, że jestem jedyną królową balu.

- Wiem, że mnie znienawidzisz za to, co zrobiłam, ale pomyślałam, że powinnaś wiedzieć o tym - mówi Kate na powitanie.

- Och, nie!

- Carisse jest tutaj - mówi Daniel i odchodzi z naszymi płaszczami.

Tak się dzieje na firmowych imprezach.

- Dlaczego ją zaprosiliście?

- Nie zapraszaliśmy jej personalnie. Wysłałam do wszystkich pracowników firmy e-mail z wiadomością. Zapomniałam, że ona może przyjść - tłumaczy się Kate.

Spoglądam jej przez ramię i w rogu widzę Carisse z kieliszkiem wina. Ma na sobie kostium syreny, z ciasnego białego topu wylewają jej się piersi, na tyłku ma bardzo krótkie pomarańczowe szorty. Uśmiech politowania zamiera mi na ustach, gdy widzę, że rozmawia z Andrew.

Co roku zakłada ten sam kostium: ma grube naklejone bokobrody, białe, nabijane ćwiekami poliestrowe dzwony, które znalazł na strychu u rodziców, i białą koszulę z kołnierzykiem, z wetkniętą pod nią poduszką. Spocona wersja króla rocka z rozdętym brzuchem pochodzi z późniejszych lat jego kariery. W zeszłym roku zapytałam Andrew, dlaczego wybrał akurat tę wersję Elvisa, a nie tego kręcącego biodrami,



w której świat się zakochał. Nie oczekiwałam szczerzej odpowiedzi, ale uzyskałam następującą: „Taki też był, Emily. Czy nie byłoby ci przykro, gdyby wszyscy pamiętali cię tylko jako wspaniałą dwudziestolatkę?”. W ten sposób odbrzązował Elvise, co było takie zaskakujące, że nieoczekiwanie dla samej siebie pocałowałam go w policzek.

Dziś wieczorem przebrał się dla Carisse, która wyraźnie go podrywa.

Gdy Jess to widzi, prowadzi mnie prosto w kierunku wyszukanego barku. Usadawiamy się w rogu.

- Tequila? - pyta.

- Nie. Wódka. Staram się nie popełniać tego samego błędu dwukrotnie.

Wychyłam szybko kieliszek, który mi podała. Ledwo poczułam pieczenie w przełyku. Jess miesza dla mnie wódkę, tonik i kilka kropel limonki. Zerkam na mężczyznę przebranego za hamburgerera, który podchodzi do baru i chyłkiem sięga po butelkę ginu.

- Wygląda na to, że niebo nas połączyło - mówi i trąca mnie w żebro. Nalewa sobie drinka.

- Nie rozumiem.

- Ty jesteś królową, nie? A ja Burger Kingiem - mówi i dumnie pokazuje na swoją głowę, na której też znajduje się diadem, tyle że z tombaku.

- Ale jesteś cwany! - mówię, ponieważ nie mogę wymyślić nic mądrzejszego.

Mój wzrok przyciągają Carisse i Andrew, którzy teraz gawędzą w innym rogu.

- Fajny ten diadem - mówi Jess, wskazując na głowę Burger Kinga.

- To nie diadem, to korona - prostuje i rękawem poleruje niby-złote elementy.

- To jest diadem - mówi z naciskiem Jess. - Korona otacza całą głowę, a diadem tylko pół. To jest diadem.

Patrzę na nią i nie rozumiem, po co wszczyną kłótnię z Hamburgerem. On patrzy na nią zdziwiony, bo nie spodziewał się takiej reakcji.

- Niech ci będzie. - Macha ręką, zabiera drinka i odchodzi, ocierając się o Jess.

- Co ty wyprawiasz? - pytam.

- Nie mogłam pozwolić, żeby poderwał cię gość w tym okropnym diademie. Miał cię już na widelcu. Poza tym chciałam, żeby zostawił nas w spokoju. A teraz, proszę, przestań się na nich gapić. Wstydzę się za ciebie.

- Nie gapię się - odpowiadam, ale odwracam wzrok, bo oczywiście gapiłam się.

- Nie jest w jego typie, wiesz o tym.

- Wiem.

- Pewnie rozmawia z nią, żeby wzbudzić w tobie zazdrość.

- Wiem.

- Mogłabyś przejść się koło nich i powiedzieć: „Cześć”. Tak bez emocji.

- Wiem.

- Pamiętasz? To ty z nim zerwałaś.

- Wiem.

- Więc czemu tak się zachowujesz? Patrzę na nią i wolno sączę drinka.

- Nie wiem.

- Tak myślałam.

Na moje nieszczęście upicie się nie zabiera mi zbyt dużo czasu. Nie przestaję gapić się na Andrew i Carisse. Im bardziej oni wyglądają na zaprzyjaźnionych, tym bardziej ja czuję się zawstydzona i nawet nie próbuję tego ukryć. Wszyscy się na nią gapią. Jej piersi wyglądają, jakby za chwilę miały eksplodować. Andrew, mimo iż przebrał się za podstarzałego Elvisa, wygląda fantastycznie. Włosy ma w artystycznym nieładzie - coś pomiędzy fryzurą markizy de Pompadour i irokezem. Za każdym razem, gdy się uśmiecha, kusi mnie, żeby podejść do niego i polizać te miękkie wyżłobienia na jego twarzy. Nigdy przedtem taka myśl nie przyszła mi do głowy.

Carisse stoi pochylona w jego stronę, widać, że flirtuje z Andrew, a ja zastanawiam się, jak mogłam pozwolić mu odejść. Andrew chciał poślubić mnie, nie ją. Mnie. A ja odeszłam. Kto robi coś takiego? Mogłam powiedzieć: „Tak”. Tylko to jedno słowo. I wszystko potoczyłoby się inaczej. Wstąpiłabym na nową drogę życia, która dokądś by mnie zaprowadziła. Nieważne, dokąd. I teraz to ja stałabym z nim w rogu, a nie ona.

Ludzie mówią „tak” całe życie. To kwestia wyboru, niczego innego. Postanowiłam być jedną z tych osób, które mówią „tak”. Na kursie „dwunastu kroków” uczą mówić „tak”, jakby się było swoim całkowitym przeciwieństwem. Alkoholicy powinni mówić wbrew sobie, że nie mają ochoty na drinka. A ja powinnam wbrew sobie powiedzieć: „Tak”. Wydaje się to takie proste. Trzy litery.

Intuicyjnie myślę tak jak Jess: nie jestem jeszcze gotowa na Andrew. Najbardziej zabolęła mnie jej sugestia, że Andrew mógłby ewentualnie zerwać ze mną i dlatego od niego odeszłam. Słowa wydają się rozmyte, jak szum akustyczny, a ja nie mam siły, żeby je gramatycznie poukładać. Po kilku wódkach z tonikiem staje się dla mnie jasne, że muszę porozmawiać z Andrew. I to natychmiast.

Powtarzam sobie, że nie mam powodów do zdenerwowania. Mężczyzna, który stoi w rogu, widział mnie tyle razy naga, że nie zliczę. Jest kimś, kto zajmował połowę mojego łóżka, i pewnie jeszcze więcej miejsca w moim życiu. Nieważne, że ten mężczyzna w rogu zdaje się mnie nie dostrzegać, odkąd przyszedłam na przyjęcie, i pewnie wolałby pomówić z kelnerką w restauracji niż ze mną.

Przechodzę przez pokój, mijając przebierańców: nieruchomą postać, ptasią grypę, Mona Lisę, supermenkę, dwie kostki do gry i kolejnego pieprzonego kota.

- Cześć - zaczynam. - Mogę z tobą pomówić na osobności?

Ruchem głowy wskazuję łazienkę - jedyne miejsce na całym strychu, gdzie można znaleźć trochę prywatności. Reszta apartamentu przypomina ogromną scenę.

- Jasne - mówi Andrew. - Na razie, Carisse.

Dostrzegam, że zanim poszedł za mną, spojrzał na jej cycki.

- Co się dzieje? - pyta. - Jak się czujesz?

- Dobrze - odpowiadam. - Dobrze. A ty?

Nie mogę ustać na nogach i czuję się idiotycznie w tym moim kostiumie. Chcę wyglądać na zrelaksowaną, a w tej sukni to niemożliwe. Chwieję się na obcasach z powodu nerwów i zbyt dużej ilości wypitego alkoholu.

- W porządku - stwierdza. - Miło mi słyszeć, że czujesz się lepiej. W metrze wyglądałaś okropnie.

- No. - Nie mogę dłużej tak zdawkowo rozmawiać. Muszę powiedzieć to, co chcę. - Posłuchaj Andrew: tak.

- Co?

- Tak - mówię: tak.

Patrzę na niego i widzę, że on nie ma pojęcia, o czym ja gadam. Założę się, że zastanawia się, czy jestem bardziej pijana, niż na to wyglądam. Jestem.

- Tak? Tak, ale w związku z czym?

Wgapia się we mnie, ale się uśmiecha. Uważa mnie za zabawną, kiedy jestem pijana. Dodaję sobie animuszu, mówiąc w myślach: możesz to zrobić.

- Tak, chcę wyjść za ciebie - mówię krótko i na temat. Jestem z siebie dumna, że to powiedziałam.

- Słucham? - Andrew robi krok w moją stronę i patrzy na mnie. Wydaje się jeszcze wyższy, przerażająco wysoki. Włosy opadły mu na czoło, ale ich nie odgarnia. - Nie sądzę, żebym prosił cię o rękę. Właściwie nawet na pewno nie prosiłem cię. Co ty, do cholery, wyprawiasz, Emily?!

Czuję ciężar mojego imienia wypowiedzianego w pełnym brzmieniu. Nie Em, tylko Emily. Nie wygląda na zakochanego, ani nawet uprzejmego.

Jest wściekły jak diabli.

- Ja, ja tylko... Chciałam powiedzieć, że popełniłam błąd. Chcę powiedzieć: „Tak”.

Kładę pojednawczo rękę na jego ramieniu, jakbym mówiła: „Proszę, nie wściekaj się, damy radę”.

- Jesteś idiotką, wiesz o tym? Jak mogłaś pomyśleć, że po dwóch gównianych miesiącach, jakie mi zafundowałaś, chciałbym się z tobą ożenić? Rzygać mi się chce, jak o tym pomyślę. - W miarę jak się zapalał, mówił coraz głośniej, ale gdy się zorientował, ściszył głos. - Straciłaś rozum - mówi ostrym tonem, prawie szeptem. Oddycha głęboko i powoli. Wdycha i wydycha powietrze w sposób kontrolowany, jak na treningach jogi. - Wiesz co? Nie jesteś mi teraz potrzebna. Upiłaś się. Na szczęście ja mam dość rozumu za nas oboje. Będę udawał, że nigdy mnie nie obraziłaś tak jak w tej chwili. Będę udawał, że to nigdy nie miało miejsca. - Odwraca się ode mnie. - Żegnaj, Emily. Życzę ci powodzenia - rzuca przez ramię.

Taki nic nieznaczący dodatek.

- Ale, Andrew... - Nie kończę, bo już zniknął w tłumie przebiezańców.

Odszukuję Jess i mówię, że musimy iść do domu. Zaraz. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na mnie i pobiegła po nasze płaszcze. Potem bierze mnie pod ramię i prowadzi do wyjścia.

- Dobrze się czujesz? - pyta szeptem. Rozdaje uśmiechy na prawo i lewo, żeby nie zwracano na nas uwagi.

- Nie, niedobrze. Nawet nie spoko - odpowiadam.

Do tej pory starałam się nie wybuchnąć płaczem, ale dłużej nie dam rady się powstrzymać. W drodze do wyjścia rzucam szybkie spojrzenie za siebie. Nie pomogłam tym sobie. Widzę, że Andrew znowu rozmawia z Carisse, głowami są zwróceni do siebie, wygląda to jak karykatura flirtu. W drugim rogu dostrzegam faceta z diademem, który całuje kogoś, jego sztuczna sałata przygniata czyjeś białe ciało. Pokazuję ich Jess.

- O nie! - mówi. - To jest nie do uwierzenia!

I to jest ukoronowanie moich wyborów, które doprowadziły mnie do tej sytuacji: Burger King całujący się z kobietą przebraną za Dairy Queen. Wtedy się rozplakałam.

## 12

- Emily, kochanie? Halo, halo? - Grobowy głos odbija się echem w moim mieszkaniu i budzi mnie ze snu. - Nie jestem pewna, czy ta maszyna działa. Czy ona działa? - Słyszę głośnie pukanie. Osoba po drugiej stronie linii mocno stuka w słuchawkę. - Mówi Ruth Wasserstein. Zostawiłam ci już kilka wiadomości. Nie mogę się skontaktować z twoim ojcem. Wiem, że jest wcześniej rano, ale, proszę, zadzwoń do mnie. Bo... To jest ważne.

- Ruth? Cześć, to ja. Co się stało? - mówię. Zadziałał instynkt od sytuacji awaryjnych.

Pomimo kaca trzeźwieję natychmiast. Strach powoduje, że ustawiam się do pionu. Światło automatycznej sekretarki wściekle pulsuje. Liczę piknięcia. Pik. Pik. Pik. Pik. Pik. Pik.

Dziadek Jack! Coś mu się stało! Nie ma innego logicznego wytłumaczenia dla telefonu Ruth o ósmej rano w sobotni poranek. Dziadek Jack nie żyje. Tak to się odbywa: nieoczekiwany telefon i mrugająca automatyczna sekretarka.

- Wszystko w porządku. Weź oddech. Wszystko będzie dobrze - pociesza Ruth. - Chodzi o to, że on... No, zginął. Jack zginął.

- Zginął? Nie umarł?

- Umarł? Nie, nie umarł - odpowiada Ruth, śmieje się, ale zaraz milknie. - Tak myślę.

- Z tego, co mówisz, wynika, że dziadek Jack żyje, zgadza się? To chcesz powiedzieć?

- Och, kochanie, nie chciałam cię przestraszyć. Po prostu gdzieś się włóczy. Jestem pewna, że nic mu się nie stało. Dobrze by było, gdybyś mogła tu przyjechać. Dzwoniłam już na policję.

- Ruth? - Biorę głęboki oddech, w nadziei, że dzięki temu opanuję drżenie głosu. - Bardzo ci dziękuję, że zadzwoniłaś.

- Nie ma sprawy. Nie martw się, Emily, on na pewno tylko się gdzieś zawieruszył. - Mówi i odkłada słuchawkę.

Tylko się gdzieś zawieruszył - powtarzam w duchu.

Wybiegam z mieszkania, nie myjąc zębów ani nie czesząc włosów. Muszę znaleźć dziadka Jacka. Boże, proszę, nie pozwól, żeby umarł - powtarzam w rytm oddechu, jak mantrę. Nie mam czasu na pozytywne myślenie.

Sprintem wybiegam przez drzwi wejściowe, mijam portiera Roberta, rzucając mu przelotne spojrzenie. Jest starszym dżentelmenem, kilka lat młodszym od dziadka Jacka, i pewnie ma wnuki. Zalewa mnie chora zazdrość, uczucie podobne do tego, jakie dopada mnie w sklepie, gdy widzę matkę i córkę robiące razem zakupy (nawet razem korzystają z przebieralni). Dlaczego to Robert nie zaginął zamiast dziadka Jacka? - zastanawiam się. Dlaczego to zawsze przydarza się ludziom, których kocham? Czemu to się przydarza ludziom, za którymi najbardziej tęsknię? Pomimo lęku o dziadka jestem rozgoryczona i zła.

- Dokąd tak pędzisz, księżniczko? - pyta Robert, nieświadomy moich nienawistnych myśli na jego temat.

Jego uprzejmość zawstydzia mnie.

- Przykro mi, Robercie, ale muszę lecieć - odpowiadam. Dlaczego dziadek Jack?

- Baw się dobrze, księżniczko - rzuca za mną i przeciągle gwizdże.

Księżniczko?

Wsiadam do taksówki i każę kierowcy jechać do Riverdale. Pięć minut później uświadamiam sobie nagle, że nadal mam na sobie suknię drużyny panny młodej, to znaczy diadem i całą resztę. Dotykam metalowego diademu. To przerażająca część opowieści - część, która poprzedza szczęśliwe zakończenie. Ta, kiedy Kopciuszek zgubił bucik, a Śpiąca Królowna ugryzła zatrute jabłko. Czuję, że ostre zakończenia diademu wbijają mi się w palce. Naciskam z całej siły, aż pojawia się krew.

W domu opieki czeka już na mnie Ruth z dwoma policjantami. Są na tyle uprzejmi, że nie komentują mojego dziwnego stroju.

- Dzień dobry. Nazywam się Emily Pratt. Jack Pratt jest moim dziadkiem - mówię i podaję dłoń każdemu z nich.

Mam nadzieję, że suchy prawniczy ton mojego głosu odwróci ich uwagę od cekinów. Rozglądam się badawczo, może zaszła jakaś pomyłka i dziadek Jack siedzi gdzieś w kącie i czyta książkę. Czasem nie dostrzegamy okularów tkwiących na nosie i szukamy ich.

- Dwa radiowozy przeszukują ulice. Panno Pratt, jestem pewien, że wkrótce go znajdziemy - odzywa się jeden z policjantów. Jego dłoń swobodnie spoczywa na biodrze, nad kaburą pistoletu.

Mógłby mnie teraz zastrzelić - myślę. Zakręć pistoletem na palcu, jak to robią w westernach, i zastrzel mnie w tej chwili. Co musiałabym zrobić, żeby go sprowokować? Czy wystarczyłby wrzask do utraty tchu?

- Kochanie, czy rozmawiałaś ostatnio z ojcem? - pyta Ruth.

- Nie, zostawiłam mu tylko kilka wiadomości na sekretarce. Mam nadzieję, że je odebrał.

Kusi mnie, żeby przeprosić, że jestem jedyną osobą reprezentującą rodzinę. Czuję, że nie jestem odpowiednia do tej roli. Poradzę sobie z tym - powtarzam w duchu. Na miłość boską! Przecież skończyłam prawo na Yale. Poradzę sobie z zaginionym osiemdziesięcioletkiem. Dam radę.

- No dobrze. Co powinniśmy zrobić? Czy mam zacząć szukać na piechotę? Muszę coś zrobić - stwierdzam opanowanym głosem. Brzmi przekonująco. Z dziadkiem Jackiem wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze - myślę.

- Szanowna pani, sądzę, że najlepiej byłoby, gdyby zaczekała pani tutaj razem z panią Wasserstein. Otrzymałem od niej aktualne zdjęcie pana Pratta. Pielęgniarki pomagają nam go szukać. Znają jego ulubione miejsca. Proszę się nie martwić, damy pani znać, gdy go znajdziemy.

Zauważam, że nie powiedział „jeśli”, tylko „gdy”, co przyjmuję z ulgą. Znajdą go. Na pewno.

- Mam komórkę, możecie do mnie dzwonić, gdy będę go szukać - mówię i zbieram się do wyjścia.

- Pozwól, że pójde z tobą - prosi Ruth i kładzie mi dłonie na ramionach. Są takie delikatne, a zarazem silne. W ciągu sekundy, gdy ociągam się z odpowiedzią, pojmuję, że nie odpowiada mi jej propozycja.

- Proszę - mówi z naciskiem.

- Oczywiście.

Zanim wyjdę i rozpocznę własne poszukiwania, przyglądam się tym dwóm gliniarzom. Wyglądają na kompetentnych, mają broń i siwiejące włosy.

- Chodźmy, kochanie - mówi Ruth.

W drodze do automatycznych drzwi obejmujemy się. Na ulicy ona prowadzi.

- Co się stało? - pytam.

Lepiej się ruszać, coś robić, chociaż mój głos nadal wyraża niepokój. Z precyzją wynikającą z pięćdziesięciu lat praktykowania prawa Ruth przedstawia istotne fakty.

- Rano weszłam do jego pokoju. Nie było go tam. Pomyślałam, że poszedł na śniadanie, więc zeszałam na dół ale tam też go nie było. Pytałam, nikt go nie widział. Poprosiłam pielęgniarki, żeby poszukały go w budynku, bezskutecznie. Teraz już wszystko wiesz.

Pocieszająco, ale nie protekcjonalnie poklepała mnie po ręce. Ten prosty gest uzmysłowił mi, że bardzo tęskni za babcią, mamą, Andrew i dziadkiem Jackiem. Ogarnęła mnie taka żalność, że omal nie wybuchnęłam płaczem.

Pewnie poszedł się powłóczyć i zablądził. Czasami czuł się zagubiony.

- Tak.

Przez chwilę myślę o wydarzeniach wczorajszej nocy, a potem znowu o dziadku Jacku. Szukam sposobu, żeby się pocieszyć, ale nie jestem w stanie myśleć o niczym innym. Najlepiej opisała to Ruth: on jest zagubiony i zablądził, ale to nie łagodzi mojego niepokoj. To znaczy, że wkrótce stracę dziadka Jacka, być może stanie się to powoli. Tylko to się liczy, ale nie wiem, czy dam radę. Nie jestem pewna, czy zniosę stratę ich obu: Andrew i dziadka Jacka.



Ruth i ja opuszczamy dom opieki. Idziemy tradycyjną trasą dziadka. Towarzyszy nam udawana swoboda, jakby to była zwyczajna sobotnia przechadzka; udajemy, że cieszy nas raczkujące dziecko i szczeniak, który sika na trawnik. Nasze oczy mierzą okolice wzdłuż i wszerz, kierujemy spojrzenia w jedną i drugą stronę, rejestrujemy szczegóły. Przyglądamy się wystawom sklepowym, podziwiamy wiszące mięso, świeżo upieczone chleby, piramidy papieru toaletowego. Nigdzie nie ma dziadka Jacka.

Mam kryzys: kręgosłup sztywny, głowa pęka mi od tego skupienia. Żaden szczegół nie uchodzi mojej uwadze. Wyobrażam sobie wszystko, co najgorsze, nic na to ale poradzę. Na przykład: potykamy się o jego nieruchomo, porzucone ciało, portfel jest pusty, obok leży czapka z daszkiem. Albo: znajdujemy go zaniedbanego, przestraszonego, samotnego, tak że początkowo nie rozpoznajemy go. Nigdy nie zobaczę dziadka Jacka.

Kupuję Ruth gorącą czekoladę w kafejce. Siadamy przy jedynym stoliku i zajmujemy oba krzesła. Poniekąd czuję się rozczarowana, że nie było tam dziadka Jacka. Tym bardziej że właściwie w takim małym pomieszczeniu nie trzeba go było w ogóle szukać.

- Emily - zaczyna Ruth, przerywając moje zamyślenie - jak tam praca?

Uśmiecham się krzywo. Stara się odwrócić moją uwagę, doceniam to.

- Do bani.

- Rozumiem. Za dużo pracy, tak?

- No. I nieprzyzwoici szefowie.

Przyglądając się ulicom, opowiadam Ruth moją historię z Arkansas, o tym, jak znalazłam się po niewłaściwej stronie, i propozycji Carla. Nawet opisuję jego bokserki i to, co zobaczyłam. Nie jestem pewna, czemu dzielę się z nią tymi sprośnymi szczegółami, pewnie z powodu ciepła, które ma w sobie. Wie, jak się zachować. Oczywiście żadna z tych refleksji nie robi na mnie wrażenia, cieszę się, że na Ruth też.

- Sądzę, że sprawy zaszły za daleko - mówi. - Myślałam, że dla nas, kobiet, takie sprawy to przeszłość.

- Też tak myślałam.

Zaglądamy do lombardu, sklepu z antykami i apteki. Nigdzie nie ma dziadka Jacka. Gdzie, do diabła, jest dziadek Jack?!

Ruth pozwala mi się wygadać. Wyjaśniam, dlaczego nie doniosę na Carla w firmie. Jestem zaskoczona, że mnie rozumie. Jess nie rozumiała, że mogłoby mi to zrujnować karierę (nie pojęła mojego upokorzenia). Uważa, że siedzenie cicho to tchórzostwo. I pewnie tak jest.

- Myślę, że sama wiesz, czy ta sprawa jest warta zachodu. W życiu wybierasz wojny, które sama chcesz stoczyć - mówi Ruth. - Musisz wiedzieć, czego chcesz.

- Nie mam pojęcia, czego chcę.

Wiem tylko, że chcę odnaleźć dziadka Jacka. To wszystko, czego teraz chcę.

- Wiesz, myślę, że nam było łatwiej. Musiałam stoczyć każdą bitwę. Naprawdę nie było wyboru, przynajmniej ja nie miałam. Wy jesteście pokoleniem ludzi żyjących na kacu.

- Pokoleniem żyjącym na kacu? - Patrzę w dół na pomarszczoną suknię i filiżankę kawy; znam na pamięć mój obecny wygląd.

- To znaczy jesteście jak feministki nazajutrz po ostatniej manifie. Nie ma w nich już energii, żeby kontynuować walkę. Gdzie teraz jesteście? W czasach postfeminizmu?

- Nie wiem. - Sprawdzamy w banku. Potem między długimi rzędami regałów ze zdrową żywnością w błyszczącym nowością markecie. Takie produkty nie są w stylu dziadka, ale kto wie. Zajrzymy wszędzie, jeśli będziemy musiały - po prostu myślę, że ja nie mam siły. - Proszę, nie patrz tak na mnie, jakbyś była osobą wszystkowiedzącą.

Nie chciałabym, żeby Ruth oskarżała pokolenie kobiet w moim wieku tylko dlatego, że ja nie potrafię się zorganizować.

- Nie jestem. Sądzę, że się cofamy. Nie wiem dlaczego, ale u nas panuje jakaś fobia na punkcie intelektualnego rozwoju. A w Sądzie Najwyższym jest tylko jedna kobieta. Wiesz, że w Liberii wybrano kobietę na prezydenta? - Z emocji aż klasnęła w dłonie. Chciałabym widzieć ją w akcji, kiedy w czasach swojej świetności podejmowała decyzje i wydawała wyroki skazujące. Założę się, że gdy była młodsza, ludzie mówili o niej: „w gorącej wodzie kąpana” i używali tego powiedzenia, żeby ją wkurzyć. - A wracając do ciebie, kochanie... - ciągnie Ruth.

Odzyskawszy panowanie nad sobą, wygladza spodnie (dla podkreślenia zmiany tematu rozmowy). - Myślałaś, żeby rzucić tę pracę?

- I tak, i nie. To znaczy nie wiem, co mogłabym robić, gdybym odeszła. Jestem tym, kim jestem, jeśli to coś znaczy - zaczynam. - Kiedy ludzie pytają mnie o zawód, odpowiadam, że jestem prawnikiem. Sądzę, że to daje mi poczucie tożsamości. Naprawdę nie mam innej.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Ja odpowiadam, że jestem sędzią. Chociaż tak naprawdę teraz jestem starszą panią z domu opieki i jedyną rzeczą, jaką osądzam, jest comiesięczny konkurs talentów. Wiesz, że dziadek Jack wystąpił kilka miesięcy temu?

Ruth uśmiecha się i jej twarz się zmienia. Zmarszczki na policzkach przybierają kształt nawiasów, a przecinki przy oczach zamieniają się w apostrofy. Tak wygląda kobieta, która niczego nie żałuje.

Próbuję przypomnieć sobie występy dziadka Jacka, ale nie potrafię przywołać ani jednego dowcipu. Pamiętam tylko, jak stał w kafejce, w wąskim przejściu między stołami, i zaprezentował show dla mnie i Andrew. Zgotowaliśmy mu oklaski na stojąco.

- Ruth, jak doszłaś do tego, kim chcesz być? - pytam, ale to nie jest to, czego tak naprawdę chciałabym się dowiedzieć. Chciałabym wiedzieć, kiedy stanę się kimś, kim powinnam być.

- Kochanie, jeszcze nie odkryłam, kim chcę być - odpowiada Ruth na moje obydwa pytania i śmieje się serdecznie, nieskrępowanie, odrzucając głowę w tył. - Nie żartuję. Jeszcze tego nie rozgryzłam. Ale nie mów o tym moim córkom. Codziennie je okłamuję. Mówię im, że z czasem to odkryją. Niech robią to, co robią. Ale pozwól, że powierzę ci sekret, bo sądzą, że dochowasz tajemnicy. - Pochyliła się i szepcze mi do ucha: - Wszyscy rodzice okłamują swoje dzieci. To nasz obowiązek. Prawda jest taka, że wielu z nas nie

wie, co robi. Przez większość życia jesteśmy zagubieni i bardzo samotni. Przypuszczalnie Jack tak się teraz czuje.

Wspomnienie o dziadku, zaginionym albo zagubionym (czy cokolwiek innego się z nim stało), działa jak cios w żołądek. Przypomina mi, co mam, czego nie mam, a co być może stracę. Wałęsam się po małym parku i choć nadal rozglądam się za nim, nie jestem pewna, czego (kogo) szukam. Czy zagubieni ludzie wyglądają inaczej? Czy udawałby bezdomnego leżącego na ławce albo na trawniku?

- Emily, musisz zdać sobie sprawę, że układamy sobie życie dopóty, dopóki żyjemy - mówi i macha ręką w stronę ronda, kierunku dalszych poszukiwań.

Kiwam głową i zapisuję jej radę w pamięci, żebym później mogła sięgnąć do niej, kiedy będę jej potrzebować. Układamy sobie życie dopóty, dopóki żyjemy. Ruth bierze oddech, na chwilę milknie, jakby się nad czymś zastanawiała, poprawia włosy.

- Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

Pochyliła się w moją stronę, jakby szykowała się do przekazania mi ważnej tajemnicy. Ufam, że widzi bezsilność w moich oczach, ufam. Wie, że potrzebuję jej pomocy.

- Tak - mówię. - Chętnie posłucham.

- W 1985 roku zadzwonili do mnie i kazali oddać toę.

Śmiejemy się tak głośno, że ludzie na ulicy patrzą na nas, jakby śmiech był szkodliwy, na równi z zanieczyszczeniem powietrza w Bronksie. Ale rozładowuje napięcie i na chwilę zapominamy o naszej misji.

Na końcu parku skręcamy w lewo - „zabezpieczamy” teren, jak sugerują policyjne programy telewizyjne. Kiedy się rozglądamy, staram się nie zerkać na komórkę. Zresztą nikt nie dzwonił: ani policja, ani ojciec. Znowu rozmawiamy o pracy, wspominam nawet w kilku słowach o Andrew, ale nie o tym, co stało się wczorajszej nocy. Rana jest jeszcze zbyt świeża, a moja arogancja żenująca. Umiem tylko błagać po pijanemu, tak sobie tłumaczę moje idiotyczne zachowanie.

Na rogu jest restauracja podobna do naszej: ten sam zapach tłuszczu, takie same świetlówki i podobny pojemnik na ciastka. Wciągam Ruth do środka. Modlę się, żeby dziadek Jack tam był. Na ulicach było pustawo, może szukał schronienia w gwarze restauracji. To jest to miejsce, gdzie ja bym poszła - myślę. Tu by mnie znaleziono. W miejscu, gdzie słychać brzęk talerzy, rozbrzmiewa muzyka z szafy grającej, dzieci uwięzione w wysokich krzeselkach płaczą i plują jedzeniem. W takim miejscu można zostać odnalezionym albo się zgubić.

W boksie siedzi mężczyzna (tyłem do nas), ma czapkę z daszkiem, koszulę w kratkę, białe, cienkie włosy na karku i przynajmniej z tyłu wygląda jak dziadek. Tylko drobniejszy, o wiele drobniejszy. Pokazuję go Ruth.

Wolno podchodzimy do dziadka Jacka, żeby go nie wystraszyć. Gdy nas dostrzega, nie widzę ulgi na jego twarzy, że został odnaleziony, tylko szczęście, że nas zobaczył. Moją pierwszą myślą było: Dziękuję, że żyjesz.

- Och, witam moje ulubione damy. Proszę usiąść - mówi i wskazuje miejsce przed nim. Ruth i ja patrzymy na siebie bez słów i zastanawiamy się, jak się zachować. Wślizgujemy się na siedziska naprzeciwko dziadka, żebyśmy obydwie widziały jego twarz. - Dziewczeta, co dzisiaj robiłyście? Oczyszczyłaś metalową puszkę, Martha? - pyta Ruth, jakby była moją babcią. Ruth kiwa głową, trochę zaszokowana, ale chyba bardziej zrezygnowana. - A ty, moja droga, jak się miewasz? Powiedz mojemu synowi, żeby się pośpieszył i zrobił ci dziecko. Chcę mieć wnuki.

Dziadek Jack patrzy na mnie i chichocze. Myśli, że ja to moja mama.

Nie jest mi do śmiechu. Na myśl, że stałam się częścią jego złudzenia, ogarnia mnie przytłaczający smutek: ktoś, kogo kocham, nie pamięta mnie. Zostałam podstępnie wykasowana z jego pamięci. W czasie, w którym teraz żyje, nie było mnie na świecie.

- Dziadku? - pytam. - Czy ty się dobrze czujesz? Szukałyśmy cię. - Wybrałam najlepszą w tej sytuacji metodę: zignorowanie jego słów i nakłonienie go do rozmowy. - Naprawdę martwiłyśmy się. - Zmarszczyłam brwi, żeby zademonstrować mój niepokój, którego może nie dosłyszał w głosie.

- Och, kochanie... - Macha ręką, jakbym to ja mówiła bez sensu.

Nie jestem pewna, czy mnie rozpoznaje. Boję się odkryć prawdę. W jakimś sensie jego brak poczucia rzeczywistości jest pocieszający. Może będę udawać, że wszystko jest w porządku, a dzisiejszego poranka tylko na chwilę utracił kontrolę nad sobą? Ludzie wracają do normy.

- Jack, wezwaliśmy policję. Nie możesz wychodzić sobie tak po prostu, jak dzisiaj. Niepokoiłam się o ciebie. Pielęgniarki też były zmartwione.

Przez kontakt wzrokowy Ruth chce go sprowadzić do rzeczywistości. Nie udaje się jej. Dziadek patrzy na nią, ale tylko wzrusza ramionami. Komicznie podnosi i opuszcza ramiona.

- Och, daj spokój, Martha. Zawsze martwisz się bez powodu. Czuję się dobrze. Wyszedłem tylko na partię golfa, to wszystko. - Jego głos też się zmienił, jest niższy, a akcent jakby bardziej z Nowego Jorku. - Widziałem się z Charlotte. Twoja matka zawsze się mnie czepia. Chyba pozwalasz mojemu synowi wyjść czasem z domu, prawda?

Milczę zdruzgotana. Mam złamane serce. Dziadek Jack wydaje się w rozsypce. Nie jestem lekarzem, ale swoje wiem. Obydwie wiemy. Ruth i ja myślimy o tym samym: tak wygląda chory na alzheimera. W duchu modłę się, podobnie jak dzisiejszego poranka: Boże, proszę, pozwól, żeby wrócił. Przynajmniej na krótką chwilę.

Dwie godziny później jesteśmy w izbie przyjęć. Dziadek Jack wydaje się taki drobny. Z rękawów szpitalnej piżamy wystają chude ramiona. Siedzi prosto, stopy zwisają z chwiejnego łóżka, i skonsternowany rozgląda się dookoła.

- Co my tutaj robimy? - dopytuje się co kwadrans.

Wychodzi i wraca, kręci się tam i z powrotem, chwilę posiedzi i znowu zaczyna wędrować. Kiedy znika, Ruth i ja ignorujemy to, udajemy, że jego zachowanie jest naturalne.

Rozmawiamy z lekarzami, ale bez dziadka; jest w części oddzielonej zasłoną. Mówię, że to wygląda na niespodziewany atak. Ostatnim razem, kiedy widziałam go w restauracji, czuł się dobrze. Może pod koniec rozmowy wydawał się trochę zakłopotany, ale ogólnie był w dobrej kondycji.

- Emily - włącza się Ruth - przykro mi to mówić, ale od jakiegoś czasu czuł się źle. Próbowałam ci to powiedzieć podczas ostatniej wizyty - stwierdza uprzejmie.

Robi mi się gorąco, zawstydzenie jest gwałtowne i bolesne.

- Co teraz będzie?

- Niestety - mówi lekarz - nie potrafimy leczyć tej choroby. Powinien jak najszybciej zbadać go specjalista. Najważniejsze to dbać o niego.

Jego słowa są dla mnie jak policzek. Mężczyzna w białym fartuchu (wygląda na starszego o kilka lat ode mnie) ma całkowitą rację. Zastanawiam się, czy zauważył moje zakłopotanie.

- Teraz jest w dobrej formie - kontynuuje - ale powinien zamieszkać na piętrze objętym stałą opieką medyczną.

Chce mi się krzyżeć. Wiem, co to znaczy. Dziadek Jack wyjaśnił mi, że oddział stałej opieki jest ostatnim etapem przed końcem podróży.

- Potrzebuje stałej opieki - powtarza lekarz. - Na tym oddziale pielęgniarki nieustannie sprawdzają, czy wszystko jest w porządku. Proszę posłuchać, nie wiem, co wiecie na temat alzheimera...

- Niewiele - odpowiadam. - Tylko tyle, co widziałam w telewizji i dzisiaj.

- Twojemu dziadkowi pogarsza się pamięć. Z czasem nie będzie w stanie wykonywać podstawowych czynności, na przykład nie ubierze się sam. Ale z tego powodu się nie umiera. Przyczyna śmierci jest inna, no wiesz, po osiągnięciu pewnego wieku... - Lekarz patrzy przepaszająco na Ruth, ale ona w najmniejszym stopniu nie wydaje się dotknięta jego słowami.

- Nie będzie nas rozpoznawał? Będzie tak chodził tam i z powrotem? - pytam. - Zawsze już tak będzie?

- Trudno powiedzieć. Wydaje się, że dzisiejszy epizod był poważny, ale jutro może być bliżej rzeczywistości. To podstępna choroba. Wyobrażam sobie, co działo się wcześniej. - Lekarz patrzy na Ruth, oczekując potwierdzenia, a ona potakująco kiwa głową.

- Jednakże nie było aż tak źle. Nawet w przybliżeniu nie tak jak dzisiaj. To znaczy, gdybym wiedziała, byłabym... - Nie kończy zdania. Wygląda na zawstydzoną, jakby była winna tej sytuacji. Chciałabym jej powiedzieć, żeby nie robiła sobie wyrzutów.

Dźwigam poczucie winy za nas obie.

Później odwiozłam dziadka do domu opieki, zorganizowałam zamianę pokoju na położony na innym piętrze, zatrudniłam prywatną pielęgniarkę, podziękowałam policji i lekarzom. Ukryłam się w łazience i płakałam, rozpaczliwie obejmując Ruth. Zamówiłam dla niej bukiet kwiatów na jutro rano (jako niespodziankę), przebrałam się w pożyczoną koszulkę i szorty, podpisałam wszystkie medyczne formularze. Przy okazji odkryłam, ile towarzystwo ubezpieczeniowe Blue Cross Blue Shield pobiera za „stałą opiekę”.

Powiedziałam do widzenia dziadkowi Jackowi i wróciłam do pustego mieszkania. Światelko automatycznej sekretarki pulsowało rytmicznie...

Były trzy wiadomości od Ruth, zanim rozpoczęłam swój dzień i jeszcze nie byłam świadoma skutków choroby Alzheimera. Na końcu nagrał się ojciec.

- Hej, Em. Odsłuchałem wiadomości od ciebie. Przez cały tydzień biorę udział w spotkaniach w Waszyngtonie. Jestem pewien, że masz wszystko pod kontrolą. Pewnie gdzieś się włóczy. Wiesz, jaki Jack jest niezależny. Zadzwoń do mojej asystentki, gdybyś czegoś potrzebowała.

Jestem zbyt zmęczona, żeby zareagować na jego oczywiste odcięcie się od problemu dziadka. Tak jest wygodnie.

Pierwsza wiadomość została nagrana gdzieś w środku nocy (teraz wydaje mi się, jakby to było milion lat temu), kiedy spałam albo wracałam do domu z przyjęcia. Głos Andrew wskazuje, że jest pijany. Agresywnym tonem powtarza trzy razy jedno słowo:

- Nie, nie i nie.

## 13

Pierwszy raz Andrew powiedział „kocham cię”, gdy byliśmy w kinie i od mniej więcej trzech kwadransów trwał film sensacyjny. Pamiętam tylko, że był drastyczny i głupi. Coś o gangach w L.A. albo o skorumpowanych gliniarzach, albo o seryjnym mordercy. Wybrał go Andrew. Mieliśmy taki system, że ja chodziłam z nim na filmy sensacyjne, a on ze mną na romantyczne komedie. Naszym zdaniem była to dobra umowa. Zanim to powiedział, pamiętam, że siedziałam, delektując się ciepłem jego ramienia; czułam się lepka i pełna od słodczy i napojów gazowanych. Niezbyt uważnie oglądałam film, sądzę, że bardziej śledziłam akcję, niż wczuwałam się w problem.

Nie mam pojęcia, dlaczego Andrew wybrał tę chwilę i odwrócił się do mnie wtedy, kiedy drugoplanowy bohater zwałił się na ziemię, postrzelony w głowę i klatkę piersiową, a mózg i serce wylewały się na chodnik. Krwawe przedstawienie dla gapiów i widzów. Taki moment wybrał i pewnie nigdy się nie dowiem, dlaczego.

Odwrócił się do mnie i zaszeptał. W pierwszej chwili nie zrozumiałam, co do mnie mówi. Czułam tylko jego oddech łaskoczący mnie w ucho. Przechyliłam się w jego stronę i powiedziałam: „Nie słyszę”.

I wtedy, za drugim razem, usłyszałam: „Kocham cię” i znów poczułam łaskotanie.

Nie wiedziałam, jak zareagować. Zaczęłam drżeć, zrobiło mi się gorąco, zdenerwowałam się i spościłam. Pomyślałam, żeby się odwzajemnić tym samym, w tym momencie. Powiedziałam to kilka razy w myślach, poćwiczyłam w głowie: „Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię”. Jednak nie wypowiedziałam tego na głos, bo takich słów nie można cofnąć. Chciałam się zastanowić, upewnić, a nie mówić tego odruchowo. W milczeniu ścisnęłam tylko jego rękę. Czułam, że to za mało, więc pochyliłam się w jego stronę i



namiętnie go pocałowałam. Niesamowicie podobny pocałunek zobaczyliśmy później na koniec filmu, tuż przed napisami.

Po raz drugi Andrew powiedział „kocham cię” w niedzielne popołudnie, mniej więcej dwa tygodnie później. Był jeden z tych dusznych letnich dni, kiedy można tylko leżeć nago na łóżku przy włączonej klimatyzacji i nie wystawiać nosa na zewnątrz. Leżałam wtulona w niego. Andrew kreślił esy-floresy na moich ramionach, a ja zgadywałam, co napisał. Na przykład: „E. pachnie” albo „E. jest boginią seksu”. I o sobie: „A. wstrząsnął światem E.” i „A. jest przystojniakiem”. Bardzo się śmialiśmy, ramiona nam drżały, jakby nam było zimno. Nagle Andrew przestał się śmiać i ponownie napisał palcem: „Kocham cię”. Tym razem czułam ciarki na prawej łopacie.

Ujęłam jego palce i pocałowałam. Nie byłam pewna, czy powinnam coś powiedzieć, ponieważ on nic nie mówił. Ale najwyraźniej chciał usłyszeć echo swoich słów, bo przestał się śmiać. Leżeliśmy tak kilka minut, każde z nas nagle oddzielnie. Pomyślałam, żeby powiedzieć to głośno. Było jasne, że Andrew potrzebował tego, ale ja tylko ćwiczyłam w myślach, zmartwiała ze strachu; miałam wątpliwości, czy te słowa przejdą mi przez usta.

Chwilę potem Andrew wstał, wziął z podłogi dzinsy, koszulkę i poszedł do łazienki ubrać się. Zostawił mnie nagą, samotną na łóżku i wyszedł w ten upał i żadne z nas nie powiedziało ani słowa. Nawet tego oczywistego, jakim jest do widzenia.

Nigdy nie rozmawialiśmy o tym niedzielnym popołudniu. Dwa dni później, gdy się spotkaliśmy, popatrzył mi w oczy i powiedział: „Zostawmy to”. I tak zrobiłam. Nie potrafię funkcjonować, gdy coś pozostało niewyjaśnione. Andrew nie wyznał mi ponownie miłości przez długi czas. Oboje wiedzieliśmy, że te słowa nie zaistnieją w naszym życiu, dopóki ja do nich nie dojrzeję.

Rok później byliśmy w kawiarni Starbucks - tej, która ma takie oszczędne wyposażenie, ciasteczka wegańskie i herbaty o hiperobiecujących nazwach, na przykład „pogoda ducha” albo „wewnętrzny spokój”. Miałam przy sobie stos papierów (do których chciałam zajrzeć w ramach nadgodzin, w czasie weekendu); Andrew trzymał w ręku kubek, nos miał utkwiony w gazecie „New York Times”. Byliśmy parodią pary yuppies nowego stulecia. Siedzieliśmy w milczeniu, choć nie towarzyszyła nam cisza. Zewsząd dochodziły typowe kawiarniane dźwięki: bulgotanie ekspresu do kawy, trzaskanie kasy, dźwięk dzwonka nad drzwiami. Andrew też hałasował: czasem parsknął śmiechem, rozbawiony tym, co przeczytał, brzęczał kluczami w kieszeni, pociągał nosem, bo właśnie wychodził z przeziębienia (w ten sposób czyścił gardło). Wsluchiwałam się w te specyficzne odgłosy: rytm oddechu Andrew (wdech - wydech), powolny świst, parsknięcie, brzęczenie kluczy, pociągnięcie nosem.

Byłam jak zahipnotyzowana.

Chciałabym mieć ścieżkę dźwiękową z tymi odgłosami.

To jest miłość - pomyślałam. Chcę, żeby te hałasy zawsze mi towarzyszyły. Wtedy, ni stąd, ni zowąd, wypowiedziałam te dwa słowa, zanim pomyślałam o konsekwencjach.

- Kocham cię.

Andrew tylko się uśmiechnął, pokiwał głową i wrócił do czytania. Później w łóżku powtórzył to po raz czwarty, a ja po raz drugi. Wtedy, ale tylko wtedy, te słowa były częścią wspólnego życia; bicia naszych serc były dodatkiem do odgłosów nocy.

W niedzielę rano budzę się w pustym mieszkaniu i postanawiam przywrócić ład w moim życiu. Najpierw dzwonię do dziadka Jacka. Rozpoznaje mój głos. Od wczoraj odkąd odnalazłam religijną stronę życia, stale zwracam się do Boga. Dziękuję - mówię i proszę o więcej łask.

Dziadek Jack i ja będziemy odtąd przeprowadzać długie rozmowy przez telefon, zwłaszcza w te weekendy, kiedy nie będzie mi się chciało jechać do Riverdale albo nawał pracy mi na to nie pozwoli. Będziemy rozmawiali o wszystkim i o niczym; o filmach, które widzieliśmy (ale nie o tych samych), o polityce rady mieszkańców (do niedawna był jej prezesem), restauracjach (wspólne posiłki sprawiają nam przyjemność) i moim ojcu (niewyjaśnionej zagadce, obiekcie fascynacji nas obojga). Dzisiaj rozmawiamy o pogodzie.

- Jak tam u ciebie? - pyta.

- Jeszcze nie wiem. Pewnie jest ze szesnaście stopni. Niebo częściowo zachmurzone. Weź marynarkę.

- I palto?

- Nie, to byłaby przesada.

- Parasol?

- Nie sądzę, dziadku. Ale załóż czapkę.

- Dobrze.

- A dokąd się wybierasz?

- Na spacer.

- Poproś pielęgniarkę, żeby ci towarzyszyła, proszę.

- Emily.

- Proszę.

- Czapka: wziąłem. Marynarka: wziąłem. Pielęgniarka: sprawdziłem, jest w kieszeni. W porządku, jestem gotowy.

W tle słyszę pielęgniarkę, która mówi z silnym akcentem jamajskim, że pójdzie z nim na spacer.

- Emily?

- Tak?

- Czy ty się dobrze czujesz?

- Doskonale, dziadku.

- Mam włożyć marynarkę? Palto nie muszę?

- Kocham cię - mówię, zanim się rozłączę.

- Dziecko, też cię kocham - mówi. - Trzymaj się. Teraz muszę naprawić to, co popsulałam wczoraj. Wiem, że jestem winna Andrew przeprosiny, ale nie chcę tego zrobić w rozmowie. Muszę wymazać moje upokorzenie - agresywne, aroganckie zachowanie wobec niego.

Sądzę, że najlepszym wyjściem jest e-mail. Taki wirtualny odpowiednik karteczki, którą można zostawić na poduszce po spędzeniu z facetem jednej nocy.

Do: Andrew T. Warner

Od: Emily M. Pratt

Temat: Przepraszam

Cześć, A. Chcę Cię przeprosić za wczoraj.

Najwyraźniej widok Króla wstrząsnął mną.

Na serio, przepraszam. Za wszystko.

Żegnaj, Andrew.

XO,

Emily

Nie wysłałam go od razu. Co kilka minut wracam do komputera i czytam ten tekst, jakby po raz pierwszy. Co ty chcesz powiedzieć, Emily? Ciekawe, czy się wkurzy. A może uzna za niestosowny żart. Czy „Żegnaj, Andrew” nie jest zbyt melodramatyczne? Może powinnam nawiązać do wiadomości od niego? Nie, był pijany, zasłużyłam sobie na to. Już wykasowałam to z pamięci.

Nie wiem, jak zakończyć e-mail. Napisać „Kocham” „Wszystkiego najlepszego” czy „Ukłony”. Zdecydowałam się na XO, choć najpierw napisałam XOXO, potem XOXOXO, by wreszcie pozostawić XO. Nie pamiętam, która litera znaczy uściski, a która pocałunek. Nie jestem pewna, czy chciałabym Andrew przytulić i pocałować, czy tylko przytulić albo tylko pocałować. Gdybym napisała więcej niż jeden symbol dotyczący każdej z tych czynności, byłaby to przesada, nawet desperacja. Jeden bez drugiego wyglądałby dziwnie. „Kocham” jest zbyt intymne, dające wiarę, że mi wybaczy.

W końcu wysłałam pierwszą wersję. Mocno nacisnęłam klawisz, już nie mogę tego cofnąć. Mój e-mail jest teraz gdzieś w przestworzach, poza moją kontrolą, w drodze. Wyobrażam go sobie jako konkretną rzecz. W zgrabnym szyku, z poszumem, depeze przelatują nad miastem. Na przykład ode mnie na przedmieście, gdzie mieszka Andrew, docierają szybciej niż szósta linia metra z Bronksu na Manhattan.

Podobno przeciwieństwem miłości nie jest nienawiść, lecz obojętność. Ludzie w to wierzą, jakby ten pogląd miał magiczną, wręcz pocieszającą moc. Lepiej być znieawidzonym niż zignorowanym przez wściekłego eks; ogólnie rzecz biorąc, lepiej być znieawidzonym niż ignorowanym.

Poza tym można spędzić życie i nie zaznać miłości.

Myślę, że to bzdura. Głupstwa wypisywane na papierze, z którego później robi się zrolowane kuchenne ręczniki. Chwytnie hasło wyszywane na poduszkach. Czy obojętność mogłaby być gorsza niż nie-

nawiść? Jakie to przygnębiające, że moglibyśmy przebywać w otoczeniu ludzi, którzy czują wobec nas coś gorszego niż nienawiść.

Nie wierzę w to. Gdyby tak było, nie mogłabym teraz podnieść słuchawki telefonu. Obojętność nie pozwoliłaby mi zadzwonić do ojca.

Oczywiście podnoszę słuchawkę, wybieram numer, już pewnie szósty raz z rzędu w ciągu dwudziestu czterech godzin, i czekam, aż włączy się automatyczna sekretarka.

W myślach powtarzam wiadomość, trochę „ognistą”, ale nie prowokacyjną, i wtedy słyszę przerywany głos ojca.

- Słucham, mówi Kirk Pratt.

- Cześć, tato - odpowiadam - to ja, Emily. - Wyjaśniam, jakby miał więcej niż jedno dziecko.

- Cześć, kochanie. Jak się sprawy mają? Czy znalazłaś już mojego ojca? - Śmieje się ze swojego dowcipu, jakby dziadek Jack ciągle się gubił, a ja robiłabym z igły widły. Załamuję się. Moja reakcja, jak zwykle, rozczarowuje mnie: płaczę, a jestem tylko zła.

- Tato? - Głos mi drży. Kładę głowę na kuchennym stole, czuję jego zimno na czole. Nie mogę się zdecydować, czy poprosić ojca, żeby mi pomógł, upewnił mnie, że dobrze zajęłam się dziadkiem Jackiem, czy raczej powiedzieć mu, żeby zostawił mnie w spokoju i poszedł sobie do diabła. Pozwolić mu lecieć do Connecticut i nie zawracać głowy rodziną. - Tato, wczoraj naprawdę było niedobrze.

- Wybacz mi na sekundę, Emily. - Zakrył dłonią słuchawkę, ale słyszę, jak rozmawia z kimś na temat faksu i sześciu kopii. Głos ma surowy, wyobrażam sobie, że ludzie, którzy z nim pracują, uważają go za groźnego. Ciekawe, czy snują zbrodnicze fantazje na jego temat, tak jak ja o Carlu. - Już jestem. Przepraszam. Słucham cię, Emily. Co się stało?

- Dziadek Jack zaginął. Ruth i ja znalazłyśmy go w restauracji. Był zdezorientowany, tato. - Zaczynam płakać, łzy wolno spływają mi po policzkach. Nie wycieram ich i nie pozwalam, żeby ojciec się zorientował w moim stanie. - Nie poznał nas.

- Cholera! - wykrzykuje. Słyszę, jak odsyła asystentkę mówiąc ostrym tonem: - Nie teraz. - I do mnie: - Powiedz mi, co się stało - prosi.

Zmienia głos jak rasowy polityk. Nagle stał się obowiązkowy, opanowany. W pewnym sensie czuję ulgę - nie muszę sama dźwigać odpowiedzialności.

- Od jakiegoś czasu źle się czułam, ale ja tego nie zauważyłam podczas ostatnich odwiedzin. Ruth próbowała mi to powiedzieć, ale nie słuchałam jej - mówię jak na spowiedzi. Biorę całą winę na siebie, choć wiem, że ojciec jest tak samo winny jak ja. Nie był w Riverdale od miesiąca.

Ze szczegółami opowiadam, jak szukałyśmy go z Ruth przez kilka godzin. Dziadek nie poznał nas, a lekarze powiedzieli, że będzie jeszcze gorzej. Nie wspomniałam o tym, że pomylił mnie z moją matką.

- Dobrze. W takim razie musimy zatrudnić pielęgniarkę, przenieść go na inne piętro, sprawdzić ubezpieczenie. Pozwól, że poproszę asystentkę do telefonu, ona się tym zajmie.

Jak zwykle najpierw strategia, potem emocje.

- Wszystko już załatwione. Nie oddzwoniłeś do mnie wczoraj, sama się wszystkim zajęłam.

To mój jedyny przytyk, taki maleńki. Milczy, więc zrozumiał. Może to okrutne z mojej strony, ale mam nadzieję, że wyrzuca sobie wczorajszą nieobecność.

Zdaję ojcu sprawę na temat towarzystwa ubezpieczeniowego, zamiany pięt, telefonu do lekarza pierwszego kontaktu. Trzymam się szczegółów (łagodzą ból). Ojciec wypowiada się podobnie. To jedna z nielicznych cech, jakie nas łączą.

- W przyszły czwartek ma wizytę u neurologa. Chciałabym pójść z nim, ale nie wiem, czy będę się mogła wyrwać z pracy.

- Ja pójdę - mówi ku mojemu zaskoczeniu ojciec. - Oczywiście, że pójdę.

Poprzez hałas w tle słyszę, że prosi asystentkę, żeby naniosiła zmiany w harmonogramie. Jedzie do Nowego Jorku.

Podnoszę głowę i przechylam ją do tyłu. Zamykam Oczy i milczę przez kilka sekund. Teraz łzy spływają mi we włosy.

- Emily? Jesteś tam?

- Jestem, tato.

- Emily, przepraszam. Wkrótce się zjawię.

- Wiem, tato.

- Cieszę się, że byłaś tam wczoraj. Ja... ja nie wiedziałem.

- Wiem, tato.

Lepiej późno niż wcale - myślę. Oklepany frazes, jak na spóźnionej kartce urodzinowej, niemniej jednak nie mówię tego.

- Kocham cię, przecież wiesz.

- Wiem, tato - odpowiadam, co oczywiście jest kłamstwem, bo powinnam była powiedzieć: „Wiem, tato. Wiem, że mnie nie nienawidzisz”.

## 14

Nie witam się z Marge, kiedy mijam ją przy bramce bezpieczeństwa w drodze do biura. Pierwszy raz w ciągu pięciu lat pracy nie mówię „cześć” ani „dzień dobry albo „jak się masz”. Nawet nie kiwam głową. Natomiast myślę: „Pierdol się, Marge. Chrzanię cię”. Kieruję swój gniew wprost na nią, nawet nie patrząc w jej kierunku, nie reagując na jej obecność. To taka zemsta za to, że tak długo mnie ignorowała. Dzisiaj Marge uosabia całe zło mojego życia. Nagle czuję to wszystko jednocześnie: gniew skierowany na niedostępny cel. Nienawidzę Marge z wielu powodów, ale przede wszystkim dlatego, że wiem, iż nie zauważy mojego lekceważenia. Moja nienawiść rozlewa się po podłodze jak kałuża pod stopami, pieprzona żółta kałuża. Przechodzę obok. Pierdol się, Marge.

Po wejściu do windy widzę paskudnego mężczyznę w pięknym garniturze. Biegnie, żeby zdążyć przed zamknięciem drzwi. To Carl. Natychmiast naciskam przycisk, ale Carl wkłada dłoń między framugę i zamykające się drzwi, a kiedy się otwierają, wsuwa się do szklanego pomieszczenia. Błyska triumfalnym uśmiechem. Jest jasne, że tak jak we wszystkich innych przypadkach traktuje tę sytuację jak zwycięstwo. Pieprz się, Carl - myślę - zajmujesz mi przestrzeń w windzie. Pieprz się. Carl mówi „dzień dobry”, więc nie mam już tej luksusowej sytuacji, że mogłabym go zignorować. On jest niezatapialny, pomimo historii z penisem, ten mój szef.

- Witam, Carl.

Celowo nie odpowiadam „dzień dobry” - to taki maleńki wyraz buntu. Nie życzę mu dobrego dnia, właściwie nie jestem pewna, czy on w ogóle zasługuje na to, żeby mieć dobry dzień. Znam mnóstwo ludzi, którzy zasługują na to o wiele bardziej.

- Emily, cieszę się, że cię widzę. Chcę, żebyś przejrzała dokumenty związane ze sprawą Synergonu. Jest tego kilka kartonów.

- Kilka kartonów?

Mój głos jest spokojny, choć po fałszywym tonie Carla domyślam się, co teraz nastąpi: zrzuci mi tę całą kupę na biurko. Przejrzenie dokumentów, nic więcej. To oznacza furę nużącej roboty, doprowadzającej do alkoholizmu i masturbowania się w łazience. Zazwyczaj wykonuje ją ktoś mniej zaawansowany stażem ode mnie. To robota dla kogoś, kto jeszcze nie zapracował sobie na uznanie. Ja już zapracowałam na swój sukces. Przez pięć pieprzonych lat. Pierdol się, Carl.

- No - mówi, celowo przedłużając atmosferę grozy. - A ściśle: sześćset siedemdziesiąt osiem. I muszą być przejrzone do poniedziałku.

- To niemożliwe - odpowiadam. - Poproś kogoś ze stażystów do pomocy. Nie ma mowy, żebym sama przejrzała te akta do poniedziałku. Sześćset siedemdziesiąt osiem kartonów?

Podnoszę ręce na znak buntu, co powoduje, że Carl gapi się na mój biust.

- Nie, Emily. Ty je przejrzysz. Znasz tę sprawę lepiej niż ktokolwiek inny. Nie chcę, żeby jakiś głupi stażysta coś zawałił. Ufam ci.

W zamierzeniu Carla miał to być komplement. Kilka miesięcy temu dałabym się na to nabrać, ale dzisiaj mnie to nie rusza. Nie spędzę dwudziestu czterech godzin dziennie w pokoju konferencyjnym na czytaniu strona po stronie akt Synergonu.

- Nie ma mowy, Carl. Nie zrobię tego.

Jestem dumna z siebie, że stawiałam mu czoło. Może potrafię się zmienić. Może w końcu stanę się osobą, które potrafi głośno mówić to, co myśli.

- Zrobisz. - Carl taksuje mnie wzrokiem, jakby oceniał moją wartość: czy mimo wszystko powinien jechać ze mną tą samą windą. - I wiesz co, Emily - dodaje, wysiadając z windy - zrobisz to.



Idealna synchronizacja. Drzwi zamykają się tuż za nim, jak kropka kończąca zdanie. Choćbym chciała odpowiedzieć, nie mam komu. Zostałam sama. Patrę na swoje odbicie w lustrzanych drzwiach, po pół sylwetki w każdej z dwóch części.

- Pierdol się, Carl - mówię głośno.

Gniew sprawia, że starannie wymawiam każdą zgłoskę, rozkoszuję się ich wyrazistością. W rzeczywistości chcę powiedzieć co innego. Naprawdę chcę powiedzieć: „Pierdol się, Emily. Pierdol się”.

Pierwszą rzeczą, jaką robię po wejściu do biura, jest sprawdzenie e-maili. Andrew nie odpisał. Powtarzam sobie, że w końcu wiadomość od niego pojawi się na ekranie. Na tym etapie nie bardzo wiem, co mógłby mi napisać. Martwię się tylko, że odpowiedź może się nigdy nie pojawić.

- Gdzie byłeś w piątek w nocy? - pyta Mason, wchodząc bez pukania. Siada na fotelu dla gości, zakłada nogę na nogę i zerka na mnie zaspanymi oczami. - Kochanie, wyglądasz do dupy - stwierdza, zanim mam szansę odpowiedzieć na jego pytanie.

Jego głos jest czuły. Wiem, że powiedział to z życzliwości.

- Odpieprz się, Mason - mówię, ale nie brzmi to przekonująco.

Uśmiecham się do niego i oboje wiemy, że żartuję. W pamięci karcę się za wulgarny język. Nigdy nie wiadomo, czy w pobliżu nie znajdują się jakieś dzieci. Z rachunku sumienia wynika, że jestem trochę zdemoralizowana. Pytam poważnie. Dobrze się czujesz?

Jest bardziej zaciekawiony niż zaniepokojony.

- Trzymam się jakoś. Miałam ciężki weekend.

- Chcesz pogadać? - Mason pochyla się w moją stronę, jakby chciał powiedzieć: „Mnie możesz zaufać”.

- Nie, nie za bardzo. Przepraszam, musiałam wyjść wcześniej z przyjęcia. Chciałam się powłóczyć.

- Nie widziałaś mojego fantastycznego kostiumu - stwierdza.

Dzwoni telefon. To Carl. Nie odbieram. Taśmą oklejам sobie palec, powstaje przezroczysty opatrunek.

- Naprawdę? Kim byłeś?

- Królową balu szkolnego.

Królową balu? Przystaję bawić się taśmą i przeciągle patrzę na Masona. Zawsze był przystojny, ale dopiero dziś dostrzegam jego długie, podwinięte do góry rzęsy, takie same jak w reklamie mascary. Może Mason i ja mieliśmy być jak Burger King i Dairy Queen? Może zawsze był przy mnie?

- Poważnie?

Przypominam sobie ostatnią dziewczynę Masona. Pamiętam, że kiedy widziałam ich razem, wyglądali na szczęśliwych.

- Nie, tylko żartowałem. Słyszałem, że miałaś świetny kostium, Em.

Odpędzam myśl o uprawianiu seksu z Masonem (oboje mamy diademy na głowie).

- Żałuję, że nie przyjrzałem się twojej purpurowej kreacji - mówi i puszcza do mnie oko.

Telefon znowu dzwoni. To Carl po raz drugi.

- Musisz odebrać?

- Nie, to Carl. Może gdy go zignoruję, to się odwali. Kim tak naprawdę byłeś, Mace?!

- Ach, nikim szczególnym. Poszedłem na łatwiznę.

Przebrałem się w to, co zawsze: kowbojski kapelusz, buty i za ciasne lewisy. Wyglądałem kusząco.

- Jestem o tym przekonana, kochanie - powiedziałam, juk najlepiej udając południowy akcent.

- Nie masz pojęcia, pączuszk. - Znowu mruga do mnie i śmieje się. Tylko Mason potrafi mrugnąć do dziewczyny dwa razy w ciągu pięciu minut. - Widziałem, jak na przyjęciu Andrew podrywał Carisse. Szybko się zaprzyjaźnili.

- Co? Nie zauważyłam.

- Naprawdę? Myślałem, że z tego powodu wybiegłaś.

- Nie wybiegłam. - Spogląda na mnie wzrokiem, który mówi: „Och, przestań, widziałem, widziałem cię i twoją purpurową sukienkę”. - No dobra, wybiegłam. Ale nie z tego powodu. Mówiąc szczerze, nie chce mi się o tym gadać.

- Brzmi uczciwie. Powiedz mi tylko, czy ty się dobrze czujesz, Pratt. Zaczynam się martwić. Ostatnio wyglądasz jak zombie.

- Wiem. Ale czuję się dobrze.

- Serio?

- Serio.

- Przysięgasz na życie matki? Po tym pytaniu orientuję się, że Mason nie zna mnie zbyt dobrze.

- Przysięgam - potwierdzam, a on zadowolony wychodzi z biura.

Ignorowanie Carla nie daje efektu. W ciągu następnej półgodziny zostawia mi na sekretarce trzy wiadomości i posyła sześć e-maili. Muszę wyjść na chwilę i rozważyć następny krok. Odmawiam przejścia sześciuset siedemdziesięciu ośmiu pudeł. Nie mogę tego zrobić. Nie zrobię tego. Zastanawiam się, czy nie wsiąść do windy, nacisnąć odpowiedni przycisk, zjechać na parter i wtopić się w anonimowy tłum na Park Avenue. Doświadczyć jesiennej pogody, rześkiego powiewu wiatru na twarzy. Może nawet zostawić nieuprzątnięte biurko z aktami Synergona i fotografią w ramce. Zacząć wszystko od nowa. Zmienić nazwisko, przybrać jakiś pseudonim, który lepiej wyraziłby moją osobowość. Trzeba tylko stąd wyjść. Kiedyś to sobie powiem: „Wyjdź przez obrotowe drzwi”.

Dziś nie mam dość odwagi, żeby postąpić zgodnie ze znaczeniem mojego nazwiska\* i porzucić pracę. Ze spuszczoną głową idę do damskiej toalety. Czuję ulgę, zanim opróżnię pęcherz.

\* Pratt (ang.) - głupek, idiota (przyp. tłum.).

Uwielbiam toalety w APT: blaty z czarnego marmuru, platynowe krany wygięte w kunsztowny łuk. Umywalki wychodzące wprost ze ściany, jakby na przekór grawitacji. Ale najlepsze są kabiny: ogromne,

większe niż przebieralnie u Bloomingdale'a. To takie miejsce, gdzie, pomijając nieprzyjemne zapachy, gdy akurat jakaś dziewczyna korzysta z toalety, można się na chwilę schronić. Zwykle zajmuję drugą kabinę po prawej stronie i przez dół drzwi obserwuję defiladę czarnych pantofli na obcasach.

Siadam na sedesie i zamykam oczy. Może w ten sposób powstrzymam obrazy cisnące się do głowy. Zmarszczone brwi Andrew, kiedy był zdezorientowany, bo z nim zerwałam, i wygładzone w prostą linię na imprezie. Rozpiętą koszulę Carla w pokoju hotelowym. Triumfujący uśmiech Carisse. Wzrok dziadka Jacka, gdy patrzy na mnie i widzi moją mamę.

Czuję, jak moje ciało zaczyna się rozluźniać. Opieram brodę na dłoniach. Przywołuję w pamięci nagrane na płytę dźwięki oceanu. Czasem puszczam ją sobie w nocy i szybko się relaksuję. Fale przyplývają i odpływają, gorący piasek przesypuje się między palcami stóp. Myślami błędzę gdzieś daleko... Zасыpiam.

Nie wiem, jak długo tak siedziałam, ale biorąc pod uwagę sztywne ramiona, ślinę ciekącą mi po brodzie - dość długo. Budzę się na krzyk mojej sekretarki.

- Jesteś tam, Emily?! - woła i puka w drzwi. - Dobrze się czujesz?

- Świetnie. Świetnie. Za sekundę wyjdę - odpowiadam. Przygotowuję się psychicznie do opuszczenia bezpiecznego terytorium. Dam radę.

- Carl cię szuka. Telefonuje co pięć minut i kręci się koło twojego biura. Powinnaś zadzwonić do niego.

- Ten człowiek nie daje mi żyć.

Zbieram się w sobie. Nie chcę wyglądać jak ktoś, kto właśnie spał w ubikacji. Wygładzam marynarkę i modląc się, żebym nie miała śladów na czole od metalowego uchwytu na papier toaletowy, wychodzę z kabiny.

Jak na zawołanie słyszę, że jestem wzywana przez głośnik:

- Emily Pratt. Emily Pratt. Proszę zgłosić się pod numer wewnętrzny 670. Proszę zgłosić się pod numer wewnętrzny 670. Proszę zgłosić się pod numer wewnętrzny 670.

To numer Carla.

- Zginie beze mnie - mówię do Karen.

Patrzy na mnie z sympatią i matczynym gestem głaszcząc po głowie. Czuję przyplýv miłości do niej, poddaję się pieszczocie jej dłoni. Przynajmniej mam Karen. Przynajmniej moja sekretarka mnie kocha.

- Maleńka, masz kawałek papieru toaletowego we włosach.

Schodzę dwa stopnie do biura Carla. Stukot obcasów na posadzce brzmi jak odgłos werbla wybijającego rytm. Nawet nie można posiedzieć w spokoju w toalecie. Jak śmiesz, Carl!

Bez pukania otwieram drzwi, wchodzę, jakby to było moje biuro. Jestem wściekła. Pierdol się, Carl. Pierdol się. Siadam na krześle dla gości, a on patrzy na mnie, zdziwiony moim zachowaniem.

- Dzwoniłeś do mnie, kręciłeś się pod moimi drzwiami, wzywałeś mnie przez głośnik. Co mogę dla ciebie zrobić?

Moje słowa ociekają sarkazmem. Nie będę udawać, że jestem uprzejma. Biorę kilka oddechów, w nadziei, że to podziała uspokajająco, ale tlen tylko bardziej mnie rozpała. Mam ochotę walnąć go w głowę laptopem, wydrapać mu oczy, kopnąć w jaja.

Nienawidzę Carla bardziej niż Marge, Carisse i ojca. Nienawidzę z całego serca.

- No więc. Chciałem omówić sprawę kartonów z aktami. Muszą być przejrzone możliwie szybko.

Zaczyna spokojnie. W jego oczach widzę zaciekawienie, nie gniew. Zwykle inaczej to rozgrywa. Wkurza mnie sposób, w jaki mówi „możliwie szybko”. Chcę krzyknąć: mówi się „tak szybko, jak to możliwe”, ty przygłupie. A nie „możliwie szybko”.

- Nie. - Nie patrzę mu w oczy, bo boję się, że stracę panowanie nad sobą.

- Słucham?

- Nie przejrzę tych akt. Pracuję w firmie pięć lat. To robota dla pierwszorzoczników, w sam raz dla stażystów - mówię szybko, pospiesznie wymawiając słowa.

Rozgrzewa mnie złość. Nie zrobię tego. Powtórz, Emily: nie zrobię tego.

- Przykro mi, ale decyzja nie należy do ciebie. Zrobisz to, bo cię o to proszę.

Czy to znaczy, że mam pozwolić się wykończyć, bo mnie o to prosisz? Nie mówię tego głośno. Zdaję sobie sprawę, że nie mogę. Znalazłam się na krawędzi przepaści. Jeden nierozważny krok i polecę w dół.

- Carl, nie zrobię tego. Możesz mnie zwolnić, ale oboje wiemy, że nie byłoby to mądre z twojej strony, wzięwszy pod uwagę to, co się stało w Arkansas.

Nuta groźby pojawiła się w moim głosie bez udziału świadomości. Nie wierzę, że to powiedziałam. Carl jest w szoku. Próbuje odzyskać panowanie nad sobą. Co ja zrobiłam?

- Dobra, zrozumiałem. Znajdę kogoś do przejrzenia tych pudeł, ale w przyszłości nie będę akceptował takiego zachowania. Uważaj, Pratt. Uważaj! Masz tylko jednego asa w rękawie.

Przez chwilę jestem pod wrażeniem słów Carla. Chyba trochę przeholowałam. Delikatnie przypomniał mi, że to on ma władzę.

- Wiesz co? Odchodzę - mówię i sama jestem zaskoczona tym, co powiedziałam. Nie zaplanowałam sobie tego. Palnęłam bez chwili zastanowienia. Więc to jest ten dzień, kiedy odejdę - myślę sobie. Nie zapomnę go. Będzie się różnił od wczorajszego i jutrzejszego, bo dzisiaj stąd wyjdę.

Carl patrzy na mnie ze spokojem, nawet błogo, nie wydaje się w najmniejszym stopniu poruszony moimi słowami.

- Daj spokój. Nie przyjmę twojej rezygnacji. Nie pozwolę ci odejść. Jesteś wartościowym pracownikiem APT. Wielokrotnie dałaś dowód swojego poświęcenia dla firmy. Nie możesz zrezygnować z kariery tylko dlatego, że wkurzył cię jakiś drobiazg. - Carl pochyla się w moją stronę i patrzy z ojcowską troską. - Wróc do biura i przemyśl to sobie. Nie przyjmę twojej rezygnacji. Zapomnę, że chciałaś odejść. Koledzy

zajmą się sprawdzaniem dokumentów, a ty będziesz miała czas się pozbierać. Zgoda? Weź urlop albo coś w tym stylu.

Teraz jest okazja, żeby to wszystko odkręcić, cofnąć całą tę sytuację. Jak często masz w życiu szansę odstąpić od czegoś? Rzuca ci koło ratunkowe. Emily, łap je. Możesz nie odchodzić.

- Carl, mówię poważnie. Odchodzę.

Chociaż przytomna część umysłu mówi mi, że nie powinnam tego robić, ta druga ciągnie dalej ten show. Myśl o spędzeniu jeszcze jednej sekundy w APT jest przerażająca. Zdaję sobie sprawę, że dłużej tu nie wytrzymam. Skończyłam z tą firmą.

- Już ci powiedziałem: nie przyjmę twojej rezygnacji. A teraz, proszę, wyjdź z mojego biura - mówi i przekłada papiery na biurku. - Mam dużo pracy.

W drodze do swojego biura rozważam moją sytuację. W świetle prawa nadal jestem pracownikiem APT. Nadal mogę przyjść jutro do pracy, w piątek odebrać czek, mam ubezpieczenie zdrowotne. To, co zaszło między Carlem i mną, pozostanie naszym kolejnym małym sekretem, tak jak incydent z bokserkami z napisem „Pocałuj mnie w mój arkansasowy tyłek”. Wiem jednak, że nie mogę się cofnąć. Nie chcę być taka jak Carl MacKinnon, nawet nie taka jak ci, których podziwiam. Nie chcę tak żyć. Nie wiem, czego chcę, ale wiem, że pora stąd odejść.

W biurze dzwonię do Douga Bartona, menedżera i współwłaściciela APT. Skoro Carl nie chce, ktoś inny przyjmie moją rezygnację. Odzywa się automatyczna sekretarka. Zostawiam wiadomość, że pilnie muszę z nim porozmawiać. Taką samą zostawiam u szefa wydziału, Jamesa Slicera. Ani Dougowi, ani Jamesowi nie mówię, że odchodzę. Z pewnych względów lepiej nie powierzać takiej wiadomości automatycznej sekretarce.

- Odchodzę - mówię kilka minut później Kate w jej biurze.

- Co?

- Odchodzę. Właściwie od zaraz. Carl odmówił przyjęcia mojej rezygnacji, więc zrobi to Doug albo James. Odchodzę. Dzisiaj.

- Chodź tu. - Prowadzi mnie na krzesło dla gości, zamyka drzwi, siada naprzeciwko mnie, za dużym drewnianym biurkiem. Wygląda jak prawdziwy prawnik, siedząc tak między zgrabnymi stertami papierów, rozprawami oprawionymi w skórę i jedną z „tych” zielonych lamp. - Dobrze się czujesz? Wyglądasz na... wyczerpaną. Albo... - Robi pauzę, zastanawia się, czy powiedzieć to, co naprawdę myśli. - No więc wyglądasz na rozhisteryzowaną.

- Czuję się dobrze. Odchodzę. Jestem trochę niespokojna, ale, proszę cię, nie próbuj mnie od tego odwieść.

- Dlaczego?

- Dlaczego odchodzę czy dlaczego nie chcę, żebyś mnie odwozila od tego pomysłu?

- Dlaczego odchodzisz.

- Skończyłam z pracą w tej firmie, Kate. Nienawidzę wszystkiego, co dotyczy tego miejsca. Oczywiście z wyjątkiem ciebie i Masona. Reszty nienawidzę. Dłużej tak nie mogę. Czuję, że nie naprawiam świata, tylko go psuję. Nie dlatego wybrałam studia prawnicze. - Biorę głęboki oddech i kontynuuję: - Carl chciał, żebym przejrzała sześćset siedemdziesiąt osiem kartonów z aktami Synergonu. Powiedziałam, że nie zrobię tego. Zagroziłam, iż doniosę na niego i powiem, że chciał się ze mną przespać w Arkansas. Więc on na to, że nie muszę sprawdzać tych dokumentów. Ale nie o to chodzi, prawda, Kate?

Zaczynam płakać. Łzy spływają mi po policzkach. Wycieram je rękawem. Kate podaje mi chusteczkę higieniczną i drugą - odświeżającą.

Wiem, że chce zadać mi pytania odnośnie do zachowania Carla, ale ja jeszcze nie skończyłam. Słowa same cisną się na usta. Mam słowotok. Dzisiaj przelała się czara goryczy. Muszę powiedzieć wszystko, co mi leży na wątrobie.

- Po prostu czuję się okropnie. Dziadek Jack ma alzheimera. Odkryłam to w miniony weekend. Zgubił się, to było straszne. Tęsknię za Andrew. Jess ma pewnie rację, że nie jestem gotowa na związek z Andrew, ale to wciąż boli. Zasłużyłam sobie na to, że zostawił mnie dla Carisse. Myślę, że teraz mnie nienawidzi, i to jest chyba najgorsze. - Kate próbuje wtrącić coś do mojego monologu, pewnie coś w stylu: „Andrew cię nie nienawidzi”, ale nie pozwalam jej powiedzieć ani słowa. - I wiesz co jeszcze? Chcesz usłyszeć rewelację? Zasnęłam w damskiej ubikacji, w mojej ulubionej kabinie. Miałam potem papier toaletowy we włosach.

To wyznanie rozładowuje napięcie. Kate i ja zaczynamy się śmiać. Do rozpuku, aż boli brzuch. Teraz łzy spływają także po jej policzkach. Raz po raz przykłada chusteczkę do oczu, żeby ocalić makijaż, ale za późno. Pierwszy raz widzę Kate bez makijażu. Wygląda tak swobodnie.

Następną godzinę spędzam w jej bezpiecznym biurze, opowiadam o tym, co przydarzyło się dziadkowi Jackowi. Bez ogródek opisuję szczegółowo wspólny pobyt z Carlem w pokoju hotelowym. Kate blednie.

- Na twoim miejscu kopnęłabym go w jaja - mówi.

W końcu przechodzimy do jej ślubnych planów. Nieoczekiwanie ta rozmowa mnie pokrzepia. Kolorystyka, kwiaty, kapela, zaproszenia. Wyobrażenie sobie punkt po punkcie listy spraw do załatwienia poprawia mi nastrój. Kate wie, co jest dobre dla niej i Daniela. Traktuje ślub jak punkt wyjścia. Jeśli w tym dniu wszystko się uda, później będzie tylko dobrze.

Wyobrażam sobie, biorąc pod uwagę minione miesiące, jak inny mógłby być ten ślub dla mnie. Dla mnie też mógłby stanowić punkt wyjścia. Andrew stałby za Danielem przed ołtarzem, wyglądałby imponująco we fraku, jak idealny druhna. Ja stałabym naprzeciwko niego, w grupie druhen panny młodej, w białoróżowych sukniach. Andrew pochwyciłby mój wzrok i uśmiechnął się do mnie, jednym z tych znaczących uśmiechów, który mówi: „My też tak będziemy wkrótce stać”. Gdybym była inna, bardziej gotowa, posłałabym mu w odpowiedzi uśmiech, który oznaczałby „kocham cię”.



Ciekawe, jak to się rozegra, skoro wszystko zepsułam. Andrew i ja będziemy pewnie patrzeć przed siebie, pilnując się, żeby nie napotkać nawzajem swojego spojrzenia. On przyprowdzi Carisse jako swoją dziewczynę i będzie przy wszystkich patrzył tylko na nią. Wymienią uśmiechy, a ja w milczeniu będę stała z boku, jak w złym śnie, kiedy krzyczę, a w rzeczywistości nawet nie pisnę.

Choć wydaje się, że moja dzisiejsza decyzja o odejściu z pracy jest ostateczna, władza nie pozwoli mi tak szybko jej zrealizować. Ani szef, ani dyrektor wydziału nie odpowiedzieli na moje telefony. Najwidoczniej nie uznali jej za wystarczająco istotną, żeby odłożyć na chwilę przeglądanie aktów oskarżenia i zająć się moją sprawą. Rozważam, czyby nie podejść do stanowiska recepcjonistki, przekreślić mikrofon w swoją stronę i ogłosić całej firmie, że odchodzę z APT.

Panie i panowie - zaczęłabym i wszyscy w biurach przerwaliby robotę. Mówi Emily Pratt - powiedziałabym. Odchodzę, zasrańcy.

A może inaczej - prościej, subtelniej, bardziej uprzejmie. Czy tak wyobrażałam sobie dzisiejszy poranek? Wyjść przez główne drzwi i nigdy nie wrócić? Zostawić za sobą APT, zostawić za sobą Emily Pratt.

Wychodzę z windy i mijam pokój konferencyjny. Zerkam przez drzwi i widzę piętrzące się w nim pudła. Sześćset siedemdziesiąt osiem sztuk. Ustawione jeden na drugim, zasłaniają okna i widok na Park Avenue.

Przy stole siedzi Carisse, pochylona nad jakimś dokumentem, i uważnie czyta każde słowo. Po kilku sekundach odkłada go i sięga po następny ze stosu, który ma około sześćdziesięciu centymetrów wysokości. Pukam w szybę i macham do niej. Uśmiecham się, widząc, że pracuje przy pudełku z numerem pierwszym.

## 15

Moja wielka chwila rozegra się o 11.30 w środę rano, w biurze Douga Burtona, jednego ze wspólników firmy. Jego gabinet mieści się w narożnym pokoju, z dwiema przeszklonymi ścianami. Widok stamtąd daje wrażenie zawieszenia nad Nowym Jorkiem, zawisania nad środkowym Manhattanem, oderwania od powierzchni ziemi. Choć moje biuro znajduje się na tym samym piętrze, tutaj czuję się oszołomiona wysokością.

- O co chodzi, Emily? - pyta Doug po przywitaniu się ze mną i zaproszeniu na krzesło dla gości. Głos ma naturalny, swobodny, jakbyśmy od lat byli przyjaciółmi, choć do dziś nie byłam pewna, czy w ogóle zna moje imię.

- Chciałabym porozmawiać z tobą o czymś ważnym, Doug - mówię, podtrzymując luźny ton.

Siedzi przed całkowicie pustym biurkiem. Nie ma na nim żadnych papierów, książek ani laptopa. Widać, że nie jest zajęty niczym konkretnym. Ciekawe, co on tu robi całymi dniami. Może powinnam umyć ręce po tym spotkaniu. Tak na wszelki wypadek.

Zerkam w okno i jestem zaskoczona widokiem mężczyzny. Zwisa na linie po zewnętrznej stronie przeszklonej ściany, uśmiecha się do mnie, jakbyśmy byli zagubionymi przyjaciółmi, i przesuwając gumowym wałkiem w górę i w dół. Huśta się pięćdziesiąt pięter nad ziemią po to, żeby szyba była idealnie przezroczysta.

- Słucham.

Odchrząkuje - to taka uprzejma sugestia: „Przejdź do rzeczy”. Wygląda, jakby występował w roli prawnika w jakimś telewizyjnym programie: srebrne pasemka we włosach, świeży manicure i władcze spojrzenie.

- Przyszłam złożyć rezygnację. Standardowe powiadomienie, więc rozwiązanie umowy nastąpi za dwa tygodnie.

- Przykro mi to słyszeć. Zawsze postrzegałem cię jako wartościowego członka zespołu APT. Twoje poświęcenie dla firmy... - Odchrząkuje.

Komplementy nie są szczerze. Przychodzą mu zbyt gładko. Z rękawów marynarki wystają mankiety z monogramem, jak u koszuli Carla (to wersja obozowego totemu dla dorosłych).

- Dzięki, Doug.

Bawi mnie wymawianie jego imienia w takim kumpłowskim tonie. Kusi, żeby posunąć się dalej i przybić z nim piątkę.

- Mogę zapytać, dokąd przechodzisz? - Wyciąga notes z szuflady, żeby zapisać moją odpowiedź, i z piórem w dłoni patrzy na mnie wyczekująco.

- Jeszcze nie wiem. Mam zamiar odpocząć, zebrać myśli, ale ze względów finansowych muszę dość szybko znaleźć sobie nową pracę.

Kiwa głową, jakby rozumiał. Jego życie jest wolne od problemów finansowych, o czym świadczy rolex na nadgarstku.

- To nietypowe. Zazwyczaj nasi pracownicy, odchodząc, mają coś upatrzonego. Inną firmę albo zakładają własną. Nie zdarzyło się, żeby... - milknie i odchrząkuje - ...nic nie robili.

Wypowiada te słowa, jakby oznaczały coś nieprzyzwoitego. Jakbym powiedziała, że zwalniam się po to, żeby gwałcić małe dzieci.

- Tak, to była nagła decyzja. Muszę odpocząć. W ciągu pięciu lat pracy wykorzystałam zaledwie kilka dni urlopu. Od pięciu lat nie byłam na prawdziwych wakacjach.

Widzę po jego minie, że rozważa konsekwencje moich słów. Firma musi mi wypłacić ekwiwalent za zaległy urlop. Dzięki temu mogę rzucić tę posadę niemal z dnia na dzień. APT jest mi winna kasę więcej niż za trzy miesiące.

- Zawsze chcemy się dowiedzieć od pracowników, dlaczego odchodzą - mówi. - Byłoby wspaniale, gdybyś mogła przedstawić powody swojej decyzji. - Zaskoczył mnie. Dotąd myślałam, że postępuje według instrukcji. - Wiem, że ostatnio pracowałaś z Carlem MacKinnonem. Jak się układała ta współpraca?

Pytanie jest subtelne: mogę połknąć haczyk i wsypać Carla albo przemilczeć. Przez chwilę zastanawiam się nad odpowiedzią. W firmie przyjęło się nie pytać o molestowanie seksualne. Nie ma pytania, nie ma sprawy.

Ciekawe, jak Doug by zareagował, gdybym powiedziała mu o Carlu. Zauważyłam, że mężczyźni w jego wieku: pięćdziesięcioparoletni i nieco starsi, po sześćdziesiątce, lekceważą mnie, jak gdyby wszystko, co wyszło z moich ust, było całkowicie nieistotne. Sądzę, że nie wiedzą, jak postępować z taką kobietą jak ja: za młodą, żeby z nią flirtować, a za starą, żeby traktować ją jak dziecko, i zbyt ponętą, żeby ograniczyć się do roli mentora. Może mają córki w moim wieku, które wychowywali, gdy były małe, nie słuchając ich. Patrzę na regał za Dougiem i nie widzę fotografii rodzinnych.

- Praca z Carlem jest dla mnie wyzwaniem. - Robię pauzę. - Sądzę jednak, że nie potrafi stworzyć zdroworozsądkowej płaszczyzny współpracy z kobietami.

Nie jestem pewna, czy chcę powiedzieć więcej, brać na siebie odpowiedzialność i przedstawić prawdę o Carlu. Jednocześnie nie mogę znieść myśli, że mógłby dręczyć następne pokolenie dziewczyn świeżo po studiach prawniczych, zastanawiających się, jak przetrwać w APT. Pragnę ochronić ich naiwność i optymizm.

- Powiem tak: słyszałem i widziałem na własne oczy, że Carl czasem zachowuje się niewłaściwie. - To jakieś niewiarygodne niedomówienie! Wysoki Carla są więcej niż niewłaściwe, ale widząc minę Douga, wiem, że nie muszę wdawać się w szczegóły. Nie musi wiedzieć o zamieszaniu z rezerwacją hotelowych pokoi ani o propozycji seksu oralnego. Właściwie cała ta ciężka robota w firmie też jest molestowaniem na tle seksualnym. - Czy masz zamiar... - Doug przerywa, zdaje sobie sprawę, że chce przedstawić swoje pytanie jak na przesłuchaniu, celebrując słowa, żeby zrobić maksymalne wrażenie - ...pozwąć go do sądu?

- Nie myślałam o tym. To nie jest walka, którą chciałabym podjąć, ale muszę ci powiedzieć, że mam podstawy do wszczęcia sprawy. To prawda. Carl nie tylko przystawiał się do mnie, odebrał mi także możliwość przygotowania mowy sądowej, i była to zemsta za to, że mu odmówiłam. Jestem zdziwiona jego nieostrożnością; to było czytelne, odwetowe zagranie. Nie chciałabym być świadkiem niszczenia dobrego imienia firmy przez jednego nieodpowiedzialnego wspólnika - mówię i czuję, że stąkam po twardym gruncie. Biorę głęboki oddech. - Myślę - kontynuuję - że najwyższy czas coś z tym zrobić. W przeciwnym razie niczego nie obiecuję.

Doug coś sobie zanotował. Chyba potraktował moją groźbę poważnie. Wie, że jest więcej takich kobiet jak ja i zatrzymanie Carla to narażenie firmy na milionowe straty. Nie jest istotne, czy wytoczyłabym Carlowi sprawę w sądzie. Jeśli ja tego nie zrobię, zrobi to ktoś inny. To tylko kwestia czasu.

- Dziękuję. Doceniam twoją szczerłość - stwierdza.

- Nie ma sprawy.

Czuję, że kontroluję sytuację. Za dwa tygodnie nie będę musiała oglądać Carla.

- Życzę ci powodzenia w realizacji przyszłych przedsięwzięć. - Wstaje, potrząsa moją ręką, daje do zrozumienia, że rozmowa skończona.

- Dzięki. - Decyduję się na ostatni strzał: - Liczę na premię noworoczną za przekroczenie liczby obowiązujących godzin pracy.

- Oczywiście. Osobiście tego dopilnuję. - Uśmiecha się. Ciekawe, czy przybije mi piątkę. - Będziemy w kontakcie.

- Dzięki. - I ponieważ sprawia mi to przyjemność, dodaję: - Doug.

Wychodzę z biura i zamykam starannie drzwi. Gdy wiem, że zniknęłam z pola jego widzenia, wykonuję zwycięski taniec, jak Schwarzenegger w filmie *Uciekinier*.

## 16

Do: Emily M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Od: Ruth Wasserstein, [yourhonor@yahoo.com](mailto:yourhonor@yahoo.com)

Odp.: Dziękuję!

Droga Emily!

Wiem, że jestem dziesięć lat w tyle za tymi technicznymi nowinkami, ale dostałam laptopa na urodziny, więc piszę do Ciebie maila. (Chciałabym wstawić uśmiechniętą buźkę. Wnuczka mnie nauczyła, jak to się robi, ale zapomniałam. Wstaw sobie, proszę, sama). Jest taki malutki, maluteńki. Nie wiem, jak to się dzieje, że taka mała maszyna może tak wiele zdziałać.

Przede wszystkim bardzo dziękuję Ci za kwiaty!!! Są piękne, mój pokój cudownie nimi pachnie. Mam nadzieję, że nie będziesz mi miała za złe, iż wyjęłam jedną różę z bukietu i zniosłam Jackowi do jego nowego pokoju. Wiem, że jesteś w stałym kontakcie z pielęgniarzkami, ale pomyślałam, iż chciałabys wiedzieć, że on czuje się troszkę lepiej niż w miniony weekend, graliśmy nawet kilka razy w pokera (znowu wstaw sobie uśmiechniętą buźkę). Nie mów mu, że Ci powiedziałam, ale rozłożyłam go na łopatki (wiesz, o co mi chodzi).

W każdym razie czuję się podekscytowana, będąc częścią internetowej społeczności korzystającej z superszybkiej drogi porozumiewania się. Moja kaligrafia pozostawiała wiele do życzenia, więc teraz mam pole do popisu. I jak to szybko działa! Zaraz otrzymasz to, co wyślę. Niesamowite!

Cieszę się, że wkrótce się zobaczymy.

Twoja koleżanka

Ruth Wasserstein

Do: Ruth Wasserstein, [yourhonor@yahoo.com](mailto:yourhonor@yahoo.com)

Od: Emily M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Odp.:Odp.: Dziękuję!

Ruth! Witam Cię mailowo!!! Cieszę się, że podobały Ci się kwiaty.

Mam dobrą wiadomość: rzuciłam pracę!

Co o tym myślisz? Nie krępuj się, możesz skłamać, że to najlepsza decyzja w moim życiu. A tak przy okazji, podoba mi się Twój adres mailowy\*. Sądziś, że powinnam mój zmienić na [bezrobotna@yahoo.com](mailto:bezrobotna@yahoo.com)?

\* Your Honor (z ang.) - Wysoki Sądzie (przyp. tłum.).

Do: Emily M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Od: Ruth Wasserstein, [yourhonor@yahoo.com](mailto:yourhonor@yahoo.com)

Odp.:Odp.:Odp.: Dziękuję!

Myślę, że powinnaś zmienić na [fajniezatrudniona@yahoo.com](mailto:fajniezatrudniona@yahoo.com)

Gratulacje! Jestem z Ciebie bardzo dumna.

Skoro teraz będziesz mieć więcej wolnego czasu, może dołączysz do mojego klubu miłośników dobrej książki? Byłabyś jedyną członkinią poniżej siedemdziesiątego piątego roku życia.

Do: Ruth Wasserstein, [yourhonor@yahoo.com](mailto:yourhonor@yahoo.com)

Od: Emily M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Odp.:Odp.:Odp.:Odp.: Dziękuję!

Czuję się zaszczycona, że pomyślałaś o mnie. Z przyjemnością dołączę. Co czytamy?

Do: Emily M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Od: Ruth Wasserstein, [yourhonor@yahoo.com](mailto:yourhonor@yahoo.com)

Odp.:Odp.:Odp.:Odp.:Odp.: Dziękuję!

Biografię Margaret Thatcher. Żartowałam!

Czytamy *Dziennik Bridget Jones*. Widziałyśmy film w zeszłym tygodniu i zakochałyśmy się w Colinie Fircie. Adwokaci mają coś w sobie, prawda? Powinnam wrócić do Londynu.

Do: Jess S. Stanton, [jesssstanton@hahooo.com](mailto:jesssstanton@hahooo.com)

Od: Emily M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Temat: Nadal ani słowa

Od tygodnia nie mam żadnych wieści o Andrew. Jak myślisz, co to znaczy?

Od: Jess S. Stanton, [jesssstanton@hahooo.com](mailto:jesssstanton@hahooo.com)

Do: Emily M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Odp.: Odp.: Nadal ani słowa

To znaczy, że Cię nienawidzi (żartowałam).

Znaczy, że Cię kocha (żartowałam). Nie mam pojęcia, co to znaczy. Może jest zajęty.

Do: Ruth Wasserstein, [yourhonor@yahoo.com](mailto:yourhonor@yahoo.com)

Od: Emily M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Odp.:Odp.:Odp.:Odp.:Odp.: Dziękuję!

Ruth, posłałam Andrew maila tydzień temu i dotąd mi nie odpowiedział. Co to znaczy?

Do: Emily M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Od: Ruth Wasserstein, [yourhonor@yahoo.com](mailto:yourhonor@yahoo.com)

Odp.:Odp.:Odp.:Odp.:Odp.:Odp.: Dziękuję!

Kochanie, to znaczy, że wciąż Cię kocha. To chciałaś usłyszeć, prawda?

## 17

Światelko automatycznej sekretarki pulsuje. Błysek. Błysek. Błysek. Błysek. Andrew! Przechodzę przez całe mieszkanie, udając nonszalancję, rzucam klucze na szafkę, kopnięciem zdejmuję pantofle, odkładam torbę na miejsce i, sama nie wiem kiedy, znajduję się na wprost telefonu. Jak ćma zwabiona światłem.

Żenujące jest wahanie przed naciśnięciem przycisku, żenujące jest krążenie wokół aparatu, jak głodny drapieżnik wokół ofiary. To takie banalne ekscytować się głupim mruganiem.

Nie, nie jestem jeszcze gotowa nacisnąć guzik odtwarzania. Muszę wziąć prysznic. Poukładać myśli. Zdejmuję ciuchy, odkręcam wodę, oczekiwanie przytłacza mnie.

Biegnę z powrotem. Zakrywam oczy. Naciskam przycisk.

Oczywiście, to nie Andrew. Właściwie to nawet lepiej, że to nie on.

„Witaj, Em. Czy możesz pójść z Jackiem do lekarza? Jeśli nie, zamówię taksówkę i poproszę pielęgniarkę, żeby z nim pojechała. Przepraszam, ale jestem uwiązany w Connecticut. Wiem, że obiecałem, ale wiesz, jak to jest. Proszę, zadzwoń do mnie z potwierdzeniem. Dzięki. Będę zobowiązany”.

Gdybym mogła wykasować kilka słów z całego wszechświata, bez wahania wybrałabym „Jestem uwiązany w Connecticut”. Nie: „kocham cię”, nawet nie „bez obrazy, ale...”, choć wiadomo, że to zawołana obelga, mimo iż ojciec używa tych słów jako formy przeprosin. Najwidoczniej przegrywam rywalizację z dobrymi ludźmi ze stanu konstytucji\*. To nic nowego. Na przyjęcie z okazji moich trzynastych urodzin - pierwsze, na które zaprosiłam chłopców, i ostatnie, które przygotowała mama - też nie przyszedł. Był zbyt zajęty ustanawianiem oficjalnej nazwy dla skamieliny (ślada stopy dinozaura) *Eubrontes giganteus*.

\* Connecticut ratyfikował w 1788 r. Konstytucję USA i wszedł do Unii jako stan założycielski (przyp. tłum.).



Jeszcze cztery razy słucham nagranej wiadomości. Powtórki łagodzą mój ból. Naprawdę nie ma to znaczenia, czy ojciec pójdzie z dziadkiem do lekarza, czy nie. I tak miałam zamiar odbyć tę wizytę. Pewnie dobrze się stało - mówię sobie. On po prostu taki jest. Co z tego, że znowu cię rozczarował? Dorośnij, Emily.

Niby to rozumiem, ale ogarnia mnie smutek. Niewypowiedziany, paraliżujący smutek przytępia moje zmysły po koniuszki palców. Nie podejmuję się walczyć z ojcem, nie ma sensu, nie przemówię mu do rozsądku.

Wkładam mrożone danie do kuchenki mikrofalowej, potem jem z plastikowych przegródek, jakbym była w samolocie. Choć zwykle odkładam warzywa na brzeg tacki, dzisiaj zmuszam się i zjadam je, ponieważ tak robią dorośli. Leżę na kanapie i wbrew sobie oglądam program typu reality show. Dziś wieczorem ktoś zostanie wyeliminowany. Widok załamanych ludzi, którzy przegrali, bo błędnie założyli, że świat istnieje tylko w świetle kamer, łagodzi mój ból.

- Zawiozę go - informuję kilka godzin później ojca przez telefon.

- Dzięki, moje dziecko. Przykro mi, że tak wyszło - odpowiada. Słyszę, jak szeleści papierami na biurku. - Tutaj jest szaleństwo z ustalaniem budżetu.

Szelest nasila się. Wiem, po co to robi. Ten trik ma sprawić wrażenie, iż jest tak zajęty, że nie może przestać pracować nawet w czasie krótkiej rozmowy telefonicznej. Zawsze tak robiłam, kiedy rozmawiałam z szefami APT.

- Nie ma sprawy. I tak miałam w planie pojechać z nim.

Wkładam golf z czasów studiów w Yale, ale wyglądam w nim zbyt smarkato, więc zamieniam go na rozpinany sweter.

- Będiesz mogła wyrwać się z pracy wcześniej? Nie chciałbym narazić cię na kłopoty - niby to martwi się.

- Nie powinno być żadnych problemów - zapewniam.

Nie musi wiedzieć, że rzuciłam pracę. Uznałby to za porażkę.

- No to dzięki, Em. Jestem ci coś winien.

Jesteś winny. Winny zaniedbania wychowywania mnie. Następnym razem, kiedy będę samotna, bez pracy, załamana stanem zdrowia dziadka Jacka, nie zapomnę wystawić ci rachunku.

- A tak przy okazji, musimy porozmawiać o Święcie Dziękczynienia - zaczyna, a mnie zaciska się żołądek. Czuję, jakby ojciec wbił mi pięść do gardła i szarpał wnętrzności. Chciałam zapomnieć o Święcie Dziękczynienia i męczącym maratonie, który trwa aż do stycznia.

- Dobrze.

- Co byś powiedziała, gdybym cię zaprosił do klubu tutaj w Connecticut? Jedzenie będzie wyśmienite, spotkasz się z sąsiadami, których nie widziałas od lat. Będzie miło...

Usiłuje wykrzesać w sobie entuzjazm, ale zabrzmiałoby to fałszywie. Ojciec wie, że nie jestem fanem tego klubu. To takie miejsce, w którym nawet Groucho Marx i Woody Allen czuliby się egzotycznie.

- A co z dziadkiem Jackiem? - wtrącam. - Nie możemy pozwolić na to, żeby samotnie spędzał Święto Dziękczynienia. - Szelest papierów ustaje. Ojciec odchrząkuje.

- Oczywiście. Nie pozwoliłaś mi skończyć. Przyjedziesz do mnie pociągiem, zjemy w klubie lunch, a potem pojedziemy do Riverdale i spędzimy wieczór z moim ojcem. Poproszę sekretarkę, żeby zamówiła dla nas kolację. Co ty na to?

- Brzmi nieźle.

- Oczywiście Andrew też jest zaproszony. Od wieków go nie widziałem.

- On nie da rady. Jedzie do domu - kłamię.

- Niedobrze. Chciałbym porozmawiać z nim na temat nowego systemu opieki zdrowotnej, nad którym pracujemy.

- Może innym razem. Słuchaj, mam mnóstwo pracy, przygotowuję ważną mowę do sądu. Muszę skończyć, tato.

- Ja też, kochanie. Cześć.

Przy akompaniamencie szelestu papierów oboje odkładamy słuchawkę.

## 18

Dzisiaj jest mój ostatni dzień w pracy. Opróżniłam biurko, spisałam jego zawartość i przekazałam do archiwum. Ściany są teraz gołe, z wyjątkiem kilku wystających gwoździ, na których wisiały moje dyplomy. Fotografie, kubki, książki zmieściły się w dwóch pudełkach. Wydaje się to dziwne, że po pięciu latach uzbierało się tego tak mało. Za to doświadczeniem nabytym w firmie można by zapełnić tunel metra. Powinnam mieć więcej tych rzeczy.

Lata pracy odcisnęły swoje piętno na moim ciele: zmarszczki na czole i w kącikach ust, bolące na deszcz nadgarstki, worki pod oczami. Świadectwo czasu spędzonego w APT.

Zanim zejdę na dół, po raz dziesiąty sprawdzam maile. Na ekranie pojawia się informacja, że mam nową wiadomość. Biorę głęboki oddech. Proszę tylko, żeby to nie był spam. Trzymam w myślach kciuki i otwieram pocztę.

Do: Emily. M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Od: Andrew T. Warner, [warnerand@yahoo.com](mailto:warnerand@yahoo.com)

Odp.: Sorry

Cześć, E. Przykro mi z powodu dziadka Jacka (Kate mi powiedziała). Gdybym mógł coś dla niego zrobić, proszę, daj mi znać. Przez ostatnie dwa lata był dla mnie jak prawdziwy dziadek. Bardzo przygnębiła mnie ta wiadomość. Wyobrażam sobie, jak cierpisz.

Jeśli chodzi o przyjęcie, a zwłaszcza o moją wypowiedź nagraną na automatyczną sekretarkę, to też jest mi przykro. Sądzę, że oboje nie jesteśmy dobrzy w wyrażaniu swoich uczuć. Chciałbym wiedzieć, co

chciałem powiedzieć. Wtedy wszystko byłoby prostsze, prawda? Ale nie jest. Zastanawiałem się nad tym, co nas łączy, przez ostatnie dwa tygodnie, a nawet wcześniej, od Święta Pracy, i nie doszedłem do żadnych wniosków, więc sądzę, że chyba trzeba się pożegnać.

Żyj w pokoju, A.

Już samo to, że Andrew poświęcił mi czas i napisał do mnie maila, jest dla mnie jakimś pocieszeniem. Nie nienawidzi mnie. Tekst na ekranie komputera postrzegam jako coś intymnego, słowa przeznaczone tylko dla mnie. Podoba mi się, że jestem E., skoro on jest A. Wyobrażam go sobie, jak siedzi przy swoim czarnym biurku z IKEA (pozostałość z czasów młodości; towarzyszyło mu aż do końcowych testów na medycynie). Waży każde słowo, każde zdanie, bierze pod uwagę konsekwencje. Zakończenie listu jest naprawdę doskonałe, choć wolałabym coś w stylu XO albo zwykłe pozdrowienia. Wiem, że na żadne sobie nie zasłużyłam. Andrew tak. Szkoda, że swojego pierwszego maila nie podpisałam „Zawsze kochająca Emily”. Nie zrobiłoby to wielkiej różnicy, ale dla mnie miałoby znaczenie.

Ciągle czytam list od Andrew, tak że w końcu nauczyłam się tego tekstu na pamięć. Instykt podpowiada mi, żeby natychmiast odpisać, przedłużyć nasze kontakty. Wolę udrękę oczekiwania na odpowiedź niż nic. Nie mogę pozwolić mu odejść. Andrew ma rację - nigdy nie byłam dobra w mówieniu tego, co chciałam wyrazić, nawet nie wiedziałam, czego tak naprawdę chcę.

Zdaję sobie sprawę, co znaczą słowa na końcu listu. Słowo „chyba” daje nadzieję, sugeruje wahanie, ale po przeczytaniu całego zdania na głos wiem, że się mylę. Chciałam się rozstać, więc dostałam pożegnalny list. Cisza aż dzwoni w uszach. Stukam ołówkiem w biurko, usiłując wypełnić pustkę. Do widzenia, Andrew - powtarzam w kółko. Do-wi-dze-nia, An-drew - wystukuję.

Nie wyślę żadnego maila. Co miałabym w nim napisać? Wiem tylko, że pewnych słów żałuję i chciałabym je odwołać.

- Będzie nam ciebie brakowało - stwierdza Carl na pożegnalnym przyjęciu, które Kate zorganizowała w pokoju konferencyjnym.

Przyszło około czterdziestu osób. Jedzą krewetki i sączą wino na moją cześć. Znam ledwie połowę ich. Prawnicy nie odpuszczają sobie darmowej wyzerki.

- Dzięki. Myślę, że firma będzie nadal prosperować beze mnie.

Prawdę powiedziawszy, nie czuję się dobrze, kiedy wyobrażam sobie poniedziałkowy poranek. Nie podoba mi się, że wszyscy jak gdyby nigdy nic podejmą swoje obowiązki i nawet nie zauważą, że moje miejsce jest puste. Zapomną o mnie w chwili, kiedy dziś wieczorem wejdę do windy.

- Odchodzisz bez szczególnego powodu. Mam nadzieję, że twoja decyzja nie ma nic wspólnego z nieporozumieniem w Arkansas.

- To nie było nieporozumienie, Carl. Moim zdaniem twój plan był doskonale klarowny. I wiesz co? Jestem pewna, że Carisse świetnie się spisała, pisząc zamiast mnie mowę do sądu. Pokazała swoje poświęcenie dla firmy.

Unoszę kieliszek w geście toastu. Kontrolowane zwycięstwo nad Carlem i Carisse. Choć raz powiedziałam dokładnie to, co chciałam wyrazić.

- Nie rozumiem - mówi.

Wzruszam ramionami i pozostawiam jego pytanie bez odpowiedzi. Podekscytowana, zdaję sobie sprawę, że nie muszę rozmawiać z Carlem. Podlizywanie mu się nie przyniesie mi już żadnych korzyści.

- Trzymaj się, Carl - mówię i odchodzę.

Przechadzam się po pokoju konferencyjnym i stwierdzam, że przyjęcie na moją cześć było mniej kłopotliwe, niż się spodziewałam. Zaliczyłam banalne i niezręczne słowa pożegnania. Mam już za sobą zastanawianie się, czy tylko uścisnąć rękę, czy przytulić się, udawać, że będę utrzymywać kontakty. Większość czasu spędzam na rozmowach z ludźmi, których lubię i będę za nimi tęsknić.

Moją ulubioną koleżanką jest czarnoskóra lesbijka Miranda Washington, pełnomocnik procesowy. W jej obecności menedżerowie zajmujący się zasobami ludzkimi w APT doznają orgazmu. Zatrudniając ją, firma może się pochwalić w swoich broszurach wieloaspektowym partnerstwem. Mamy czarnych prawników! Gejów! Kobiety są u nas prawnikami!

Początkowo szefowie nie wiedzieli, jakie stanowisko jej powierzyć. W końcu, kierując się jak zwykle własnym interesem, wykorzystali kontakty biznesowe Mirandy z czasów, kiedy pracowała na Wall Street.

- Doug powiedział mi, że wkopałaś Carla. Jestem z ciebie dumna. Wreszcie ktoś przemówił - stwierdza Miranda.

- Dzięki - mówię i patrzę na jej stopy w różowych tenisówkach, które założyła do tradycyjnego garnituru w prążki. - Nie jestem pewna, czy go wkopałam. Nie musiałam walczyć. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Nieprawda. Różnica między mną i tobą jest taka, że ty zostałam wysłuchana w związku z tym dupkiem, który tutaj stoi. Mam nadzieję, że ta sprawa będzie oficjalnie podniesiona na najbliższym zebraniu udziałowców. Od lat próbowałam to zrobić, ale nikt mnie nie słuchał. Dzięki.

Obie patrzymy na Carla. Obejmuje Carisse i mówi coś do niej przyciszonym głosem. Wyglądają, jakby mieli zaraz ruszyć do walca. Przez chwilę żal mi jej. Współczuję im obojgu.

- Mogę ci zadać pytanie?

- Wal - odpowiadam.

- Dlaczego przyszedłaś tu do pracy?

- Nie wiem. Miałam do spłacenia pożyczkę studencką, ale to nie jest cała prawda.

- A jaka jest cała prawda?

- Brak wyobraźni. Starłam się o pracę w dużej firmie, bo wszyscy tak robili. Wiem, że zabrzmiało to zenująco naiwnie, ale chciałam zmienić świat. Myślałam nawet, że to jest możliwe.

- Wyglądasz na społecznika.

- Dzięki.

- Może nadszedł czas, żeby...

- Co? Zmieniać świat? Daj spokój.

- Serio. Jeśli dowiem się, że wzięłaś taką samą robotę, tylko w firmie po drugiej stronie ulicy, skopię ci tyłek. Rób coś sensownego. Zmieniaj świat. Dlaczego nie miałabyś być jedną z tych osób, które to robią?

- Nie wiem - odpowiadam.

- W porządku, nie zmieniaj całego świata, bo to ciężka robota. Ale co powiesz na jego mały skrawek? Obiecujesz? - Przerywa i podnosi mały palec. - Obiecaj, że przynajmniej spróbujesz.

- Dobrze - zgadzam się - spróbuję. Przysięgam na jej różowe tenisówki.

Kilka godzin później żegnam się z Kate i Masonem. Pożegnanie jak na lotnisku - leją się łzy, przytulamy się do siebie i dramatycznie pociągamy nosami. Czuję się głupio, odkąd wiem, że i tak zobaczymy się w przyszłym tygodniu, ale nic na to nie poradzę. Coś się kończy w życiu nas trojga. Powinnam już iść, ale smutno mi, że muszę ich opuścić, jakbym żegnała się z kumplami z wojny. Razem byliśmy w okopach, przypalaliśmy sobie papierosa i osłaniali się przed ogniem wroga.

Wychodzę z biura z pudłami pod pachą. Mam wrażenie, że wyglądam, jakby mnie wylano. Jest coś poniżającego w tekturowych pudłach z wystającymi z nich moimi prywatnymi rzeczami. Zbiera mi się na płacz. Koledzy wracają do pracy. Mam ochotę wykrzyknąć, że sama odeszłam, ogłosić to z ulgą, ale byłoby to dziwaczne. Trzymam głowę wysoko, jak to tylko możliwe, idę dumnie wyprostowana i wkraczam do windy z dostojeństwem.

Przy bramce widzę Marge w jej niebieskim uniformie. Chciałabym, żeby mi pogratulowała, życzyła powodzenia, pożegnała się ze mną, ale wiem, że oczekuję zbyt wiele. Słyszę trzask bramki za sobą - na wskaźniku pojawia się kolejna cyfra. Kolejna bezimienna osoba opuściła budynek.

- Do widzenia, Marge - mówię, przechodząc obok niej.

Może z powodu tych pudeł, wskazujących na to, że to mój ostatni dzień pracy w firmie, Marge wygląda na przejętą.

- Do widzenia - odpowiada.

Mimo wszystko jej akcent jest brytyjski, choć nie taki elegancki, jak sobie wyobrażałam. Patrzę na nią zszokowana i radość gości na mojej twarzy: Marge przemówiła! Naprawdę odezwała się do mnie. Patrzy mi w oczy, ale się nie uśmiecha. W zamyśleniu lustruje kobietę z tekturowymi pudłami pod pachą.

I nagle puszcza do mnie oko.

Czuję się dziwnie. Siedzę w piżamie w paski, palce mam lepkie od dżemu i strzepuję z piersi okruszki tostów. Sytuacja, która w zeszłym tygodniu wydawałaby się zabawna, jak z powieści, czymś, na co czekałam, dzisiaj jest żalсна. Zastanawiam się, co się ze mną dzieje. Mam przed sobą cały dzień i nie wiem, co ze sobą począć.

Postanowiłam dać sobie dwa tygodnie wolności, zanim zacznę rozglądać się za nową robotą, i w tym czasie poukładać myśli. Jest poniedziałkowy poranek. Nie poszłam do firmy, w telewizji nadają tylko telenowele i lokalne programy informacyjne, wszyscy moi znajomi są w pracy, a ja nie mam zielonego pojęcia, co to właściwie znaczy „poukładać myśli”.

Zastanawiam się, czyby nie zażyć trochę ruchu, zobaczyć, czy nogi nadal są sprawne, ale nie chce mi się przebierać w strój do joggingu. Spociłabym się, musiałabym wziąć prysznic... Mówiąc szczerze, jestem do niczego. Leżę na kanapie, z nogami opartymi na poduszkach. Skaczę po kanałach telewizyjnych i bezmyślnie gapię się w ekran. Tak się odpoczywa - powtarzam sobie. Tkwię nieruchomo, z pilotem w ręku - stan przypominający katatonię.

Nie wiem, o co chodzi w telenowelach, ale namiętnie je oglądam. Jest coś pokrzepiającego w sposobie mówienia i poruszania się tych pięknych, z pozoru efektownych, wyfiokowanych ludzi. W tym, jak się całują i krzyczą na siebie, rzucają wymowne spojrzenia, zwłaszcza zaraz po zamknięciu drzwi. Aktorzy ciągle zamykają ogromne mahoniowe drzwi, a potem patrzą w kamerę, jakby chcieli powiedzieć: „Kocham go” albo „Zaraz go zabiję”.

Luki scenariusza wypełnia muzyka: staje się mroczna, gdy ktoś jest w niebezpieczeństwie, i zmienia się na pogodniejszą, gdy bohaterowie będą się całować.

Nadrabiam stracone lata i oglądam powtórkowe odcinki seriali. O szatańskich bliźniakach, wskrzeszonych zmarłych, niedawno odnalezionym i ponownie połączonym rodzeństwie. O kopaniu pod kimś dołków, o utraconej miłości, odzyskanej i znowu utraconej. Wyobrażam sobie wcześniejsze losy bohaterów na podstawie aluzji do przeszłości.

Po tygodniu zaczynam myśleć, że chyba coś jest ze mną nie w porządku. Gładko spędzam czas, nie relaksując się. Nie zauważyłam żadnej istotnej zmiany, której znaczenie podkreśliłby muzyczny akompaniament. Przez sześć dni nie opuściłam kanapy; nawet na niej śpię. Nie przeszkadza mi, że szorstki materiał kanapowych poduszek drapie mnie w szyję. Przejście przez pokój do łóżka wymagałoby zbyt dużego wysiłku. Wstaję tylko do łazienki. Zwlekam tak długo, aż parcie na pęcherz staje się nie do wytrzymania.

Do nikogo nie dzwonię ani nie odbieram telefonów. Automatyczna sekretarka pulsuje czerwonym światłem, ale nie mam siły nacisnąć przycisku. Zastanawiam się, czy tak wygląda depresja. Próbuję przypomnieć sobie symptomy tej choroby, opisywane w telewizyjnych reklamach przeciwdepresyjnych specyfików. Nie mam ochoty się okaleczyć, więc nie jest źle. Nie czuję smutku ani nadpobudliwości. Ana-



lizuję dalej: nie czuję się również szczęśliwa. Może mam grypę, ale nie boli mnie głowa i nie mam gorączki.

Po prostu siedzę w domu, oglądam telewizję, czasem wymyślam serialowe historie. Przesypiam wiele godzin. Nie wiem, ile. Śpię twardym snem, bez koszmarów. Nawet nie przewracam się na drugi bok. Po prostu zwykły sen. W najbliższym czasie nie mam nic pilnego do roboty, więc zostaję na kanapie, gdzie przynajmniej jest ciepło i bezpiecznie. Teraz zdaję sobie sprawę, że moje jałowe życie wypełniała praca. Bez pracy nie mam nic.

Często myślę o Andrew. Wyobrażam sobie, że siedzi tu ze mną, nie mówi zbyt wiele, ale też ogląda telewizję. Trzyma mnie za rękę, przynosi mi szklankę wody. Pewnie wymyśliłby lepszy scenariusz niż ja. Dodałby więcej napiętności, seksu, może wprowadziłby element zemsty.

Pozwalam sobie nawet wspominać mamę - też przesiaduje ze mną na kanapie. Wyobrażam sobie, że kładzie zimne dłonie na moim czole i sprawdza, czy mam gorączkę. Pewnie namawiałaby mnie do jedzenia, bo od kilku dni nie miałam nic w ustach oprócz kawałka czerstwego chleba. Bochenek się skończył, lodówka jest pusta. Nie będę zawracać sobie głowy zamawianiem zakupów z dostawą do domu. Zbyt wielka fatyga. Trzeba by najpierw zdobyć gotówkę...

W mojej wyobraźni mama jest cicha, pewnie dlatego, że nie pamiętam jej głosu. Gdy żyła, nigdy nie siedziała cicho; ciągle gadała, gadała i gadała, nawet jak oglądaliśmy *Bill Cosby Show*. Uważała, że prawdziwe życie jest o wiele bardziej interesujące niż telewizja; nie rozumiała potrzeby ucieczki w świat fikcji.

Pozwalam mamie układać scenariusze. Jej opowieści dryfują w stronę fantastyki, cudów medycznych i tym podobnych.

Zdaję sobie sprawę, że widok pustego miejsca obok mnie na kanapie wyzwała pewne uczucia. Przeciwnością miłości nie jest nienawiść, nie jest nim nawet obojętność. Na drugiej szali jest brak wzajemności. Popęlić samobójstwo przez rozplatanie sobie mieczem brzucha, zakopać serce ogromną łopatą, niczego nie pozostawiając? Nic nie można dać, nic nie można wziąć.

Kochać - to znaczy oddać się komuś bez reszty. Podoba mi się to stwierdzenie. Gdybym umiała haftować, wyszyłabym sobie tę sentencję na poduszce.

Budzi mnie głośne bębnienie. Otwieram oczy i z początku nie wiem, gdzie jestem. Widzę jasne meble i kremowy dywan. Powoli do mnie dociera, że nadal leżę na kanapie. W nocy upał musiał być rekordowy, ponieważ cała jestem lepka od potu, nawet włosy są wilgotne.

Słyszę chrobot klucza w zamku, ale jestem zbyt osłabiona, żeby się odwrócić i zobaczyć, kto przyszedł. Nie chcę wiedzieć. Jeśli to złodziej, niech zabiera cały mój dobytek. Choć nie sądzę, żeby było tu coś naprawdę wartościowego. Z wyjątkiem telewizora. Musiałby mnie najpierw zabić, żeby go wynieść.

- Emily? Co jest, do cholery?! - Do pokoju wkracza Jess i kładzie klucze na kuchennym stole, jakby to było jej mieszkanie. Wpatruje się we mnie i pewnie w myślach oblicza, ile dni upłynęło od naszej ostatniej rozmowy. Ułatwiłabym jej to zadanie, mówiąc, jak długo tak leżę, ale nie chce mi się otworzyć ust. - Dlaczego nie odbierałaś telefonu? Nagrałam się sto razy! - Przemierza pokój, staje przede mną, zasłaniając ekran telewizora. Zastanawiam się, czy muszę jej odpowiadać.

Może zamknąć oczy i udawać, że zasnęłam? Nie chcę jej zranić, ale nie mam ochoty wysłuchiwać jej gderania. Nawet nie jestem zażenowana, że widzi mnie w takim stanie.

- Jesteś chora? - pyta.

- Nie wiem.

- Długo tak leżysz?

- Nie wiem.

- Emily... - wzdycha. Już o nic nie pyta ani nie żąda wyjaśnień, tylko wydaje przeciągłe westchnienie. Przez chwilę zastanawiam się, czy to nie ja wzdycham, ale jednak nie, bo widzę że Jess opanowuje się i przystępuje do działania. - Wstawaj - mówi i ściąga ze mnie koc. Ta kobieta nie ma litości.

- Jestem zmęczona, Jess. Daj mi kilka minut. - Chcę jeszcze pospać tym snem; snem, którego przedtem nie znałam. Śpi nie tylko ciało, ale i dusza. Gdyby można było, zaaplikowałabym go sobie dożylnie.

- Nie.

- Ale...

- Wstawaj i idź pod prysznic. - Chwyta mnie za nadgarstki i zmusza do wstania. W głowie mi się kręci, nie pamiętam, kiedy ostatnio przyjmowałam pozycję pionową. - Natychmiast - mówi i popycha mnie w stronę łazienki, jakbym sama nie umiała tam trafić.

- Dobrze - odpowiadam. Nie mam siły użerać się z nią, a kontakt z jej długimi paznokciami mógłby być bolesny.

- Jezu! Kiedy ostatnio brałaś prysznic? - pyta, odkręcając wodę.

- Nie wiem.

Powoli zdejmuję ubranie, jak opóźniona w rozwoju striptizerka. Bluza z kapturem śmierdzi jak pokój nastoletnich chłopaków.

- Jadłaś coś?

- Piętkę od chleba - mówię i żeby pozyskać jej przychylność, dodaję: - razowego.

Jess opuszcza łazienkę, zostawiając otwarte drzwi.

- Wchodzę pod prysznic! - krzyczę, żeby dać dowód mojej dobrej woli i okazać chęć współpracy.

Jess mnie ignoruje. Słyszę, jak składa zamówienie:

- Proszę dwie pizze pepperoni XXL - mówi i podaje dostawcy mój adres. - Tylko szybko - dodaje. -

Sytuacja awaryjna.

Godzinę później siedzimy przy kuchennym stole. Jest sobota, czyli minął tydzień, odkąd rzuciłam pracę. Przysięgłabym, że jest ranek, ale zegar wskazuje 4.30 po południu. Mam na sobie czyste ciuchy - białą koszulkę i moje ulubione dżinsy. Jess zostawiła mi je w łazience. Zanim zaczniemy rozmowę, zjadam pięć kawałków pizzy.

- Zbliżyłam się do mojego osobistego rekordu. - Zebrało mi się na wspominki. - Pamiętasz, kiedyś w college'u zjadłam siedem porcji.

Staram się przekonać Jess do siebie, załagodzić jej gniew, wspominając naszą fantastyczną przeszłość, zatrzeć nieładny obraz sprzed godziny. Jest mi wstyd, że tak się poddałam destrukcji.

- Pamiętam. Popij wodą - radzi i stawia przede mną szklanekę.

Piję łapczywie, więc napełnia ją ponownie.

- Dzięki. Przepraszam, że nie dzwoniłam.

Patrzymy na siebie przeciągle. Widzę w jej oczach niepewność, jak rozmawiać z moim nowym wcieleniem: potraktować łagodnie czy kopnąć w tyłek (na co w pełni zasługuję).

- Czuję się dobrze.

To prawda, uczucie znużenia znikło. Czuję się pobudzona i pełna energii. Może Jess dosypała mi czegoś do pizzy...

- Proszę. - Podaje mi kartkę z nazwiskiem i adresem jej terapeutki. - Masz wizytę w środę. Umówiłam cię, gdy brałaś prysznic - wyjaśnia, uprzedzając moje pytanie.

- Dzięki. - Zdaję sobie sprawę, że jestem na przegranej pozycji. Za bardzo się oddaliłam od rzeczywistości. To, co się teraz ze mną dzieje, nie jest normalne. - Nie dzwoniłam do ciebie, bo naprawdę byłam bez życia i jakaś taka ospała. Nie panowałam nad sytuacją, rozumiesz?

Jess w milczeniu kiwa głową. Rozumiemy się bez słów. Kiedyś w college'u też doświadczyła przygody z kanapą.

- Wydobrejesz, Em. Ludzie czasem przeżywają kryzysy. Doprowadzimy cię do porządku - oznajmia. - Właściwie sama się doprowadzisz.

Zabiera puste pudełka po pizzach i kładzie na pokrywie przepelnionego kubła na śmieci. Wystaje spod niej moja bluza z kapturem, ale nie reaguję. Widocznie nadszedł jej kres.

- No - odpowiadam, a w głowie dźwięczą mi jej słowa: „Ludzie czasem przeżywają kryzysy”.

Wychodzimy z domu zaczerpnąć świeżego powietrza.

Jesień na Manhattanie jest przepiękna. Liście na drzewach przybierają różne kolory. Jeszcze się nie poddały w walce z zimą. Słońce mocno świeci i ogrzewa chłodne powietrze. Idziemy powoli, trzymając się pod rękę. Mieszkańcy zachodniej części Greenwich Village to statysci wypełniający tło. Ja milczę, Jess opowiada. Zwraca uwagę na szczegóły architektoniczne mijanych domów z czerwonego piaskowca. Wskazuje sklep, w którym kupuje ulubione obwarzanki, i pralnię chemiczną, gdzie zawsze zanosi swoje rzeczy. Wszystkie te historie znam na pamięć, ale miło usłyszeć je ponownie. Niedaleko, na rogu ulicy Jedenastej i Szóstej Alei, przed szkołą nr 41 pierwszy raz pocałowała się z chłopakiem. Potem całowali się jeszcze nieraz, już jako dorośli, ale on ożenił się z inną.

Było wczesne popołudnie, końcówka przerwy, dzieciaki bawiły się na boisku i nie zwracały uwagi na nauczycieli, którzy próbowali zapędzić rozbrykane bractwo z powrotem do szkoły.

Rano budzę się i idę prosto pod prysznic. Omijam kanapę i telewizor. Teraz stoi tyłem do pokoju i jest wyłączony. Doszłam do wniosku, że powinniśmy spędzić trochę czasu osobno. Gole nogi, koryguję linię brwi, zakładam czyste ciuchy z suszarki, maluję się. Przez ostatnie dni nie robiłam nic innego, tylko spałam, więc wyglądam kiepsko. Skoro nadszedł czas ponownego funkcjonowania jako istota ludzka, wydaje się logiczne, że należy podejść do tego racjonalnie.

Wychodzę z domu. Na mój widok Robert przeciągle gwizdże. Pewnie to niestosowne jak na odźwiernego, ale doceniam ten komplement.

- Nieważne, dokąd się wybierasz - mówi - ale jestem pewien, że rzucisz ich na kolana.

- Dzięki - odpowiadam.

Zachowam dla siebie informację, że wybieram się na oddział stałej opieki w domu starców w Riverdale. Zapewne jest to jedyne miejsce, gdzie słowa Roberta mogą się spełnić.

## 21

- Nie pozwolę wetknąć sobie wziernika do tyłka! Co to, to nie! - oświadcza dziadek Jack.

Nie wiem, który lekarz skierował go na to badanie, ponieważ ostatnio dziadek Jack wizytował wielu medyków. Kilka tygodni temu był ze mną u neurologa, potem odwiedził psychiatrę, kardiologa, internistę, urologa i gastrologa. Rzuca we mnie skierowaniem do proktologa, nadąsany jak dziecko. Gdy czuje się tak jak dziś, jest taki przytomny na umyśle, możemy udawać, że wszystko jest w porządku. Mam ochotę pociągnąć go za siwe włosy i uszczypnąć w zapadłe policzki, ale wiem, że to by go rozzłościło.

Siedzimy w restauracji. Po obiedzie, składającym się wyłącznie z kawy i marynowanych pikli, pozostał mi w ustach gorzko-słodki smak. Dzisiaj jest tu bardziej tłoczno niż zwykle. W tylnej części sali odbywa się kinderbal. Dochodzący stamtąd hałas przeszkadza nam w rozmowie. Dzieci śpiewają *Happy Birthday* chłopcu o imieniu Steven - temu, który ma cały śliniaczek zabrudzony sosem od spaghetti. Dołączamy się do chóru z dziadkiem Jackiem.

- To nie jest wziernik, tylko gumowa rurka, rodzaj sondy, czy czegoś takiego. Na skierowaniu jest napisane, że trzeba obejrzyć jelito grube - wyjaśniam.

Zerkam na skierowanie. Role się zmieniły - teraz ja jestem odpowiedzialna za dziadka. Na tym świstku podpisałam zgodę na jego leczenie.

- Mam osiemdziesiąt dwa lata. Gównu to kogo obchodzi, jak wygląda moje gówno. - Dziadek uśmiecha się przekornie. - To taka gra słów, laleczko.

Długo śmiejemy się z tego mało finezyjnego żartu.

- Mogę być z tobą szczery? - pyta i odkłada na bok słomkę od koktajlu.

- Oczywiście.

- Wiem, że niedobrze ze mną, Emily. Jestem tego świadomy. Czy byłoby to takie straszne, gdyby coś złego działo się w moim jelicie grubym?

Nie odpowiadam. Wbijam wzrok w kartkę ze skierowaniem. Napięcie sprawia, że wyrazy na nim zlewają się, jak plama atramentu w teście szwajcarskiego psychoanalityka\*.

\* Test Rorschacha - test plam atramentowych (przyp. tłum.).

- Naprawdę. To byłoby dobre.

Mówi te okropne słowa takim tonem, jakby śpiewał mi kołysankę. Kusi mnie, żeby położyć mu głowę na ramieniu, pozbyć się tego ciężaru.

- Czy nie sądzisz, że należy pozwolić rzeczom po prostu się dziać? Pogodzić się z tym, co nieuchronne? - mówi, jakby to było łatwe tak sobie siedzieć i czekać, aż komórki nowotworowe, czy cokolwiek to jest, zniszczą go. Wyobrażam je sobie jako mrówki, które rozpruwają jelita dziadka i biesiadują w jego wnętrznościach. Zostawiają je puste. Będą wyglądać jak balony, z których uszło powietrze. - Tak jest lepiej. Nie zgadzasz się ze mną, ale tak jest. Prawdopodobnie będę pierwszą osobą na świecie, która może ze stuprocentową pewnością powiedzieć, że pragnie, aby ta choroba, którą nosi w sobie, okazała się rakiem. Od tej chwili zacznę używać więcej słodziku. Emily, modlę się, żebym miał raka. Boże, proszę Cię, spraw, żebym miał raka!

Jego głos jest coraz donośniejszy, klęka na podłodze restauracji i udaje, że się modli - w ręce trzyma mnóstwo różowych paczuszek słodziku.

- Boże, spraw, żeby załagał się we mnie wielki R! Możesz to uczynić. Chcę mieć wielkiego R!

- Przestań! - Chwytam go za łokieć i usiłuję podnieść, ale dziadek Jack nie zwraca na mnie uwagi.

- Wielki R! Wielki R!

- Przestań! Nie rób scen. Ludzie zaczynają się gapić. To nie jest śmieszne.

- No dalej, powiedz to ze mną. Wielki R!

- Nie.

- Gdzie jest Mekka? Bije czołem pokłony.

- Co ty wyprawiasz?
- Przygotowuję się na każdą ewentualność.
- W porządku - mówię. - Zrozumiałam. Nie będzie kolonoskopii.
- Powiedz to.
- Co?
- Ty wiesz, co. Wielki R!
- Dobrze. Wielki R! A teraz usiądź, proszę.

Dziadek Jack wstaje z klęczek i z satysfakcją usadawia się obok mnie.

- Rozchmurz się, dziecinko - mówi i kładzie sobie serwetę na kolanach. - Obiecuję ci, że dożyję dziewięćdziesiątki i wtedy pozwolę tym wszystkim doktorkom rozpruć sobie tyłek. Do tego czasu będę chodził z pieluszką na głowie.

- Dziadku... - wzdycham.

Patrzy na mnie i uśmiecha się od ucha do ucha. Gdy ściska mi lekko rękę, wiem, że nigdy nie był bardziej dumny.

- To taka gra słów, laleczko. Gra słów.

## 22

Dom, w którym przyjmuje doktor Lerner, znajduje się w zachodniej części Greenwich Village, wciśnięty między urocze budowle z czerwonego piaskowca, typowe dla tej dzielnicy Nowego Jorku. Jest brzydki, przytłaczający, wyższy o cztery piętra od sąsiednich budynków. Oprócz doktor Lerner mają tam swoje gabinety dentyści, przynajmniej jeden terapeuta i dwóch chirurgów plastycznych. Zastanawiam się, co znajdowało się tam przedtem. Kto załamał się pod ciężarem komercyjnych apetytów i jak przed komisją do spraw urbanizacji miasta przemycono plan zmiany przeznaczenia tego budynku. Może ktoś nie musiał zapłacić za nowy aparat ortodontyczny albo przeszedł za darmo operację plastyczną nosa?

Teren wokół wygląda jak plac budowy. Dom powstał zapewne w latach siedemdziesiątych, o czym świadczy jego konstrukcja. Światłówki w korytarzu sprawiają obskurne wrażenie. Ochroniarz śledzi obraz na maleńkim monitorze, postawionym na rozkładanym stoliku, i nawet nie podnosi wzroku, kiedy bez meldowania się wchodzę do windy.

Jestem szczęśliwa, że nie musiałam wpisywać się do książki.

Byłam przygotowana na to, że w poczekalni zastanę tłum ludzi, którzy będą się na mnie gapić i zastanawiać, co mi dolega. Wyobrażałam sobie oczekujących na wizytę chorych, śliniących się po zażyciu zbyt dużej dawki leków. Tymczasem jestem jedyną pacjentką. Nie wiem, czy przyniosło mi to ulgę, czy rozczarowało. Poćwiczyłam przed lustrem pogodny wyraz twarzy, który mówi: „Jestem tutaj dlatego, że mam skomplikowaną osobowość”.



Zasiadam na zniszczonej kanapie, obitej materiałem w szkocką kratę, i czekam. Na stoliku leżą gazety. Mam wybór między „The Economist” i „Cosmopolitan” - obydwie sprzed dwóch lat. Może to jakiś rodzaj testu psychologicznego? Mam nadzieję, że z „The Economist” w rękę wyglądam na osobę, która troszczy się o sprawy światowe i rozwój demokracji; że moje ja ma też inne aspekty niż problemy, które zamierzam wyrzucić z siebie i zostawić w gabinecie doktor Lerner.

Powoli przewracam strony gazety. Udamę, że czytam, choć nie rozumiem z tego ani słowa, nie mówiąc o wykresach. Jestem pełna obaw. Pomysł, aby ktoś obcy słuchał moich wynurzeń, wydaje mi się niemoralny i nieuczciwy, jak płatny seks. Stać w sprzeczności z fundamentalnymi zasadami WASP\*. Lubię myśleć, że ludzie mojego pokroju to niepoprawni optymiści - tak jak w tym psychologicznym eksperymencie: słoń pozostawiony sam sobie, ostatecznie można mu dać kilka gałązek mimozy, dobrowolnie zniknie.

\* WASP: White Anglo Saxon Protestant (przyp. tłum.).

Po dziesięciu minutach drzwi po mojej prawej stronie otwierają się i z gabinetu wychodzą dwie kobiety. Jedna z nich energicznym krokiem opuszcza poczekalnię. Znam zasady: nie należy przyglądać się komuś, kto wychodzi z gabinetu terapeuty. Skupiam więc uwagę na drugiej kobiecie, przypuszczalnie lekarce.

Przy bliższym przyjrzeniu się doktor Lerner nie wygląda jak lekarz, raczej jak ktoś, kto czyta z kart tarota. Ma na sobie sari w intensywnym różowym kolorze, na przegubach pobrażają złote bransoletki. Pomimo że poczekalnia jest źle oświetlona, jestem na dziewięćdziesiąt procent przekonana, że nie jest Indianką.

- Emily? - upewnia się i podaje mi rękę na powitanie. - Jestem doktor Lerner. - Zaprasza mnie do środka.

W gabinecie jest ciemno jak w jaskini. Pod ścianami piętrzą się stosy książek. W powietrzu czuć mocny zapach kadzidelka. Przypomina mi się pokój mojego chłopaka z czasów college'u. Oczy zachodziły mi łzami od dymu świec, który miał zabić zapach trawki, a światło było tak przyćmione, że nie widziałam trądziku na jego twarzy.

- Proszę usiąść - mówi doktor Lerner i wskazuje na kanapę, też obitą materiałem w szkocką kratę.

Siada naprzeciwko mnie na poduszce, w pozycji lotosu. Wygląda na starą, ale swobodnie przyjmuje tę pozycję. Zastanawiam się, czy powinnam pójść w jej ślady. Chyba jednak nie, w spódnicy nie byłoby to stosowne.

- Co cię do mnie sprowadza? - pyta jak sprzedawczyni w sklepie z ceramiką, szykująca się do pokazu oferowanych wyrobów. W tle dzwonią bransoletki, gdy doktor podnosi rękę.

- Ostatnio przeżywałam trudny okres - mówię. Doktor Lerner milczy. Od razu rozpoznaję tę technikę. Posługiwałam się nią w rozmowach z opornymi świadkami. Nic tak nie skłania ludzi do mówienia jak niezręczna cisza. Połykam haczyk, głównie dlatego, że płacę jej sto dolarów za godzinę. - Miałam depresję.

- Rozumiem - stwierdza. - Dlaczego tak sądzisz? Co to dokładnie oznacza? - Głos ma swobodny, nie taki lekarski, beznamiętny i zdawkowy, zachęcający do zwierzeń.

- Zaczęło się od tego, że nie mogłam wstać z kanapy. Przespałam prawie tydzień. - Dla podkreślenia moich słów udaję, że ziewam.

- A teraz też chce ci się spać?

- Nie. Otrząsnęłam się z tego. Teraz ogarnął mnie wielki smutek. Przedtem czułam się jak sparaliżowana. Właściwie tamten stan był lepszy. Nie wiem, czy to ma sens.

- Oczywiście. To mechanizm obronny. Wielu ludzi zamyka się emocjonalnie, kiedy nie mogą sprostać sytuacji, jakie stawia przed nimi życie. Niektórzy izolują się latami - wyjaśnia, co skłania mnie do refleksji o moim ojcu. - Może powiesz mi, co się stało. Czy coś się ostatnio wydarzyło lub zmieniło?

- Nie za dużo. W Święto Pracy zerwałam ze swoim chłopakiem, Andrew, ale to było kilka miesięcy temu, i to ja tak zdecydowałam, więc powinnam była sobie z tym poradzić. Rzuciłam pracę, ale to akurat był dobry krok. Nienawidziłam jej. Jedyne, co mi przychodzi na myśl, to choroba dziadka. Niedawno zdiagnozowano u niego alzheimera. Chorował od jakiegoś czasu, więc nie było to szokujące. - Pospiesznie wypowiada słowa. Obawiam się, że wykorzystam limit czasu, zanim dojdziemy do sedna.

- Emily, czy wobec powyższych słów już stawiasz wnioski? Emily, to tak jakbyś nie dawała sobie prawa do zdenerwowania, do jakiegokolwiek reakcji.

Ciekawe, czy powtarzanie mojego imienia to jakaś inna metoda.

Jak ma na imię doktor Lerner? - zastanawiam się. Pasuje do niej Peggy albo Priya.

- Pozwól, że coś zasugeruję - mówi. - Skup się. Chcę mieć pewność, że mnie słuchasz.

Czy ja wyglądam, jakbym nie słuchała? Nie zwracała na nią uwagi? Skup się, Emily, skup się. Czy już wyciągnęłam wnioski?

- Dlaczego zaczęłaś od Andrew? Co się stało?

To pytanie wydaje się niestosowne. Mam ochotę powiedzieć, żeby pilnowała swojego nosa, ale przypominam sobie, że to ja zawracam jej głowę swoimi sprawami.

- Zerwałam z nim. Spotykaliśmy się dwa lata. Bałam się, że się oświadczy, więc zakończyłam tę znajomość - stwierdzam nonszalanckim tonem, jakbym była seryjnym łamaczem męskich serc.

- Rozumiem - odpowiada, choć nie jestem tego taka pewna, zwłaszcza że zaraz pyta: - Dlaczego zakończyłaś tę znajomość?

- Ty mi powiedz - mówię. Doktor Lerner nie zaszczycą mojego pytania odpowiedzią. Cisza jest napomnieniem. Jej spojrzenie mówi: „Współpracuj ze mną”. - Mówiąc szczerze, nie wiem. Wtedy czułam, że muszę tak zrobić. Wiedziałam, że nie mogę go poślubić.

- Dlaczego nie? Dlaczego nie mogłaś wyjść za niego?

- Nie wiem. Po prostu nie mogłam. Czułam się jak oszustka.

- Interesujący dobór słów.

- Też tak myślę.

- Co to jest oszustwo według ciebie?

Biorę głęboki oddech, żeby powstrzymać irytację. Nie przyszedłam tu przeprowadzać analiz językowych.

- No dobra, oszustwo to... udawanie czegoś. Byłam z nim, ale jakbym nie była.

- Kochałaś Andrew?

- Tak, kochałam go.

- A teraz?

- Teraz?

- Teraz.

Waham się przez chwilę, choć znam odpowiedź na to pytanie. Tylko nie wiem, czy jestem gotowa powiedzieć to na głos.

- Tak, nadal go kocham.

- A seks?

- Słucham?

- No, seks. Jak się wam układało w łóżku? - Milczę. - Pytam dlatego, że ta informacja wiele mówi o związku. Więc jak było?

- Niesamowicie.

Rozmowa o seksie przełamuje lody. Czuję się bardziej swobodnie, jakbyśmy były z doktor Lerner koleżankami, które gawędzą przy kawie, z tym że mówimy tylko na mój temat.

- Pomówmy o twojej rodzinie - zaczyna doktor Lerner, kiedy jesteśmy mniej więcej w połowie sesji.

Chce mi się śmiać - czułam, że o to zapyta. Terapeuta oczekuje, że pacjent odgrzeje wszystkie traumy z dzieciństwa.

- Nie mam dużej rodziny, więc nie mam wiele do powiedzenia. Jestem jedynaczką. Ojciec mieszka w Connecticut, jest politykiem. O dziadku Jacku już mówiłam. To tyle.

- A mama?

Oczywiście wiedziałam, że zapyta o mamę. Przez chwilę rozważam kłamstwo. Mogłabym powiedzieć, że też mieszka w Connecticut. Tak mówię, odkąd zauważyłam, że ludzie nie wiedzą, jak zareagować na wiadomość, że moja mama nie żyje. Po skonsternowanym „przepraszam” albo „nie wiedziałam” trudno prowadzić dalej konwersację. Czasem mówię: „Moja rodzina mieszka w Connecticut” - to prostsze niż wyjaśnianie, co i jak. Nie chodzi o to, że mówienie o śmierci mamy nadal boli. Chodzi o to, że wszyscy czują się niezręcznie, kiedy to słyszą.

- Nie żyje. - Kłamanie podczas terapii nie byłoby dobrym pomysłem.

- Rozumiem.

Tym razem wiem, że rozumie. Rozumie, że moja mama umarła, co nieodwołalnie spierdoliło mi charakter.

- No tak, na raka, kiedy miałam czternaście lat.

- Na raka, miałas czternaście lat - powtarza, jakbym użyła słów w obcym języku, które ją zainteresowały. - To naprawdę fatalnie.

Śmieję się, ponieważ ma całkowitą rację. To naprawdę fatalnie.

Pozostała część godziny jakoś przelatuje. Zapominam o zegarze i opowiadam o różnych rzeczach: o Marge, Carlu i jak to jest być odsuniętym od sprawy. Czasami martwię się, że odchodzimy od przyczyny, dla której tu jestem, czyli okupowania przez tydzień kanapy. Pytam o to doktor Lerner. Odpowiada, żebym się „wyluzowała i zaufała terapii”. Jestem zdziwiona, kiedy nasza sesja się kończy. Postanowiłam „zaufać terapii” (cokolwiek to znaczy) i umówiłam się na kolejną wizytę w przyszłym tygodniu.

Do domu wracam okrężną drogą. Spaceruję po całej dzielnicy. Opadłe liście zostały starannie zagrabione i zebrane w małe kopczyki pod równo rozmieszczonymi drzewami. Rozkopuję je z rozkoszą i rozrzucam po całym chodniku (dodając trochę bałaganu w mieście). Obwąchuję rękawy swetra: pachną paczulowym olejkiem.

## 23

Kalendarz jest dla mnie jak pole minowe. Pewne dni są trudniejsze od pozostałych: Dzień Matki, rocznica śmierci mamy, jej urodziny, moje. Gdybym miała zaznaczać te dni niezmywalnym markerem, okazałoby się, że jeden taki gówniany dzień przypada raz na dwa miesiące. Niezły wynik, ale pod koniec roku ledwie zdążę złapać oddech po Święcie Dziękczynienia, już jest Boże Narodzenie i noworoczne zamieszanie.

W styczniu jestem emocjonalnie wyczerpana i co roku podejmuję to samo postanowienie: przespać te dni. Jakby zamknięcie oczu w ciemnym pokoju na wiele godzin mogło odrodzić moją duszę, umierającą o tej porze roku.

Jeśli chodzi o ścisłość, tydzień spędzony na kanapie obalił mit o zbawiennej mocy snu.

Jestem przerażona. Dziś jest Święto Dziękczynienia. Od jakiegoś czasu planowaliśmy je sobie z ojcem, a może planowaliśmy do tej pory.

Pozwólcie, że coś wyjaśnię. Zdaję sobie sprawę, że mogę dziękować za wiele rzeczy. Relatywnie rzecz biorąc, zwłaszcza w skali globalnej, moje życie jest cholernie dobre. Ale z jakiegoś powodu Święto Dziękczynienia jest dniem obfitującym w nieuniknione wydarzenia. Skłania mnie do refleksji nad przyszłościową pustą połową mojej życiowej szklanki. Jest tylko jeden rodzaj bezgranicznej miłości. Ja ją straciłam w wieku czternastu lat, ale nie mam zamiaru użalać się nad sobą. Chodzi mi tylko o to, że Święto Dziękczynienia przypomina mi, iż na miłość, którą otrzymam w przyszłości, będę musiała sobie zapraco-

wać. Zasłużenie sobie na miłość oznacza piekielnie dużo pracy, a ja nie jestem pewna, czy mam w sobie dość siły.

Ojciec zabiera mnie ze stacji kolejowej i jedziemy prosto do klubu (do którego należą tylko zapisane osoby). Nie zatrzymujemy się w domu, ponieważ nie ma już powodu, żeby tam wstępować. Nie lubię patrzeć na zmiany, jakie tam zachodzą - inny rozkład fotografii wyeksponowanych na ścianie, nowe meble. Ten dom jest przykładem stopniowego zaniku pamięci (jak u dziadka Jacka).

Siedziba Klubu Członkowskiego, albo po prostu klubu, jak nazywa go ojciec, przypomina kolonialną rezydencję na starej plantacji, z ciągnącym się kilometrami nieskazitelnie zielonym trawnikiem, alejkami i długim podjazdem. Od nędznych ulic miasta Greenwich w stanie Connecticut odgradza posiadłość wysoki żywopłot, udaremniający chuliganom próbę zerknięcia na to piękne i przyjemne miejsce - prawdziwe Shangri-la.

Przy bramie sprawdza nas ochroniarz. Wjeżdżamy na podjazd. Chłopcy o czarnych obliczach i w sztywnych mundurach otwierają nam drzwi, kłaniają się, a następnie błyskawicznie odprowadzają samochód na odległy parking.

W wejściu wiszą na ścianach tenisowe oraz golfowe trofea. Zwycięzcy mają pretensjonalne nazwiska, bardziej pasujące do jachtów niż do ludzi. Są też zdjęcia drużyn tenisowych, wszyscy zawodnicy są ubrani na biało: białe koszule, szorty, skarpety, tenisówki. Taką oślepiającą biel można zobaczyć tylko w reklamach - to ten rodzaj białości, który informuje, że jesteśmy bielsi niż oni.

Jadalnia przypomina skrzyżowanie stróżówki z salą balową, ozdobioną dekoracjami z jesiennych kwiatów. Zabłąkane tu i ówdzie sosnowe szyszki dodają temu miejscu autentyczności.

Wchodzimy. Ojciec szybkim spojrzeniem ogarnia salę, rozgląda się za znajomymi. Kiwa głową, uśmiecha się i macha ręką jak zwycięzca na paradzie. Salę wypełniają jego wyborcy: ojciec ma nadzieję, że za kilka lat wybiorą go na gubernatora. Nigdy nie opanowałam pozdrowień na daleką odległość, więc unikając kontaktu wzrokowego, posłusznie podążam za kierownikiem sali.

- Nie ma czegoś mniejszego? - pytam, kiedy usadawia nas przy sześćoosobowym stole.

- Przykro mi, ale nie. Zwykle na Święto Dziękczynienia podejmujemy gości w większych grupach - odpowiada i nim odejdzie, podaje nam kartę menu.

Siadamy naprzeciwko siebie. Cztery puste krzesła jakby się nam przyglądały. W myślach sadzamy na nich naszych zmarłych: dziadków ze strony mamy, matkę ojca, moją mamę i wkrótce pewnie dziadka Jacka. Ojciec przywołuje kelnera. Nic nie mówi, ale jego gburowata mina i zniecierpliwienie są oczywiste: żąda usunięcia zbędnych krzesel. Nie będzie jadł z duchami.

- Miło, że zaszczycił nas pan swoją obecnością, panie Pratt. A to pańska urocza córka, o której pan zawsze tyle opowiada. Emily, zgadza się?

Staroświecki brytyjski akcent kelnera sprawia, że czujemy się jak oficjalni goście zaproszeni do Londynu na świętowanie rocznicy podboju Nowego Świata. Jestem zdziwiona, że zna moje imię. Zastana-

wiam się, czy studiuje listę gości, by znajomością rzeczy sprawić wrażenie bardziej życzliwego. Ojciec uśmiecha się do niego, a ja podaję mu rękę i witam się z nim.

- Panna Anne dołączy później? - pyta kelner.

Anne jest osobistą asystentką ojca - kobietą, bez której ojciec żartuje, że nie mógłby żyć. Dziwię się, że kierownik sali też zna jej imię.

- Nie, nie będzie jej - odpowiada ojciec. Tonem głosu bezta kelnera za niedyskrecję.

A więc ojciec układa sobie życie od nowa. Spotyka się z Anne - kobietą nieco tylko starszą ode mnie. Nie ma więcej niż trzydzieści trzy lata. Anne jest niską brunetką, która ubiera się stosownie do swojej postury: małe perełki w uszach, zegareczek na cienkiej bransoletce, i używa niewielkiego telefonu komórkowego. Myślę przez chwilę o tej nowej informacji o ojcu i Anne. Podoba mi się to. Ojciec wydaje się przez to bardziej ludzki.

Kelner szybko odchodzi, zabierając dodatkowe krzesła, ale nie przyjmuje naszego zamówienia na drinki. Oddala się ze spuszczoną głową, jakbyśmy wygnali go z naszej dwuosobowej wyspy.

- Przychodzisz tu z Anne?

- Na biznesowe obiady. Nie jest to daleko od firmy. Chyba widzę Pritchardów. Pójdziemy się przywitać?

- Przestań, tato. Nie jestem głupia. Spotykasz się z nią? Dobrze byłoby, gdybyście byli razem. Ona jest wspaniałą kobietą.

Prawdę mówiąc, podziwiam Anne. Wie, jak się zachować w każdej sytuacji. Jej głos, sposób poruszania się, prezencja zwracają uwagę, choć wcale o to nie zabiega. Jest głośna, ale nie grubiańska. Gdyby nie to, że pracuje dla mojego ojca i śpi z nim, mogłybyśmy zostać przyjaciółkami.

- Nie bądź śmieszna, Emily. Jestem jej zwierzchnikiem. Byłoby to niestosowne - zbywa mnie i pstrykając palcami, przywołuje kelnera, żeby zamówić drinki: martini bez lodu, tylko z oliwkami. - Jak tam Andrew? - pyta.

- Świetnie. Ostatnio jest bardzo zajęty.

My, Prattowie, po prostu się okłamujemy. Tak to się u nas odbywa.

- To dobrze - stwierdza i zaciera ręce. - Zamówmy coś.

Na dzisiejsze popołudnie menu jest już uzgodnione, ojciec ma więc na myśli to, że im szybciej zaczniemy, tym szybciej skończymy. Czujemy się niezręcznie, siedząc przy tym ogromnym stole; nie zostawiliśmy sobie za wiele miejsca na prawdziwą rozmowę.

Szybko otrzymujemy zamówiony posiłek. Kelnerzy robią show, podając przygotowane dla nas potrawy, i z namaszczeniem podnoszą brzęczące pokrywki, pomocnik kelnera mówi nawet *voilà*.

Zanim zaczniemy jeść, ojciec odmawia modlitwę - robi tak tylko w miejscach publicznych. Z powagą składa ręce i zamyka oczy. Mimo posiwiałych skroni wygląda młodzieńczo, na mniej niż na swoje pięćdziesiąt osiem lat. Dziękuje Bogu za Jego dary i za to, że możemy razem dzielić ten wspaniały posiłek. Amen.



Nasze talerze wypełniają typowe dania na Święto Dziękczynienia: indyk z nadzieniem, tłuczone ziemniaki i sos. Moja porcja wygląda dołująco: kopczyk ziemniaków polany sosem i plaster indyka z nadzieniem.

- Chcesz trochę sosu żurawinowego? - pytam.

- Mam taki sam, Emily - zauważa ojciec. - Dlaczego miałbym chcieć twój, skoro mam swój?

Podczas obiadu nie mamy sobie zbyt wiele do powiedzenia, ale to nie ma znaczenia, bo i tak ciągle nam ktoś przeszkadza. Jestem pewna, że ojciec wybrał to miejsce specjalnie, żeby połączyć rodzicielski obowiązek z interesami. Poważnie wyglądający mężczyźni i kobiety podchodzą do nas, witają się z nim i serdecznie poklepują po plecach. Na twarzach mamy przyklejone przyjacielskie uśmiechy (taka już nasza powinność). Podchodzą też znajomi z sąsiedztwa, których bliżej nie znam. Ojciec wspomina o nich najczęściej wtedy, gdy w rodzinie sąsiadów urodzi się dziecko albo ktoś umrze.

W drodze do toalety zatrzymują się przy nim rozwiedzione damy. Całują ojca w policzki, kokietują dekolcami i zapachem perfum, napomykają o wspólnym drinku. Ojciec uprzejmie przyjmuje propozycję, trochę zdziwiony zainteresowaniem, jakie wzbudza u tych pań. Wydaje się nie dostrzegać, że odkąd mama umarła, stał się najbardziej pożądanym facetem w Greenwich. Jest przystojny, odnosi sukcesy i do tego wdowiec, a to oznacza, że nie ma nieznośnej eks-żony i nie nosi piętna starego kawalera. Dobrze o nim świadczy to, że nigdy nie wykorzystywał takich okazji, zawsze był szarmancki wobec kobiet. Po części dlatego, żeby nie urazić ich godności, a po części dlatego, by zabezpieczyć sobie ich wyborcze głosy.

Starzy przyjaciele rodziny najbardziej przypominają mi, dlaczego nigdy nie lubiłam tego miejsca. Promowanie własnej osoby jest bezwstydną. Słyszymy historie o córkach, których mężowie nie boją się ryzykownie inwestować na rynku kapitałowym, a one same ukończyły jeden z ośmiu elitarnych uniwersytetów amerykańskich. Zachwycam się torebką jednej z tych pań, a ona na to: „Och, podoba ci się ta drobnostka?” i szeptem dodaje, że to z firmy „Marc Jacobs, Barneys”, jakby zakłopotana, iż tacy ludzie jak ona bez wahania też mogą sobie pozwolić na taki zakup. Wyolbrzymiają nieszczęścia innych, ze skrywanym zadowoleniem rozprawiają o ich bankructwach, nowotworach i rozwodach.

Bogactwo, samo w sobie, mnie nie denerwuje. Pracowałam wszak w APT, gdzie wspólnicy zarabiają rocznie miliony. Ciągła rywalizacja wymieszana z radością z cudzego nieszczęścia jest odpychająca. Nie ściagałam się z Carisse (oczywiście zawsze była o krok przede mną), mimo to czuję się tak, jakbym dostała kopniaka w grze, w którą nie gram.

Temat mojej pracy nie pojawia się aż do deseru. Nie otrzymaliśmy po kawałku ciasta dyniowego, ale uwaga - miniaturowe ciasteczka. Moim zdaniem są urocze.

- Jak tam w pracy? - pyta ojciec, wkraczając na niebezpieczny grunt.

Wiedziałam, że ta chwila nadejdzie, mimo to nie wiem, co powiedzieć. Jeśli powiem prawdę, ojciec się na mnie rozszłości, i to będzie najgorsze. Jeżeli skłamię, nic się nie stanie.

- Dobrze - kłamię.

- A jak tam sprawa Synergonu?

- Świetnie. Nie mogę mówić za dużo. Tajemnica służbowa.

- Och! - Ojciec robi zdziwioną minę.

Nie jestem pewna, czy dlatego, że nie rozwijam jedyne go tematu, jaki nas łączy, czy dlatego, że jestem w klubie, do którego on nie należy. Patrzę na niego i czuję się winna. Może powinnam się przyznać? - zastanawiam się kolejny raz. Ale teraz, gdy skłamałam prosto w oczy, to niemożliwe. Postanawiam sprowadzić rozmowę na inne tory, czyli politykę.

- A jak twoja praca? Jakies nowosci z biura gubernatora?

- Miło mi, że pytasz. Jestem dumny z tego, że w tym roku stworzyliśmy piętnaście tysięcy nowych miejsc pracy.

To był strzał w dziesiątkę. Do końca obiadu i przez całą drogę do Riverdale rozmawiamy o polityce stanu Connecticut (problem, który poznałam przez osmozę). Odkąd okazało się, że mamy innych faworytów politycznych, starannie omijamy tematy ideologiczne.

- Gdybyś była w programie Fox na żywo i miała odeprzeć zarzuty kogoś takiego jak Bill O'Reilly, co byś zrobiła? - pyta.

- Narzygałabym mu na buty.

- Bądź poważna, Emily. Jeśli masz własne zdanie, musisz umieć je sprzedać. Nie chodzi tylko o to. Musisz umieć się zareklamować, mieć umiejętność przedstawienia swoich racji.

- Potrafię się wyklócać - odpowiadam. - Skończyłam studia prawnicze.

- Nie rozumiesz. Nie chodzi o wyklócanie się. Chodzi o relacje z otoczeniem, o socjotechnikę, jaką jest spin. Na przykład powinnaś zaczynać zdanie od: „Jestem pewna, że zgodzi się pan/pani ze mną bla, bla, bla” - radzi ojciec. - To sprawi, że druga strona będzie musiała znaleźć kontrargumenty.

- To, o czym mówisz, dotyczy opozycji - mówię. - Trudniej się spierać bez przekonania o słuszności sprawy. Nie ma kompromisu, jeśli nie ma się nic do zaoferowania.

- Właśnie o tym mówię. Chodzi o to, żeby nie dać się złapać za słowo. To jest sztuka.

- Złapać za słowo?

- Tak, mówić bez konkretów.

- Potrafię tak.

- Co was, do cholery, tak długo nie było?! - pyta dziadek Jack, gdy tylko weszliśmy do jego pokoju na oddziale stałej opieki.

Siedzi na krześle, kartkuje stary numer „National Geographic” i ogląda nagie piersi kobiet z jakiegoś plemienia.

Jest święto, więc wielu pensjonariuszy opuściło to miejsce. Na oddziale pozostało tylko kilka pielęgniarek. Wszyscy coś przedsięwzięli. Pomyśleli sobie: dość tego i pojechali albo do swoich bliskich albo do nieba. Ostre słowa dziadka na powitanie nie wróżą niczego dobrego. Szkoda. Miałam nadzieję, że to będzie miłe zakończenie tygodnia.

- Cześć, dziadku - mówię i całuję go.

Pielęgniarka zatrudniona do stałej opieki nad dziadkiem zrywa się na równe nogi, patrzy na zegarek, a potem na mnie. Kiwam głową. Jestem zbyt roztargniona, żeby jej podziękować, zanim zniknęła za drzwiami.

- Cześć, tato - dodaje ojciec i podaje rękę dziadkowi.

- Gdzie, do cholery, byliście?! - pyta znowu dziadek. W nosie ma nasze powitanie. - Mieliliśmy rezerwację na siedemnastą trzydzieści.

Ojciec cofa się, odwraca głowę, nie patrzy ani na mnie, ani na dziadka. Widać, że dawno go nie odwiedzał. Ten obraz jest dla niego nowy - dziadek Jack ma mocno napiętą skórę wokół ust i cieniusieńką na policzkach, umęczone ciało, spuchnięte powieki i udręczoną twarz kogoś, kto żyje za długo. Nie mam złudzeń, że synapsy - połączenia komórek nerwowych w jego mózgu - są jak porwana pajęczyna.

- Przepraszam, byliśmy zajęci. Już wszystko dobrze, dziadku. Święto Dziękczynienia odprawimy tutaj. - Mój udawany entuzjazm tylko wzmaga napięcie w pokoju.

- A co z występem, Martha? - pyta dziadek.

Ojciec łapie się za głowę. Jego matka umarła, gdy ja byłam niemowlęciem. Wzywanie jej imienia świadczy o tym, że dziadek żyje w innej rzeczywistości. Czy możemy się jeszcze ludzić? Oczywiście, to tylko moja własna diagnoza.

- Nie idziemy na występ, dziadku. Będziemy jeść indyka. Wszystko jest przygotowane na dole. - Ojciec mruga do mnie i ruchem głowy wskazuje drzwi. - Zaraz wracamy, dziadku.

Nie będzie się bał, że go zostawiamy. Nie ma znaczenia, kim dla niego jesteśmy; ważne, żeby wiedział, że nie jest sam.

Wychodzimy na szpitalny korytarz. Unosi się w nim woń środków odkażających. Pomalowane na biało ściany pokrywają elektroniczne przyciski. Nasze kroki odbijają się od nich głuchych echem. Słysząc jęki starych ludzi. W dyżurce pielęgniarek siedzi samotnie kobieta w błękitnym fartuchu i przetrząsa za tłuszczoną torebkę z McDonald's. W myślach układam zaproszenie dla niej na ucztę na dole. Mam na uwadze naszą korzyść, a nie jej przyjemność.

Ojciec prowadzi mnie pod rękę korytarzem i kieruje do ustronnego zakątka, gdzie znajdują się dwa krzesła i automat do napojów. W takim miejscu ludzie przekazują sobie złe wiadomości.

- O co chodzi?

- Czy ty, k..., żartujesz sobie? - syczy i wskazuje palcem na mnie, jakby dla podkreślenia swojego cierpienia. Obgryza skórki wokół paznokci - myślę w roztargnieniu. Dotąd nie zauważyłam, że on też to robi. - Czy ty, do cholery, żartujesz sobie?! - wrzeszczy tym razem.

Jest wyraźnie wstrząśnięty. Milczę, zszokowana. Nigdy nie słyszałam, żeby ojciec używał takich słów. Ani razu w całym moim życiu. Nigdy też na mnie nie krzyczał, mimo że w okresie dorastania prowokowałam go. To dla mnie nowe doświadczenie. Nie jestem pewna, czy mi to przeszkadza. Mam kłopot z zakwalifikowaniem tego wrażenia. Ojciec też jest zdziwiony ostrością swoich słów. Czy wszyscy w rodzinie Prattów postradali zmysły?

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że dziadek tak wygląda? Dlaczego nie powiedziałaś, mi, że jest z nim aż tak źle?! - Wali pięścią w ścianę.

- Mówiłam ci. - Fala wyczerpania ustępuje i pojawia się gniew. - Mówiłam ci - powtarzam, tym razem szeptem.

- Nie, nie mówiłaś. Nie powiedziałaś, że jest w takim stanie - mówi z nadąsaną miną jak małe dziecko.

Nie jest już tym wpływowym facetem, z którym jadłam obiad - tym, który tak ochoczo witał każdego w klubie. Teraz wygląda na przerażonego i zagubionego. Jest jak chłopczyk, który chce, żeby mamusia zapewniła go, że wszystko będzie dobrze. To śmieszne, ale czuję się dokładnie tak samo.

- A co ty, k..., myślisz, że jak wygląda alzheimer?! Powinieneś był go widzieć wtedy, kiedy się zgubił. Gdybyś tylko się wysilił i oddzwonił do mnie. Albo poszedł z nim do neurologa i osobiście porozmawiał z lekarzem. Mogłeś to sobie zaplanować w tym swoim cholernie napiętym harmonogramie i pojechać do Connecticut innego dnia. - Przerywam, żeby wziąć oddech. - A może byłeś po prostu zajęty pieprzeniem się z Anne! - Wrzeszczę tak, że ojciec cofa się, uznając moje słowa za fizyczną napaść. Ale ja jeszcze nie skończyłam. Jeszcze nie. Moja wściekłość dopiero znajduje ujście w brutalnie prawdziwych słowach. - Dlaczego, do cholery, to ma być moja wina?! Moja pieprzona odpowiedzialność?! To jest twój ojciec. Jest też twoją rodziną. Myślisz, że mnie jest łatwo? - Wydieram się, ile wlezie, aż czuję suchość w gardle. - Nie jest mi łatwo. Jak możesz tak mówić?

Mam ochotę rzucić czymś w niego. Jestem zdziwiona swoim wybuchem. Gniew minął tak szybko, jak się pojawił. Pozostawił po sobie uczucie przytłaczającego zmęczenia. Zsuwam się po ścianie, siadam, podciągam kolana i kładę na nich głowę. Słyszę odgłosy łkania i nie od razu zdaję sobie sprawę, że to ja płaczę. Moje wrzaski i potem łzy zaskoczyły zarówno ojca, jak i mnie. Oboje jesteśmy tym zażenowani. Sytuacja wymknęła nam się spod kontroli. Przez kilka minut nic nie mówimy. Cisza działa uspokajająco.

Ojciec siada obok mnie. Nie zwraca uwagi na to, że kurz z podłogi pozostawi ślad na jego czarnym ubraniu. Przybiera tę samą pozycję co ja i obejmuje mnie ramieniem.

- Przepraszam - mówi. Twarz ma też mokrą od łez. - Bardzo cię przepraszam. - Wyciera nos rękawem. - Nie spodziewałem się, że jest tak źle - wyjaśnia.

- Wiem - odpowiadam.

- Po prostu spanikowałem - tłumaczy się.

- Wiem - powtarzam.

Ojciec, choć jest moim rodzicem, jest też dzieckiem dziadka Jacka.

Powoli wracamy do pokoju, z rozważą stawiamy każdy krok, jakbyśmy to my potrzebowali stałej opieki. Gdy przechodzimy obok dyżurki pielęgniarek, kobieta w błękitnym fartuchu już tam nie siedzi. Cieszy mnie to. Mimo wszystko nie chcę zapraszać jej na Święto Dziękczynienia.

Drugi raz tego dnia opycham się indykiem i ziemniakami z sosem żurawinowym i jakoś znajduję wolne miejsce w żołądku. Ojciec, dziadek i ja siedzimy przy okrągłym dębowym stole w jednym z pokoi na dole. Potrawy smakują jak domowe. Pracownicy firmy cateringowej zapomnieli o łyżce do nakładania, więc własnymi sztuczkami wbijamy się w plastry mięsa na aluminiowych tackach, widelcami zostawiamy ślady w kopie tłuczonych ziemniaków.

Poskromiony ojciec proponuje nam dokładkę. Wpatruje się w swojego ojca, jakby próbował ustalić, co jest przyczyną choroby, albo upewnić się, czy osoba siedząca naprzeciw niego jest jego ojcem.

- Niedawno odwiedził mnie twój syn - odzywa się dziadek Jack, patrząc na mojego ojca, który właśnie sięgał po kolejną porcję szarlotki. Dotąd przywidzenia przybierały formę podróży w czasie, jakby dziadek Jack nie mówił do nas tu i teraz, tylko do swojej żony i dziecka pięćdziesiąt lat temu. Ciekawe, czy to jest to, na co nie możemy się doczekać. Całkowite rozdwojenie jaźni, gdzie nic nie jest konkretne ani prawdziwe. - To taki miły człowiek. I do tego lekarz! - Dziadek klaszcze w dłonie i cieszy się, mówiąc o wymyślnym wnuczku.

- Ojcie, ja nie mam syna. Mam córkę Emily, pamiętasz?

- Nie rób ze mnie durnia, Kirk. Dopiero co był tutaj, dwa dni temu. Tak urósł, no przecież wiesz. Pozwolił mi wygrać w pokera.

- O kim ty mówisz?

- Zapytaj Ruth. Była szczęśliwa, kiedy go zobaczyła. Opróżniliśmy biedakowi kieszenie.

- Andrew? - pytam. Andrew odwiedził dziadka Jacka?

- Andrew! - powtarza dziadek i znowu klaszcze w dłonie. - Wygrałem cztery razy z rzędu. To taki miły młody człowiek.

- Andrew odwiedził dziadka i nie powiedział ci o tym? - zastanawia się ojciec, a ja czuję, jak coś ściska mnie w żołądku.

- Powiedział. Po prostu zapomniałam - odpowiadam speszona.

Ojciec jest zmieszany, ale przemilcza moje wyznanie. Czyżby Andrew naprawdę odwiedził dziadka Jacka? Czy może to kolejne przywidzenie?

- Mnóstwo razy graliśmy w pokera - mówi dziadek Jack i wyciąga zwitek pieniędzy z kieszeni spodni. - Widzicie, wygrałem trzydzieści dolców.

Wieczorem ojciec podwozi mnie do miasta. W samochodzie nie mówimy za wiele, oboje jesteśmy zbyt zmęczeni. Mimo że dzisiaj ojciec i ja poczyniliśmy na drodze wzajemnego porozumienia się coś, co doktor Lerner nazywa postępem, odczuwam ulgę, że ten dzień się kończy.

- A co z Bożym Narodzeniem? - pyta ojciec, gdy wysiadam z samochodu.

- No?

- Czujesz się na siłach świętować?

- Nie wiem.

- Wobec tego, jak czuje się dziadek, może odpuścimy sobie?

- Opuścimy?

- Tak, nie mam nastroju do świętowania i sędzę, że tobie też się nie chce. Więc może po prostu pominiemy je?

- Dobrze.

- To nie jest stosowny czas na świętowanie. Zgodzisz się ze mną?

- Chyba tak.

- Byłoby to po prostu niewłaściwe.

- Racja - mówię. - Więc po prostu pominiemy je. Będę udawać, że...

- No właśnie. Jakby nie było...

- Jakby nie było Świąt Bożego Narodzenia.

## 24

Kiedy w nocy po Świącie Dziękczynienia Kate puka do drzwi o drugiej trzydzieści nad ranem, przerywa mi sen, w którym dziadek Jack i Andrew grają w rozbieranego pokera. Na szczęście budzi mnie, zanim doszli do swoich majtek. Kate ma na sobie sweter marki Columbia, spodnie od flanelowej pizamy i skarpety ze skórzaną podeszwą (ludzie chodzą w takich po domu). Nic nie mówi, po prostu stoi w drzwiach. Ma opuchnięte oczy, z nosa jej cieknie, no i jest bez butów. Domyślam się, że to wyjątkowa sytuacja. Natychmiast włączam się do akcji. W ciągu trzydziestu sekund sadzam ją na kanapie, do jednej ręki wciskam paczkę chusteczek higienicznych, a do drugiej - drinka na bazie jacka danielsa i coli.

- Ślub jest odwołany - oznajmia i wpatruje się w szklanke, jakby chciała wyczytać z niej przyszłość.

- Co?

- Ślub odwołany - powtarza. Głos jej się łamie i walczy z napływającymi do oczu łzami.

- Co się stało?

Siadam naprzeciwko niej na kanapie i mocno pocieram powieki, żeby się obudzić. Chyba też zrobię sobie mocnego drinka. Nie wiem, czy zniosę rozpad związku Kate i Daniela; to taka ulga wiedzieć, że są ludzie na tym świecie, którzy nie szukają „tego/tej jedyne/jedynej”, ale właśnie ją/jego znaleźli.

- Myślę, że nasz związek był jak komunizm - wyjaśnia, co skłania mnie do przypuszczenia, że to nie jest jej pierwszy drink tej nocy. - Byliśmy dobrzy w teorii, ale nie za bardzo w praktyce. - Parska śmiechem i rozlewa kilka kropel drinka na sweter.

- Co się stało? - ponawiam pytanie, ale Kate nie odpowiada. Wgapia się w czarny ekran telewizora.

- Kto spowodował, że upadł wasz Mur Berliński? Kto pierwszy sięgnął po broń? Kate?

- Udawaliśmy. Nasz związek był grą pozorów. To wszystko - stwierdza, krzyżuje ręce, pochyla się do przodu, jakby zdumiona tym punktem zwrotnym. - Wyobrażam sobie, że Mur Berliński mógł być zbudowany z klocków lego. Nie, to nie ta zabawa. Chodzi mi o wieżę. Wyjmuje się klocek ze spodu i kładzie na wierzch. Kto spowoduje zawalenie się wieży, przegrywa.



- Domino? - sugeruję. Nie mam pojęcia, o czym ona mówi.

- Nie! - Stawia z trzaskiem szklankę z drinkiem na stoliku.

- Może boggle?

- Nie! To jenga! - W geście zwycięstwa podnosi ręce w górę. - Dzięki Ci, Boże, za podpowiedź, bo już myślałam, że zwariuję, jeśli sobie nie przypomnę. Zbudowaliśmy związek na niczym - my, dwa ruchome klocki.

- Zbudowaliście związek na czymś więcej niż klocki, cegły czy cokolwiek innego.

- Jeśli coś wygląda jak kaczką, zachowuje się jak kaczką, to musi być kaczką, zgadza się? Ale my nie byliśmy niezwykłą kaczką. - Histeria Kate wzmagą się, skoro sypie takimi metaforami. - Wyglądaliśmy jak jedno, zachowywaliśmy się jak jedno, ale nie byliśmy jednością.

- To czym byliście? Jeśli nie kaczką?

- Jengą. Byliśmy jengą.

Mówi spokojnie, ma to sens, choć ja, idiotka, w pierwszej chwili nie załapałam.

- Grą opartą na niestabilnych klockach.

Niestabilność, już rozumiem. Siedzimy na kanapie, na której przeżyłam załamanie psychiczne. Zastanawiam się, czy w tej kanapie jest coś niedobrego, że ludzie na niej przeżywają szaleństwo. Może powinnam kupić nową. Jestem bez pracy, więc nie stać mnie na nową.

- Dobrze, więc ty i Daniel byliście jak jenga, ale nie jak kaczkę. Rozumiem. Ale co się tak naprawdę stało? Co się dzieje, Kate?

Pora przerwać te bzdury. Musimy porozmawiać poważnie.

- Właśnie zdałam sobie sprawę, że poślubiłabym niewłaściwego mężczyznę. Sądziłam, że jesteśmy pod wieloma względami do siebie podobni, ale myliłam się. Nie tak jak ty i Andrew. Nie byliśmy przeznaczeni dla siebie.

- Andrew i ja zerwaliśmy.

- Wiem, ale nie dlatego, że nie byliście sobie przeznaczeni. - Głośno wyciera nos w chusteczkę, co brzmi jak dźwięk trąby.

- A byliśmy?

Ponownie się zgubiłam, ale teraz mam chyba problem z gramatyką. Cholerne podwójne przeczenie zawsze mnie denerwuje. Czy ona mówi, że Andrew i ja byliśmy sobie przeznaczeni, czy wprost przeciwnie? Mur Berliński był symbolem upadku komunizmu czy nie był?

- Ty i Andrew zerwaliście, ponieważ to ty jesteś pokrecona, może trochę szalona, ale nie dlatego, że nie byliście sobie przeznaczeni - stwierdza rzeczowo i poklepuje mnie po ręce, jakbym to ja zjawiała się w jej mieszkaniu o drugiej trzydziści nad ranem i ciskała się o swoją zabawkę. - To jest najlepsze wytłumaczenie.

- Chyba nie o mnie chodzi.

- Z pozoru mamy ze sobą wiele wspólnego. Daniel ma wszystkie zalety, na których mi zależy u mężczyzn. Rozumiesz... Jest mądry, dowcipny, ma silny charakter, ale tak naprawdę, to nawet nie wiem, czy go lubię. Czy mogę poślubić kogoś, kto depiluje sobie woskiem brwi?

- No cóż, pomyśl inaczej. Nie chcesz przecież poślubić mężczyzny o zrosniętych brwiach.

- To prawda - odpowiada, jakby ta właśnie okoliczność zaważyła na decyzji o zerwaniu, i macha rękami, by odpędzić tę myśl. - Nie chodzi o korektę brwi, Emily. Chyba zgodziłam się wyjść za Daniela, bo pojawił się w odpowiednim momencie. Mam trzydzieści trzy lata, to stosowny wiek na zamążpójście. Zwłaszcza jeśli chcę mieć dzieci. Zdałam sobie jednak sprawę, iż nie powinnam wiązać się z niewłaściwym mężczyzną.

- Oboje lubicie poddasza - rzucam uwagę nie na temat. Mam świadomość, że próbuję coś zatrzymać, myślałam bowiem, że Kate kocha Daniela. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że za tą wykreowaną fasadą ich znajomości kryje się co innego.

- Posłuchaj. Dzisiaj wrócił do domu dopiero po północy. Nie zadzwonił, że się spóźni. Okazało się, że poszedł na drinka z klientami, a w barze jego komórka nie miała zasięgu. Właściwie to nie ma o czym mówić, prawda? Nie w tym rzecz. Kiedy siedziałam w domu i czekałam na niego, byłam przekonana, że on mnie oszukuje. Wiesz, jaka była moja pierwsza reakcja? - Potrząsam głową. - Ulga. Uwierzysz w to? Poczułam ulgę, ponieważ gdyby mnie oszukał najobrzydliwiej jak tylko można, wszystko byłoby jasne. Nie miałabym wyboru, musiałabym go zostawić. W rzeczywistości nie chciałam mieć wyboru. Uświadomiłam sobie, że to męczące być tchórzem.

- Kate, powiem ci coś. Jesteś bohaterką.

- Ty mnie chyba nie słuchasz. Wszystko skończone. Zestarzeję się w samotności, w towarzystwie miliona kotów. Nie jestem bohaterką. Jestem nieudacznikiem. - Kate łka w chusteczkę.

- Jesteś bohaterką, bo masz odwagę słuchać siebie. Nie ustatkujesz się tylko dlatego, że świat tego oczekuje.

Wbrew sobie. Wiesz, jak niewielu ludzi postępuje w zgodzie z własnym sumieniem? Większość żyje w ciągłym strachu, zakłada, że nie ma wyboru.

- Tak? - Kate patrzy na mnie i nieśmiało się uśmiecha.

- Tak. Pozwól, że zapytam: kochasz Daniela? - Chcę mieć pewność, że to niejedynie przedmażeńską trzęsączka.

- I tak, i nie. To znaczy bardzo się martwię o niego. Jest częścią mojego życia, ale czy go kocham? I będę kochać, dopóki śmierć nas nie rozłączy? Nie wiem. Nie sędzę. - Kate kładzie głowę na oparciu kanapy. - Może po prostu jestem szalona. Może zwyczajnie zbzikowałam.

- Czy to dlatego, że on nie jest doskonały? Nikt nie jest.

- Nie. Ponieważ, pomijając głupie brwi, właściwie nie ma w nim nic, czego bym nie lubiła. W pewnym sensie jest doskonały. - Wzrusza ramionami.

- Gdy wracasz do domu, cieszysz się, że go widzisz?

- Czasem, ale częściej wolałabym, żeby sobie poszedł.

- Gdyby potrzebował nerki, oddałabyś mu swoją?

- Oczywiście, że nie - mówi bez wahania.

- Gdybym ja potrzebowała nerki, dałabyś mi ją? - pytam, licząc na to, że nie skłamię.

- Jasne - zapewnia i znowu zaczyna płakać. - Czy to znaczy, że ty i ja powinniśmy wziąć ślub? Czy ja jestem lesbijką? Nigdy tak o sobie nie myślałam. A może jestem. Mam to gdzieś!

- Kate - mówię i staram się nie roześmiać - nie jesteś lesbijką, choć gdybyś nią była, nie byłoby w tym nic złego.

- Czy sądzisz, że gdybym była lesbijką, miałabym większe szanse znaleźć partnera?

Nie potrafię powstrzymać śmiechu, ponieważ pierwszy raz tego wieczoru słyszę tak dobrze mi znany ironiczny ton Kate.

- Nie jesteś lesbijką, więc nie sądzę, że mogłoby to mieć wpływ na znalezienie partnera. A tak przy okazji, dzięki za nerkę. Naprawdę, to dla mnie wiele znaczy. - To prawda. Wiem, że choć jestem jedynaczką, mam kilka siostr na tym świecie. Też oddałabym nerkę Kate. - Postąpiłaś właściwie, odwołując zaręczyny. Nie możesz spędzić reszty życia z człowiekiem, skoro sama jego obecność w domu cię denerwuje - stwierdzam autorytatywnie, jakbym wiedziała, co mówię. Uważam jednak, że Kate nie powinna wychodzić za Daniela. Już nie.

- Nie przeszedł nerkowego testu - mówi, jakby to miało decydujące znaczenie. - Oddać mu nerkę? To nawet w teorii nie brzmi dobrze. Nasz związek był gorszy niż komunizm.

- Co powiedział Daniel, gdy mu to oznajmiłaś? - pytam kilka godzin później.

Wciąż siedzimy na kanapie, ale drinka na bazie jacka danielsa zastąpiłam herbatą. Bez kaca będzie jej jutro łatwiej uporać się z wieloma rzeczami.

- Zmartwił się, że wydaliśmy tyle pieniędzy na wynajem sali, zespołu i na kwiaty. Wyciągnął kalkulator i zaczął podliczać.

- Jak się wtedy czułaś?

Idę tropem doktor Lerner. Jestem ciekawa, czy jej metoda sprawdza się poza jaskinią lwa.

- Uczciwie? Lepiej. Utwierdziło mnie to w przekonaniu, że on też brnął w to ze złych pobudek. Skoro jego największym zmartwieniem było to, ile pieniędzy straci, a nie to, że nie spędzi reszty życia ze mną, to chyba coś jest nie tak?

Też chciałabym to wiedzieć.

- Nie znam się na tym. Sądziłam, że byliście szczęśliwi.

- Nie byliśmy nieszczęśliwi. Tylko nie byliśmy szczęśliwi, rozumiesz?

- Wiem. - Zamykam oczy i myślę, jak potrafimy zmarnować sobie życie przez udawanie.

- Śmiertelnie się boję.

- Może czasami trzeba zrobić coś przerażającego dla własnego dobra.

- Wiem, masz rację. - Kate robi się senna. Prosi, żebym ją obudziła za kilka godzin. Musi się przebrać przed pójściem do biura. Marsz w stronę kolejnego związku podejmie od jutra. Mam nadzieję, że praca choć na chwilę odwróci jej uwagę od ponurych myśli. - Emily - mówi, gdy całuję ją w czoło na dobranoc.

- Tak?

- Dzięki, że byłeś ze mną.

- Zawsze do usług. To niewielka cena za ofiarowanie nerki.

Sama też kładę się do łóżka. Nie śnię o dziadku Jacku i Andrew grających w rozbieranego pokera. Śni mi się, że leżę na szpitalnym łóżku, ręce mam zsiniałe od kroplówek. Patrzę w górę i widzę krąg głów wokół lampy. W jej świetle nie potrafię rozpoznać twarzy, ale słyszę głosy.

- Jej organy nie nadają się do przeszczepu - orzeka lekarz. - Nigdy nie widziałem pacjenta, który miałby tak mało organów. Nie ma nawet zapasowych części.

- Co masz na myśli? - pyta Andrew. Ma na sobie fartuch chirurga, na szyi stetoskop. Wygląda jak lekarz, a nie jak mój chłopak.

- To znaczy ona jest, hm... Zresztą sam zobacz. - Zamaszyście ściąga ze mnie szpitalną koszulkę i wystawia moje ciało na pokaz.

Chcę zapytać, co się dzieje, otwieram usta, ale nie potrafię wydobyć z siebie głosu.

- Ona jest pusta - wyrokuje w podnieceniach Andrew, jakbym była jedynie interesującą medyczną zagadką. - Spójrzcie na te ślady. Sądzę, że sama to sobie zrobiła.

Słyszę piszczący dźwięk o wysokim napięciu, który oznacza, że jestem martwa (to taki sygnał śmierci, który pojawia się w każdym odcinku serialu *Ostry dyżur*). No i stało się - myślę. Jestem martwa. Umarłam, bo mnie wypatroszono.

Oczywiście nie umarłam. Uświadamiam sobie, że ten okropny dźwięk pochodzi z mojego budzika. Jestem rozczarowana. Chciałam się dowiedzieć, co było potem.

Ten sen nawiedza mnie i rani do końca dnia, a potem przez cały tydzień. Nie mogę znieść myśli, że stałam się dla Andrew niczym, kawałkiem mięsa na chirurgicznym stole. Nie radzę sobie z myślą, że z mojej winy straciłam Andrew. Przedtem, kiedy myślałam o nas, czułam tylko pustkę i taki niski elektryczny szum, a teraz to jest jak odgłos piły tarczowej. Zawsze chciałam, żeby był w domu, kiedy tam wracam. Nigdy nawet nie pomyślałam, że byliśmy jedynie udawanym związkiem.

To boli, kiedy zdaję sobie sprawę, że on będzie musiał z tym żyć. W przeciwieństwie do Kate Andrew na pewno zwiąże się z kimś. Jest świetnym facetem. Napisał: „Żegnaj”. Nie zaproponował wspólnej przyszłości.

Nie wiem, czy list do Andrew to dobry pomysł. Zastanawiam się, czy nie powinnam poczekać do spotkania z doktor Lerner i przedyskutować to z nią. Ostatnim razem skończyłyśmy na Święcie Dziękczynienia. Nie doszłyśmy do Andrew. Zabrakło czasu. Nie chcę być człowiekiem, który nie potrafi podjąć decyzji bez porady terapeuty (przede wszystkim dlatego, że nie chcę, aby odwiodła mnie od tego pomysłu), siadam do komputera i piszę maila do Andrew.

Do: Andrew T. Warner, [warnerand@yahoo.com](mailto:warnerand@yahoo.com)

Od: Emily M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Temat: Witam

Dziadek Jack powiedział, że odwiedziłeś go w zeszłym tygodniu. Jeśli to prawda, to chciałabym Ci za to podziękować. Wiem, jak on lubi Twoje towarzystwo. Zapamiętał Cię - to wiele znaczy. Mam nadzieję, że miło spędziłeś Święto Dziękczynienia.

Chcę też, żebyś wiedział, iż ciągle o Tobie myślę i tęsknię za Tobą.

Zawsze kochająca E.

Nie zastanawiam się, czy nie zachowuję się jak prześladowca. Nie sprawdzam, czy nie ma literówek. Po prostu wysyłam maila i pozwalam mu lecieć nad Manhattanem; tym razem wyobrażam go sobie jak ogromną piłkę w wirtualnej grze pod nazwą pinball. Zawodnik robi uniki, omija taksówki na jezdni i przechodniów na pasach. Gdy dotrze z piłką do centrum, zdobywa punkt. Może Andrew odbije ją z powrotem, zachęcony jej ruchliwością, i będziemy grali przez chwilę, tylko my dwoje? Dzięki flipperowi skomunikujemy się i porozumiemy. Zamiast tego uderzam piłkę, która spada do otworu na dole, i gra jest skończona. Już wiem, że u Andrew nie mam żadnych szans.

Pięć minut później dostaję nowy mail.

Do: Emily M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Od: Andrew T. Warner, [warnerand@yahoo.com](mailto:warnerand@yahoo.com)

Odp.: Witam

Odwiedzając dziadka Jacka, zrobiłem to dla siebie, nie dla Ciebie. Pomyślałem, że powinienem osobiście pożegnać się z nim.

Emily, nie wiem, jak mam Ci to powiedzieć w miły sposób, nawet nie jestem pewien, czy jest miły sposób, żeby to wyrazić, więc powiem wprost: proszę, przestań się ze mną kontaktować. Proszę, zostaw mnie w spokoju.

A.

Zasłużyłam sobie na to. Zdaję sobie sprawę, że zasłużyłam na łzy, ból, poczucie straty, ponieważ to ja zerwałam. Wobec tego wszystko, co mogę zrobić, to napisać do Andrew jedno zdanie, które pojawia się na ekranie mojego komputera:

Oddałabym Ci moją nerkę.

Wszystko, co mogę zrobić, to nie nacisnąć klawisza „wyślij”.

## 26

Dzisiaj doktor Lerner ma na sobie różowe jedwabne kimono, z długimi, luźno zwisającymi rękawami. W gabinecie znowu jest ciemnawo, ale widziałam ją tyle razy, że z całą pewnością mogę stwierdzić, iż jej strój nie stanowi o przynależności do jakiejś grupy etnicznej. Po rysach twarzy trudno precyzyjnie i jednoznacznie określić jej wiek. Czasem, kiedy ma włosy upięte do tyłu, wygląda staro, mogłaby być moją babcią. W tej chwili, gdy brązowe włosy ma rozpuszczone, dałabym sobie głowę uciąć, że nie ma czterdziestu lat.

- Dzisiaj widziałam moją mamę - oznajmiam, siadając na krzasiastej kanapie.

- Opowiedz mi o tym. - Doktor Lerner cierpliwie czeka na odpowiedź, jakbym potrafiła wyjaśnić to, że widziałam moją zmarłą piętnaście lat temu matkę. Jakbym była całkowicie przy zdrowych zmysłach.

- Właściwie jej nie widziałam. Miałam na myśli, że tak mi się zdawało. Wszędzie ją widzę - w metrze, w sklepie...

Próbuję spleść nogi w pozycji lotosu, tak jak doktor Lerner. Udaje mi się to jedynie połowicznie.

- Kontynuuj - zachęca doktor.

- Zwykle te skojarzenia wywołuje jakiś szczegół. Na przykład kolor włosów albo sposób uczesania, kształt ucha. Przez chwilę jestem przekonana, iż ta obca osoba jest moją mamą. Wtedy wyobrażam sobie, że ona żyje, jedzie ze mną metrem albo coś w tym stylu. Czy rozmyślanie o tym ma sens? Mam popierdalone w głowie, prawda?



- Całkowicie popierdalone - odpowiada doktor Lerner takim tonem, jakby uważała to za zupełnie normalne w mojej sytuacji. - Opowiedz mi, co się dzisiaj stało.

- Stałam na światłach, a dokładnie na północno-wschodnim skrzyżowaniu ulic Dwudziestej Trzeciej i Trzydziestej, i wtedy zobaczyłam tę kobietę. Coś mnie zaintrygowało w jej rzęsach i kształcie oczu. Przez sekundę pomyślałam, że to moja mama. To znaczy po piętnastu latach wyglądałaby inaczej, prawda? Wykombinowałam sobie taką głupią historyjkę, w którą zaczęłam wierzyć. Przestałam o tym rozmyślać, gdy zdałam sobie sprawę, że jestem śmieszna. Po chwili poszłam dalej. Kupiłam sobie bieliznę, bo nie znoszę prac.

- Opowiedz mi o tej głupiej historii, którą wymyśliłaś, i jak się z tym czułaś - mówi doktor, z naciśkiem na: głupia historia. Podaje mi pudełko z chusteczkami, choć nie płaczę. Widocznie wie, że się przydadzą.

- To naprawdę krępujące. Tym razem wpadłam na pomysł, że ostatni dzień matki w szpitalu to była kunsztowna mistyfikacja. Uwikłała się w jakieś sprawy związane z mafią czy coś takiego i teraz jest objęta programem ochrony świadków. - Czuję się głupio, gorzej - patetycznie, słysząc własne słowa. Przez mikrosekundę brzmiały wiarygodnie w mojej głowie. - No bo, wiesz, w Connecticut są setki nauczycieli angielskiego zamieszanych w mafijne interesy.

- Jak się z tym czułaś? Twoje przeżycia są interesujące. Możemy się czegoś dowiedzieć o tobie, a ty, zdaje się, chcesz się pozbyć tych myśli?

Podrzucam pudełko z chusteczkami i je łapię.

- Co wtedy czułam? - Jeszcze kilka razy podrzucam pudełko i obserwuję jego pionowy ruch.

- Tak, Emily, jak się wtedy czułaś? - Przechwytuje pudełko i umieszcza je z powrotem obok mnie na kanapie.

- Dobrze się z tym czułam. Najtrudniejsza jest nieuchronność śmierci mamy: już nigdy jej nie zobaczę. Koniec. Nie mogę się z tym pogodzić. Wszystko się skończyło piętnaście lat temu. To naprawdę straszne. - Wypowiadając te słowa, czuję, że w moim wnętrzu dokonuje się rewolucja. Łzy spływają mi po twarzy niepowstrzymanym strumieniem, sięgam po chusteczkę i jestem wściekła, że doktor Lerner to przewidziała. - Gdy wymyślam te nieprawdopodobne historie, nawet tak głupie jak ta z mafią, daje mi to cień nadziei. Jakaś alternatywę, coś... Zdaję sobie sprawę, jakie to jest popieprzone, mimo to czuję ulgę.

- To nie jest popieprzone, jak mówisz. To rodzaj ucieczki. Ma to głęboki sens i jest dość powszechne. Pomyśl jednak o innych sposobach znajdowania ulgi - mówi, podkreślając teraz słowa „popieprzone” i „ulgi”. Patrzę na doktor przez łzy i rozśmiesza mnie jej gestykulacja. - Zasadniczo to, co robisz - ucieczka w świat fantazji - jest mechanizmem obronnym.

- Ja żyję własnym życiem - stwierdzam z mocą.

- Wróćmy do twojej matki - mówi doktor Lerner, nie zwracając na mnie uwagi. Jest mistrzynią w ignorowaniu mnie. - Za czym tęsknisz najbardziej?

Omali się nie roześmiała. Czuję się jak na filmie pod tytułem *Ojej, mam raka*, taki wyciskacz łez z ogolonymi głowami umierających dzieci, na afiszu reklamowanym jako „najlepszy obraz roku”. Zwiastun powinien zawierać ostrzeżenie: „Ten film sprawi, że będziesz zanosić się od płaczu aż do całkowitego wyczerpania”.

Doktor Lerner ponosi winę za tę obłudną reklamę. Wygląda na miłą osobę, jak Matka Ziemia, ale jednocześnie okrutną. Siedzi w pozycji lotosu, ręce trzyma schowane w rękawach kimona.

- Za czym tęsknię najbardziej? Pewnie zabrzmi to okropnie, ale myślę, że tęsknię za samą ideą matki. Bardziej niż za czymkolwiek - wyjaśniam. - Nie jestem pewna, czy tęsknię za osobą mamy. Tęsknię, bo mi jej brakuje.

- Co to znaczy mieć matkę?

- Czasem bez mamy jest trudno. Na przykład, kiedy wraca się z wakacji, ona czeka na nas w domu, troszczy się i kocha bezwarunkowo. Pewnie trochę idealizuję jej istnienie, ale brakuje mi takiej osoby, która będzie mnie kochać bez względu na to, jak spieprzyłam swoje życie.

- Jest wiele osób, które cię kochają, Emily.

- Wiem, ale nie o to chodzi, prawda? Inni nie kochają mnie bezwarunkową miłością. Ledwie pamiętam mamę, ale wiem, że ona jedna potrafiła mnie pocieszyć. Nie przypominam sobie, że bym była samotnym albo niekochanym dzieckiem. Może byłam samotnicą, ale nigdy nie czułam się samotna.

- Co pamiętasz o matce?

- Głównie przypadkowe szczegóły... Była mądra. Wydawało mi się, że wie wszystko. Potrafiła wyjaśnić, jak działają baterie i na czym polega proces fotosyntezy.

Doktor Lerner kiwa głową. Nie mówi pewnej oczywistości: jak możesz nie pamiętać, że matka zawsze utulała cię do snu, mówiła „kocham cię” i nie kładła się spać, dopóki nie przykleiła brakujących elementów na twoim szkolnym projekcie? Jak możesz nie pamiętać tego, ale za to pamiętasz, że potrafiła wyjaśnić proces fotosyntezy?

Kto nie pamięta własnej matki? Pamiętam, jak umierała i jaka wtedy była: odważna, zbuntowana i bardzo chora. Przedtem taka nie była, ale nie pamiętam jej z tamtego okresu. To tak jakby oceniać książkę na podstawie ostatniego zdania. Nie pamiętam żadnego istotnego szczegółu: na przykład, jak się śmiała, jej tembru głosu, dotyku palców na moim czole. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że pewnego dnia będę potrzebować tych wspomnień.

Teraz mogę ją sobie tylko wyobrażać, wspomagając się tandetną nostalgią. Na przykład jej zdjęciami. Na jednym z tych, które stało na regale w naszym salonie, a potem gdzieś zaginęło, moja matka siedzi w kostiumie plażowym wprost na piasku. Spojrzenie jej orzechowych oczu, takich rozważnych i jasnych, jest na tyle intensywne, że przebija się przez bezduszną fotografię. To zdjęcie zostało zrobione na początku lat siedemdziesiątych, na długo przed moimi narodzinami, więc kiedy wyobrażam sobie moją mamę, myślę o kobiecie, która nie знаła mnie ani ja jej.

- No tak, tęsknię za ideą, ponieważ nie pamiętam osoby, która kryła się za tą ideą.

- Bzdura.

- Słucham?

- To bzdura i ty o tym wiesz. Powiedziałaś to, co zapamiętałaś o swojej matce. To, że dzięki niej nie czułaś się samotna. Że była mądra. Nie umniejszaj wspomnień o niej i nie umniejszaj swoich uczuć.

- O to właśnie chodzi. Nie umniejszam swoich uczuć. Ona odeszła dawno temu.

- Pomówmy o twoich mechanizmach obronnych.

Przed chwilą doktor Lerner poinformowała mnie, że musi mi poświęcić kolejną godzinę.

- Jakich mechanizmach obronnych? Proszę, nie mówmy o Andrew. Nie zniosę tego!

Kusi mnie, żeby natychmiast wyjść z gabinetu wprost w paszczę Nowego Jorku, stać się osobą anonimową, nikomu nieznaną, powłóczącą nogami.

- Wróćmy do chwili obecnej. Możemy? - proponuje doktor i składa ręce jak sędzia przed rozpoczęciem rozprawy. Od dwóch miesięcy widzimy się dwa razy w tygodniu, więc pewnie teraz przedstawi mi swój punkt widzenia. - Od czego by tu zacząć... - Prawdziwy sędzia byłby przygotowany - myślę. Czyżbym była aż tak popierdolona, że nawet ona nie wie, od czego zacząć? - Może od dziadka Jacka. Postanowiłaś nie dostrzegać symptomów jego choroby. Nie obwiniam cię o to, ale zauważ pewien schemat. Teraz twój ojciec - zdaje się, że wy dwoje nie dogadujecie się. Uznałaś, że lepiej siedzieć cicho i nie mówić tego, co chciałabyś powiedzieć. I Andrew, prosiłaś, aby o nim nie wspominać, ale pozwól, że jednak coś powiem. Mogłabym napisać książkę na temat twoich mechanizmów obronnych w kontekście Andrew. - Doktor Lerner rozkłada ręce i kładzie na poduszce spoczywającej na jej kołanach. Wygląda na zadowoloną ze swojej rzeczowości. Taką samą minę przybierają ludzie, gdy stwierdzają: „Bez obrazy, ale...”. - Aha, byłabym zapomniiała. Twoja kariera. Jak długo zamierzasz bagatelizować to, że jesteś bezrobotna? Czy choć przez chwilę zastanowiłaś się, co ty właściwie chcesz robić w życiu? Dni mijają, a ty stoisz w miejscu. Nie jesteś znudzona tym ciągłym nieakceptowaniem prawdy i uczuć? - pyta.

- Rozumiem, co masz na myśli - odpowiadam, choć to nieprawda.

Wiem tylko, że pudełko z chusteczkami higienicznymi było pełne, a teraz jest puste. Na tym chyba polega terapia doktor Lerner: ona coś stwierdza, a ja mam uwiarygodnić jej słowa przykładami ze swojego życia. Że nie powiedziałam tacie, iż chciałabym spędzić z nim święta Bożego Narodzenia. Że prawie rok zajęło mi wyznanie Andrew, jak bardzo go kochałam. Jak bardzo bałam się go stracić, a potem sama go zostawiłam. O żadnej z tych spraw nie mówię na głos. Nie mogę. Może dlatego, że jej nie wierzę, jej wyjaśnienia są zbyt proste.

Kiedy myślę o mechanizmach obronnych, widzę małego chłopca, który na szkolnym boisku bije dziewczynkę, ponieważ ona mu się podoba. Nie myślę o mnie. Nie myślę o kanapie, zmarłej matce, ekschłopaku, chorobie Alzheimera, braku pracy, nieobecnym ojcu, molestowaniu seksualnym i wszystkim tym, co jest zagmatwane w moim życiu.

Nie, w ogóle nie myślę o sobie. Nic nie mówię i duszę się w niezręcznej ciszy. Czekam na ruch doktor Lerner. To jest gra dwuosobowa.

- Uwielbiam, gdy potwierdzasz moje zdanie - mówi kilka minut później i uśmiecha się do mnie. Nie jest to uśmiech, który wyraża radość, tylko poczucie „ja wygrywam”. - Wspomniałam o mechanizmach obronnych, bo ty zamykasz się w sobie. Wykręcasz się od odpowiedzi. Nie mówisz, jak się zachowujesz, co robisz.

- Ale...

- Co ale? Emily, obudź się. Na miłość boską! To jest twoje życie. Czas się z nim zmierzyć. Nie zajdziesz daleko, nie poradzisz sobie ze wszystkim, jeśli nie pozwolisz dojść do głosu swoim uczuciom. Najwyższa pora.

- W porządku.

- Przestań gapić się na to głupie pudełko. Nie znajdziesz w nim odpowiedzi.

- Ale ja nie wiem...

- Czego nie wiesz? Że twoja matka umarła piętnaście lat temu i w końcu postanowiłaś uporać się z tym? Że sabotujesz własne życie, bo za bardzo boisz się żyć?

- Nie wiem, ja...

- Otwórz się - doktor Lerner mówi teraz łagodnie - sama przed sobą.

## 27

Odkąd dwadzieścia cztery godziny temu zakończyłam ostatnią sesję z doktor Lerner, rozmyślałam o Andrew. Poddaję się dręczącym wspomnieniom, rozważam niuanse, szczegóły, nadając im specyficzny charakter, jak twórca filmu dokumentalnego. Zdaję sobie sprawę, że minione dwa lata, kiedy byliśmy razem, nie zawsze były radosne (to byłoby zbyt proste), tylko że ja zapamiętałam i zachowałam na potem jedynie te najlepsze chwile. Żeby się nimi delektować później, kiedy mnie zostawi. Doktor Lerner ma rację, żyłam życiem, które było jak „opóźnione zaspokojenie”, jak papieros po seksie.

Ale ktoś zdarł ze mnie tę kuloodporną kamizelkę. Ktoś zmusił do przyjrzenia się życiu, które porzuciłam, i kazał spojrzeć za siebie.

Nie ktoś, Emily, tylko ty.

Przyjrzyj mu się - powtarzam sobie. Przyjrzyj się.

Więc robię to. Nieustannie mu się przyglądam, jakbym stała w jakimś kręgu, i widzę wszystko, co straciłam i za czym tęsknię.

Brakuje mi dotyku jego warg na moim nagim ramieniu (robił to zawsze, gdy był w pobliżu). Tęsknię za tym, jak odchrząkiwał, zanim wypił łyk wody, i jak drapał się prawą ręką po lewym ramieniu, gdy był zdenerwowany. Brakuje mi tego, jak zakładał mi włosy za ucho, gdy luźno opadały, sprawdzał mi temperaturę, gdy byłam chora. Wzdycham do jego okularów na moim nocnym stoliku. Trawi mnie tęsknota na wspomnienie o tym, jak w niedzielne popołudnie ucinał sobie drzemkę na kanapie, a na jego brzuchu, jak kocyk, leżała gazeta. Podczas snu miał splecione palce obu rąk. Wzdycham do jego przemówień i głupoty

żartów słownych. Usycham z tęsknoty za zabawą w doktora, kiedy się kochaliśmy, i wtedy, kiedy tego nie robiliśmy. Tęsknię za jego zapachem. W jego mieszkaniu unosiła się woń świeżego prania i miodu (używał miodowego szamponu), a w moim - świeżego prania i kokosa (ja mam taki szampon). Serce rwie mi się do chwil, kiedy zmuszał mnie do słuchania francuskiego rapu, a potem sam śpiewał z okropnym akcentem. Brakuje mi tego, jak zawsze na zakończenie rozmowy telefonicznej mówił do swojej siostry „kocham cię”. Nie wstydził się tego ani nie był skrępowany, bez względu na to, kto się obok niego znajdował. Tęsknię za piątkowymi popołudniami, które polegały na oglądaniu filmów DVD, jedzeniu chińskich dań wprost z pudełka i przytulaniu się. Za tym, że wracał do książek z dzieciństwa. Za tym, że był jedynym mężczyzną, przy którym mogłam swobodnie puszczać bąki. Za tym, że rozumiał, jak trudne są dla mnie wakacje, i zawsze dbał o to, żebym nie czuła się samotna.

Nigdy więcej tego nie przeżyję.

Brakuje mi Andrew tak bardzo, że siedząc w kucki, z głową między kolanami, obejmuję się i kołyszę w przód i w tył. Potem gwałtownie wymiotuję do sedesu.

Tęsknię za Andrew tak bardzo, że... splukuję moją nostalgię razem z wodą w toalecie.

## 28

Do: Jess S. Stanton, [jessstanton@yahoo.com](mailto:jessstanton@yahoo.com), Ruth Wasserstein [yourhonor@yahoo.com](mailto:yourhonor@yahoo.com); Mason C. Shaw, APT, Kate R. Callahan, APT

Od: Emily M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Temat: Pomocy!

Witajcie, przyjaciele, potrzebuję Waszej pomocy. Szukam pracy od zaraz. Schowam dumę i cholerny dyplom do kieszeni i przyjmę każdą propozycję. Będę wdzięczna za wszelkie pomysły i sugestie.

Pozdrawiam,

Emily

PS. Proszę, nie załatwiajcie mi roboty tam, gdzie trzeba przygotowywać jedzenie, pracować fizycznie, przyszywać frędzle, lub będącej kombinacją ww.

Do: Emily M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Od: Kate R. Callahan, APT Odp.: Pomocy!

Może powinnaś zostać terapeutką. Wiesz, co mam na myśli. Bardzo Ci dziękuję za wsparcie. Dzięki Tobie poczułam się o wiele lepiej. Przekonuję się coraz bardziej, że odwołanie ślubu było najlepszą decyzją, jaką kiedykolwiek podjęłam...

Do: Emily M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Od: Jess S. Stanton, [jessstanton@yahoo.com](mailto:jessstanton@yahoo.com) Temat:

Odp.: Pomocy!

Moja wyjątkowa i najlepsza przyjaciółko! Niedobrze być bezrobotnym, gdy miało się już pracę. Wiem, że to zabrzmiało nieprzekonująco, ale co powiesz na zatrudnienie w charakterze prawnika?

Do: Emily M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Od: Mason C. Shaw, APT

Temat: Odp.: Pomocy!

Zostań striptizerką.

A tak przy okazji, kto to jest ta Twoja przyjaciółka Ruth? Niezła laska?

Czy nadal jesteśmy umówieni na drinka w piątek?

Do: Mason C. Shaw, APT

Od: Emily M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Temat: Odp.:Odp.: Pomocy!

Ruth jest niezła, ale nie chodzi w Twojej lidze. Jesteśmy nadal umówieni na drinka. Rozbieranie się wymaga zarówno wysiłku fizycznego, jak i przyszywania frędzli do kostiumu. Następnym razem dokładnie czytaj wskazówki.

Do: Emily M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Od: Ruth Wasserstein, [yourhonor@yahoo.com](mailto:yourhonor@yahoo.com)

Temat: Odp.: Pomocy!

Przepraszam, że się nie spotkałyśmy podczas Święta Dziękczynienia, ale wyjechałam do Waszyngtonu. Świetnie się bawiłam z wnukami. W interesującej Cię sprawie mam kilka wspaniałych pomysłów, ale nie zdradzę Ci ich, dopóki nie zadzwonię do kilku osób.

Przy okazji, znowu dałam radę Jackowi, ale tylko w pokera.

Wygrałam trzydzieści dolców!



- Gdy Bridget mówi *fag*, to znaczy, że ma ochotę na seks z gejem? - pyta Maryann, drobna kobieta (zasuszona jak rodzynka), z rozmazaną na wargach czerwoną szminką. Kieruje to pytanie do pozostałych osiemdziesięciolatek z klubu książki. - Moim zdaniem byłoby to obraźliwe. Mój wnuk jest gejem.

- Nie wiedziałam. Musimy poznać go z moim Walterem. W czerwcu ujawnił swoją orientację seksualną - odpowiada Shirley i na serwetce wypisuje numer telefonu do swojego wnuka.

Shirley ma pękaty brzuch i budowę ciała bardziej przypomina suszoną śliwkę niż rodzynkę.

Jest nas sześć kobiet, z czego pięć w wieku osiemdziesięciu lat. Między nami mówiąc, podejrzewam, że Shirley przekroczyła już dziewięćdziesiątkę. Siedzimy w restauracji, do której zwykle chodzę z dziadkiem Jackiem. Minęło dopiero pół godziny, a ja już pokochałam każdą z nich z osobna i wszystkie razem. Włosy, ułożone w polakierowaną burzę loków, mają pofarbowane na nieprawdopodobne kolory: żółty, czerwony, niebieski. W powietrzu wisi ciężki zapach perfum pomieszany z zapachami z restauracyjnej kuchni - kombinacja dziecięcego pudru i smażonego bekonu.

Obiad nie przebiega gładko. Trzy panie odesłały swoje zupy: dwie były zbyt chłodne, jedna za słona. Kazały włączać klimatyzację i za chwilę wyłączać. Narzekały, że w restauracji jest za głośno, kelner ślamazarny, a porcje za duże. Zadziwiające, ale ich marudzenie wcale mnie nie wkurza. Czuję się świetnie, siedząc w towarzystwie osób, które nie zwracają uwagi na pozory i mówią to, co myślą.

Chociaż czytałam *Dziennik Bridget Jones* (kilka lat temu), nie jestem tutaj po to, żeby dyskutować o książce. Może to ekscentryczne, ale przyszłam tu wyłącznie dla towarzystwa. Chciałabym położyć głowę na kolanach każdej z nich, poprosić, żeby głaskała mnie po włosach i opowiedziała historię swojego życia: o utraconych miłościach i tych spełnionych. Czy kiedykolwiek czuły się zbyt zmęczone, żeby wstać z kanapy? Czy kiedykolwiek wymiotowały z powodu bólu serca? Czy boją się śmierci?

Ciekawi mnie, czy nie są zdziwione moją obecnością na sali, zwłaszcza że nie jestem krewną Ruth, ale wydaje się im to nie przeszkadzać. Patrzą na mnie jak na przedstawicielkę wszystkich młodych ludzi, rzeczniczkę młodego pokolenia. Mimo wszystko wołałabym, żeby wybrały biografię Margaret Thatcher. Nie mam nastroju na rozmowę o niedoli singli, o rozwiązłości seksualnej bohaterek *Seksu w wielkim mieście*, nie wyłączając czarująco ckliwej Bridget. Moi przyjaciele i ja przerabialiśmy to jakiś czas temu. Chciałabym się dowiedzieć, jak to jest być na drugim krańcu życia, wtedy kiedy życiowe wybory zostały już dokonane. Chciałabym się uczyć od nich, a nie od świata, który mnie otacza.

- *Fag* znaczy papieros - wtrącam. - To angielskie słowo.

- Ona pewnie dużo pali. Czy twoi przyjaciele też tak dużo palą? - pyta Shirley, a jej zachrypnięty głos sugeruje, że latami paliła winstony.

Wyciąga telefon komórkowy, otwiera go i zamyka. Zauważyłam, że wszystkie panie tak robią - komórka to gadżet, który w tym gronie jest jak odznaka honorowa.

- Właściwie to nie. - To prawda, ale pewnie skłamałabym, gdyby było inaczej. Chcę zrobić na nich dobre wrażenie.

- A alkohol? Twoi znajomi dużo piją? - kontynuuje Shirley i wypija kawę jak kieliszek wódki.

Ona miałaby co opowiadać. Wyobrażam sobie Shirley, gdy miała dwadzieścia lat, paliła papierosy w długiej fifce i w portowych knajpach podrywała przystojnych młodych oficerów w galowych mundurach.

- Niektórzy tak. Większość moich przyjaciół pracuje do późna, więc nie bardzo mają kiedy pić.

- Nie gniewaj się, że zadajemy ci tyle pytań, ale sięgnęłyśmy po tę książkę, żeby dowiedzieć się, jak to jest być młodym dzisiaj - wyjaśnia Maryann.

- Poza tym Colin Firth jest boski - dodaje Shirley. - Tak się cieszę że przygody Bridget zakończyły się happy endem - mówi Maryann i uśmiecha się do siebie. Szminka tym razem wydaje się na swoim miejscu. - Lubię szczęśliwe zakończenia.

- Ja też - pośpiesznie zapewnia Shirley i zamyka oczy.

W myślach wraca do lepszych czasów, tych sprzed pobytu w domu opieki w Riverdale. Być może wspomina, jak z pewnym oficerem kochała się na tylnym siedzeniu chevroleta.

- A ty masz chłopaka, Emily? - pyta Maryann i głowy wszystkich pań zwracają się w moją stronę, a wzrok zawisa na moich ustach.

O co jej właściwie chodzi: o to, czy szukam chłopaka, czy że już mam? Chciałabym, żeby to było takie proste. Nie należę do żadnej z tych kategorii. Na życiowym świadectwie wpisuję sobie literę „P”. „P” jak pieprzę to.

- Dziewczęta, pomówmy jeszcze o książce. Nie przypierajcie jej tak do muru - mówi Ruth.

Wie, że to dla mnie drażliwy temat. Drażliwy, bo spotkało mnie niepowodzenie. Rany jeszcze się nie zabiły. Nadal walczę, próbuję pozbierać się do kupy.

- Miałam chłopaka, zerwaliśmy kilka miesięcy temu, więc teraz mam eks-chłopaka. Było mi ciężko, ale to moja wina. Nie mam prawa narzekać, bo sama zakończyłam naszą znajomość.

- Och, kochanie, tak mi przykro. Nie powinnam była się wtrącać - przeprasza Maryann i poprawia serwetę na kolanie. - A co się stało?

- Maryann! - krzyczy Ruth.

- Czy on był tym jedynym? - pyta Shirley, pochylając się ku mnie.

- Nie wiem - odpowiadam. - A wy, dziewczęta, wierzycie w tego jedynego?

- Nie wiem - wyznaje Ruth.

- Byliście małżeństwem przez ponad pięćdziesiąt lat! - woła odkrywco Maryann.

- To prawda. *Ex post facto* wiem, że Irving był tym jedynym - wyznaje Ruth. - Przeżyliśmy razem pięćdziesiąt lat, ale nie był tym jedynym mi przeznaczonym. Nie potrafię powiedzieć, kiedy przestał być Irvingiem, tym uroczym farmaceutą z Bensonhurst, i stał się moim mężem. To nie dzieje się tak... tak elegancko.

- Pewnie - zgadza się Shirley. - Mojego Stana kochałam bardziej, niż mogłabym to sobie wyobrazić, ale to nie było takie oczywiste od początku. Rzuciłam go kilka razy. Kiedyś zapakowałam dzieciaki i swoje rzeczy do samochodu i postanowiłam zostawić wszystko i wyjechać na Florydę. Dojechałam do autostrady Turnpike w stanie New Jersey i z automatu na przydrożnym parkingu zadzwoniłam do Stana. Wtedy nie miałam jeszcze motoroli. To zabawne, ale dziś nie potrafię powiedzieć, o co się pokłóciliśmy. Kto mówi, że małżeństwo to prosta sprawa, kłamie w żywe oczy.

- A ja jeszcze nie znalazłam tego jedyne - mówi Maryann takim tonem, jakby te słowa pierwszy raz wypowiedziała na głos.

- A co z tym, jak mu tam? Twoim mężem? - pyta Shirley, niespeszona tym, że nie pamięta imienia zmarłego męża swojej najlepszej przyjaciółki.

- On... na pewno nie. Poślubiłam go, bo poprosił mnie o rękę. Miałam już swoje lata i mama powiedziała, że powinnam za niego wyjść. Był przyzwoitym człowiekiem, ale... - Maryann kończy teatralnym szeptem: - ...niezbyt bystrym. Nie martwcie się, nie zaprzestałam poszukiwań. Na trzy mężatki mamy więc dwie spełnione i jedną do wzięcia.

Śmiejemy się z aprobatą razem z Maryann. Dlaczego miałyby zaprzestać poszukiwań? Może szczęśliwe zakończenie nadejdzie we właściwym czasie, pod koniec życia?

- A ja jestem dla siebie tą jedyną - mówi Betty, która dotąd nie włączała się do rozmowy, nie chciała analizować przygód Bridget. - Zawsze byłam i zawsze będę. I to mi się podoba.

- A ja miałam kilku tych jedyne - mówi Shirley i śmieje się. - Tak myślę o każdym mężczyźnie, który uczynił mnie szczęśliwą. - Znowu zamyka oczy i pewnie wspomina wiele takich miłosnych spotkań na tylnym siedzeniu auta. Po chwili otwiera oczy i wzdycha. Wspomnienia są jak zastrzyk przyjemności, jej twarz oblewa się rumieńcem. - Nie znam twojej historii - kończy Shirley - ale chciałabym jeszcze spróbować, jak smakuje taki *fag*.

## 30

Choć rozmawiałyśmy przez telefon prawie codziennie, nie widziałam Kate od kilku tygodni, od dnia kiedy w samych skarpetkach pojawiła się na progu mojego mieszkania. Dzisiaj spotkałyśmy się w jej biurze i widzę, że ma błyszczące włosy i zdrową cerę. Dobrze skrojony, jednobarwny kostium jest czysty, bez plam i zagnieceń. Nie wygląda jak kobieta, która właśnie odwołała zaręczyny. Nie wygląda na kobietę, która pracuje po osiemdziesiąt godzin tygodniowo, żeby zapomnieć o mężczyźnie imieniem Daniel. Zazdroszczę jej. Gdybym mijala ją na ulicy, pomyślałabym, że nie pogniewałabym się za taką prezencją.

- Nie uwierzysz w to, co ci powiem - mówi Kate bez żadnych wstępów.

Wydaje się nie pamiętać, że już tu nie pracuję.

- Co się dzieje?

- Zaraz ci powiem. A tak w ogóle, co ty tu robisz? - pyta i wstaje, żeby przywitać się ze mną.

Ukradkiem zerkam na nią, żeby sprawdzić, czy ta nowa, udoskonalona Kate nie jest złudzeniem.

- Wieczorem idę na drinka z Masonem. Pomyślałam, że wpadnę zobaczyć, jak się czujesz, a przy okazji zapytam, czy chciałabyś pójść z nami.

Staram się uchwycić jej wzrok. Ufam, że wszystko u niej w porządku. Mam nadzieję, że nie zemdleje.

- Nie, dzięki, mam robotę. A czuję się dobrze, naprawdę. Może nie fantastycznie, ale całkiem nieźle. Wiem, że podjęłam właściwą decyzję, więc łatwiej mi sobie z tym wszystkim poradzić. Sądzę, że Danielowi też ulżyło.

Przez chwilę jest zamyślona i smutna. Myślę, że mówi prawdę. Czytam z jej twarzy jak z otwartej książki.

- Więc w co nie uwierzę? - pytam.

- Wywalili Carla.

- Naprawdę?

- Szefowie ogłosili to jakąś godzinę temu. Miałam dzwonić do ciebie, ale utknęłam na spotkaniu. Nie powiedzieli, że został wyrzucony, tylko że opuszcza firmę, ale wszyscy wiemy, co to znaczy. Jestem taka szczęśliwa, że już nie będę musiała z nim pracować - mówi i siada za biurkiem. - Dziękuję ci.

- Za co mi dziękujesz? - pytam, a ona rzuca mi spojrzenie, które mówi: „Nie udawaj”. Uśmiecham się półgębkiem. - Co będzie ze sprawą Synergonu? Czy Carl zabierze ich jako swoich klientów? - Pamiętam, że nie tak dawno spisywałam zeznania pana Jonesa, pytałam go o dietę zmarłej żony. Teraz wstydzę się tego.

- Nie, Miranda zajęła się tą sprawą. Przekonała szefów Synergonu, że czarnoskóra lesbijka reprezentująca firmę w sądzie poprawi ich niekorzystny wizerunek. Pokaże, iż popierają różnicowanie rasowe i odmienne poglądy seksualne. Ale najlepsze jest to, że zmusiła Synergon do zawarcia ugody. Wymienia się ośmiocyfrową liczbę na wyrażenie strat, jakie ponieśli z tego tytułu.

- Nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa. Cieszę się, że coś dobrego wynikło z mojego odejścia. Naprawdę Carla już nie ma? Na serio?

- No, na serio. Carl opuścił ten budynek. *Adiós, amigo*. - Kate wstaje i czyni ręką znak krzyża. Na pożegnanie całuje mnie w policzek. - Chciałabym zostać z tobą i świętować - mówi - ale wzywają mnie na konferencję. Zobaczymy się wkrótce?

- Jasne.

- Kocham cię, Em - rzuca jeszcze przez ramię i pośpiesznie wychodzi z pokoju.

Widać, że pnie się w górę. Porzuciła mnie dla ważnych spraw firmy APT.

Mam jeszcze kilka minut do spotkania z Masonem. Idąc wolnym krokiem do jego biura, sunę ręką po ścianie. Nic się tu nie zmieniło: z pokoiku socjalnego dolatuje zapach prażonej kukurydzy, słychać szum i cykanie kserokopiarek, sekretarki odwołują lub potwierdzają rezerwację hoteli, pracownicy siedzą z pochylonymi głowami nad papierami.

Dobrze się czuję w tym miejscu. Szkoda, że musiałam stąd odejść.

Przez wzgląd na dawne czasy wchodzę do damskiej toalety. Jakaś kobieta w czarnych mokasynach siedzi w mojej ulubionej kabinie, stoję koło umywalki i czekam, aż stamtąd wyjdzie.

- Emily?

- Carisse? - Bez wysokich obcasów, w długiej czarnej sukience, wygląda jak amiszka z filmu kręconego na prerii. - Co to za strój? Zapomniałaś w domu czepka? Nie poznałam cię.

Twarz ma spuchniętą, w czerwonych plamach, jakby ostatnią godzinę przepłakała w toalecie. Wiadać pracownicy APT swojsko się z tym czują.

- Och, przepraszam, czy ty się dobrze czujesz? - pytam.

- Założę się, że tryumfujesz.

- Co?

- Przyszłaś napawać się nieszczęściem Carla? Czekasz na oklaski za dobrze wykonaną pracę? - Rzeczowy ton sugeruje, że nie będzie milczeć.

- Nie, wstąpiłam po drodze. Chciałam się przywitać z kilkoma osobami.

- Powinnaś tryumfować. Nie winię cię za to. No, rozgłoś to po całej firmie.

- Nikomu nic nie powiedziałam.

- Ale myślałaś o tym. Jak mogłam być taka głupia? Myślałaś o tym, prawda?

- Nie wiem, jak...

- Jak dalece głupia może być Carisse?

- Nie jesteś głupia.

- Och, jestem. A chcesz usłyszeć coś jeszcze bardziej idiotycznego? Zakochałam się. Zakochałam się w nim po uszy. Zeszłej nocy zostawił mi wiadomość na sekretarce, że to koniec. Jaki mężczyzna porzuca zakochaną w nim kobietę przez automatyczną sekretarkę? A dzisiaj odszedł z firmy, nawet nie mówiąc mi do widzenia. Drań! Czego oczekiwałam od faceta, który oszukiwał swoją ciężarną żonę?

- Przykro mi.

- Jaki żenujący i wyświechtany slogan! Popatrz na mnie. Panie i panowie, tak wygląda osoba, której koniec można było przewidzieć. - Dyga nieporadnie, w oczach ma błaganie. Żal mi jej.

- Dokonałaś złego wyboru, to wszystko.

- Kolejny frazes. Jakże stosownie dobierasz słowa!

- Nie wiem, co chcesz, żebym powiedziała.

- Nic nie mów.

- Dobrze, nic nie powiem.

- Nie spałam z Andrew. Chcę, żebyś to wiedziała. Nie zrobiłabym tego.

- Dzięki, że mi powiedziałaś.

- No. - Wyciera mokrą od łez twarz ręcznikiem papierowym.

- Pozbierasz się?

- Dochodzę do siebie.
- Przykro mi, Carisse. Naprawdę.
- No, dobrze. Masz rację. Dokonałam złego wyboru.
- Jak każdy.
- Czy naprawdę wyglądam, jakbym miała nosić czepek?
- Coś w tym stylu. - Uśmiecham się skruszona. - Ale to byłaby miła zmiana.
- Wielkie dzięki. - Pozwala sobie na cień uśmiechu. - Wiesz, że to najdłuższa rozmowa, jaką kiedy-

kolwiek przeprowadziłyśmy?

- Może powinniśmy to kiedyś powtórzyć - sugeruję. Twarz Carisse nie wyraża żadnych uczuć.
- Chętnie.
- Ja też - odpowiadam, choć nie jestem o tym przekonana.
- Emily, moja utracona miłości! - woła Mason i obejmuje mnie. Omal go nie przewróciłam, rzucając mu się w ramiona. - Jestem szczęśliwy, że cię widzę.
- Też się cieszę, że cię widzę, Mace. - Uśmiecham się szeroko.
- Akurat! Założę się, że ucieszyła cię wiadomość o Carlu.

Mason całuje mnie w policzek i kieruje w stronę windy. Zerkam na niego z ukosa. Jest jak zwykle zadbany, ogolony, wygląda, jakby przed chwilą wziął prysznic, choć ma za sobą pracowity dzień (hm... widzę, że włosy na karku ma mokre, a kołnierzyk jest suchy).

Na dole dostrzegam przy bramce Marge. Trzyma straż, stojąc obok swojego drewnianego krzesła. Serce bije mi szybciej. Ciekawe, czy mnie rozpozna. Zakończenie mojego ostatniego dnia w firmie było świetne, chciałabym, żeby się powtórzyło.

- Witam - pozdrawiam ją.
- Dziękuję - odpowiada Marge bez związku.

Zastanawiam się, czy się nie przesłyszałam. Zatrzymuje mnie metalową pałką przy wyjściu. Czyżbym stanowiła zagrożenie?

- O co chodzi?
- Chcę ci podziękować za to, że wylali tego gościa, Carla.

Zaniemówiłam. Kim jest ta kobieta? Urwała się z FBI? Z CIA? A może zaraz wyciągnie pistolet M15?

- Słucham?

- Ten gnój szczypał mnie w tyłek każdego dnia przez dziesięć lat - mówi i pozwala mi przejść. - Dwa tysiące czterysta trzydzieści dwa razy. Wiem, bo liczyłam.

- Liczyłaś?
- Tak, liczyłam.
- Dlaczego nic nie powiedziałaś?
- Mam dwoje dzieci w college'u.



- Dwa tysiące czterysta trzydzieści dwa razy to dużo. To mnóstwo uszczypnięć.

- Tak, to dużo. Dziękuję. I mój tyłek też ci serdecznie dziękuje.

- No cóż, Marge i szanowny zadku - mówię i uśmiecham się. - Cała przyjemność po mojej stronie.

Już miałam wyjść na zewnątrz, ale zmieniłam zdanie.

Muszę załatwić z nią jeszcze jedną sprawę. Odwracani się i widzę, że ona też jest na to przygotowana.

Dłoń piecze mnie jeszcze przez godzinę po przybiciu z Marge piątki.

Mason wybrał bar hotelu Royalton, bo to blisko firmy (można dojść na piechotę). Choć jesteśmy dokładnie w centrum miasta, to miejsce tchnie minimalistycznym duchem starego Hollywoodu. To niesamowite siedzieć tutaj, sączyć drinka z rozszerzanego kieliszka i mieć na sobie kuszącą sukienkę. W przeciwieństwie do białej tapicerki mebli mój drink jest krwistoczerwony.

Wznosimy toast za wyrzucenie Carla z roboty i moje spotkanie z Marge. Mason nie pyta o szczegóły tego, co się wydarzyło w Arkansas, mówi tylko: „Dobrze zrobiłaś”. Cieszę się, że nie interesują go detale. Tej sprawy nie rozpatruję w kategoriach sukcesu czy odwagi. Pijemy za nas, a potem za świetny garnitur Masona (granatowy w prążki). Po dwóch kolejkach czuję się lekko wstawiona.

- Zerwałem z Laurel - mówi Mason.

Nie jestem zdziwiona. Mason cierpi na syndrom ADD\*, to znaczy, że nie potrafi pozostać w związku dłużej niż kilka tygodni. Szybko się nudzi i nieustannie rozgląda za nowymi narzeczonymi.

\* ADD - *Attention Deficit Disorder* (przyp. tłum.).

- Co się stało?

- Nic. Nie chcę jej więcej widzieć. Była miła, ale nic do niej nie czułem, rozumiesz?

Mason gapi się na mnie, przygląda mi się spod oka. Zastanawiam się, czy to przypadkiem nie jest randka. Przedtem też chodziliśmy na drinki, tak we dwoje, ale wiadomo było, że jesteśmy tylko przyjaciółmi. Dziś jest inaczej. Oboje nie mamy żadnych zobowiązań, oboje szykownie ubrani i flirtujemy. W takiej sytuacji seks zawsze wchodzi w grę.

- Rozumiem.

Spuszczam wzrok. Ciekawe, czy się rumienię. To tylko Mason - powtarzam sobie. Uspokój się.

- Co powiedziała Laurel?

- Nie wchodząc w szczegóły, myślę, że nie dostanę od niej kartki na święta w tym roku.

Podchodzi kelnerka i pyta, czy podać kolejne drinki.

- Dla mnie cosmopolitan, a dla kolegi martini z podwójną porcją oliwek, ponieważ są mu potrzebne.

- Przeciagam samogłoski, udając południowy akcent. - Właśnie został sam, złamawszy przedtem serce jakiejś biedaczce.

- Widzisz, tego potrzebuję. Trochę więcej uczucia. - Przysuwa się bliżej.

Czuję, że przewraca mi się w żołądku, jak zawsze, gdy przystojny mężczyzna patrzy tak, jakby chciał mnie schrupać na obiad.

- Tak? - odzywam się głupawo.

Czy chcę, żeby to była randka? Mason nie jest w moim typie, mimo nieskrywanej męskości: szeroki tors, owłosione przedramiona. Maniery ma kowboja i pewnie kocha się jak kowboj. Na samą myśl wilgotnieję.

Zmuszam się do utrzymania kontaktu wzrokowego z Masonem i ciągnę grę, którą on zaczął. Może potrzebuję tego, żeby zapomnieć o Andrew. Wymażę go z pamięci i rzucę się w ramiona kogoś innego. Jeśli wsłucham się w to, co Mason opowiada, poczuję i wchłonę jego zapach, zapomnę o Andrew. Wymienię go na nowszy model.

Moje ciało nie poczuje różnicy.

Mason pochyla się coraz bardziej w moją stronę, podkreślając swoje intencje. Nie odsuwam się. Może coś się zdarzy. Wypijam łyk drinka, Mason też. Spotykamy się wzrokiem, a mnie bawi moja zmienność. Raz na jakiś czas daję się ponieść, dokonuję nieoczekiwanych wyborów. Po prostu zaszalej - mówię sobie. Żyj chwilą.

Kolana Masona niby przypadkiem dotykają pod stołem moich kolan. Nie przepasza. Rozmawiamy o tym, co będę robić, jakiej szukam pracy, ale rozmowa toczy się w żartobliwej konwencji. Wymyślamy różne drogi mojej kariery: degustatorka lodów Ben and Jerry, wzięta pisarka powieści podróżniczych... Mason upiera się przy swojej pierwszej propozycji.

- Zostań striptizerką - mówi. - Oczywiście w lokalu o nienaganej reputacji. - Nie musiałabyś się tłumaczyć z tego, że zakładasz wysokie skórzane buty i kabaretki. - Niezłe ciuchy. - Zamyka oczy i udaje, że myśli o nich.

Śmieję się i trącam go w ramię. Bierze moją dłoń, przytrzymuje o sekundę za długo i puszcza. Zamawia jeszcze jedną kolejkę. Nie protestuję. Chcę być pijana. Nie mogę się doczekać tego, co nastąpi.

- Czy próbujesz mnie upić, Masonie Shaw? - Mam nadzieję że mój głos brzmi słodko, nie głupkowato.

- Tak, proszę pani - odpowiada. - Wiesz, że bardzo za tobą tęskniłem? Bez ciebie nic nie jest takie jak przedtem.

- Dzięki. Ja też za tobą tęskniłam. Minione tygodnie były szalone.

- Co porabiałas? - pyta, a ja zastanawiam się nad odpowiedzią.

Wydarzyło się wszystko i zarazem nic. Kanapa i Święto Dziękczynienia. Doktor Lerner i dziadek Jack. Tęsknota za Andrew. Uczucie, że w każdej chwili mogę się załamać i nastąpi wielki finał wieloletniego wyniszczania się. Oczywiście nie wspominam Masonowi o żadnej z tych rzeczy. Nie jest typem faceta, który zrozumiałby emocjonalną implozję, ale na pewno zrozumiałby, że można kochać się z kimś, żeby zapomnieć o tym drugim. Właściwie jest facetem, który dodaje mi odwagi, żeby to zrobić.

- Niewiele - mówię. - Głównie oglądałam telewizję.

Po dwóch godzinach jesteśmy pijani. Śmiejemy się i przepraszamy, kiedy się dotykamy. Mason dotyka moich włosów, rąk, kolan, ja dotykam jego ramienia, gdy idę do toalety i ponownie, kiedy wracam. Obraz rozmazuje się, ale jestem świadoma tego, co się dzieje. Słowa i gesty stanowią część erotycznego tańca.

Przy regulowaniu rachunku proponuję, że zapłacę za siebie, ale Mason odsuwa moje pieniądze i przy okazji delikatnie dotyka wnętrza mojej dłoni. Przypomina mi, że jestem bezrobotna. Chichoczymy, bo wydaje nam się to szalenie zabawne. Wychodzimy z hotelu Royaltan i nadal chichoczymy, zaskoczeni tym, że niczego nie rozlaliśmy na białą tapicerkę. Jesteśmy pewni, że wszyscy podzielają nasz upojny nastrój, więc wychodząc, rozdajemy uśmiechy na prawo i lewo (nie sprawdzam, czy obdarowani nimi ludzie też się do nas uśmiechają).

Mason obejmuje mnie ramieniem i kładzie mi rękę na biodrze.

Wsiadamy do jednej taksówki, choć mieszkamy w przeciwnych kierunkach. Mason podaje kierowcy mój adres i zanim się zorientowałam, zajeżdżamy przed apartamentowiec. Mason trzyma mnie za rękę i prowadzi do środka.

- Dobrze się czujesz, Emily? - pyta stojący jak zwykle na straży Robert.

- Świetnie, dzięki. - Próbuję panować nad swoim głosem i nie mówić bełkotliwie. - To mój przyjaciel Mason. Znamy się z pracy.

- Miło mi pana poznać - mówi Robert i podaje Masonowi rękę. Taksuje go wzrokiem, ocenia po garniturze, czy wygląda wystarczająco profesjonalnie, i dopiero wtedy nas wpuszcza.

- Dobranoc - mówimy, kierując się do windy.

Nagle w tym ciasnym pomieszczeniu czuję się nieswojo. Wyrzeźwiałam w jednej chwili. Stoimy naprzeciwko siebie. Mason posyła mi jeden z tych uśmiechów, który mówi: „Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę cię nago”. Jeszcze mnie nie całuje i jestem mu za to wdzięczna. Potrzebuję czasu, żeby się pozbierać. Widok Roberta, który prawie co noc pozdrawiał mnie i Andrew, skłania do refleksji, czy mimo wszystko jest to dobry pomysł.

Dasz radę, Emily. Tylko spójrz na niego. On jest rozkoszny.

Wchodzimy do mieszkania, czyli do mojej sypialni, ponieważ mieszkanie jest jednoizbowe. Teraz, gdy jest tu Mason, wydaje się mniejsze. Mimo że znajdujemy się po drugiej stronie pokoju, moim zdaniem jesteśmy za blisko łóżka. Nie chcę się śpieszyć.

- Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję, kochanie.

Mason idzie w moją stronę, dzieli nas już niewielka odległość. Obejmuje mnie i przytula, nasze twarze nieomal się stykają. Będziemy się całować. Pocałuję Masona.

Ale nie całujemy się, przynajmniej na razie. Mason próbuje przyciągnąć mój wzrok, żeby sprawdzić, czy wszystko dobrze, ale nie potrafię podnieść oczu. Gapię się na jego usta, które zaraz mnie dotkną.

I wtedy zaczynamy się całować. Najpierw delikatnie, Mason potrafi dawkować napięcie. Zaczyna od lekkich, prowokujących pocałunków. Jego wargi głaszczą moje, też nie otwieram ust. Te dziecięce pocałunki trochę łaskoczą. Zgodnie z instrukcją całujemy się mocniej, dotykając językami. Zamykam oczy; nie muszę patrzeć na jego usta, żeby wiedzieć, dokąd się posunie.

I to był błąd. Nie całowanie się, ale zamknięcie oczu. To mnie dezorientuje, pod powiekami widzę Andrew. Mocniej całuję Masona, maltretuję jego usta, by zniknął obraz Andrew. Wmawiam sobie, że Andrew pewnie też teraz kogoś całuje, na przykład w metrze jadącym do centrum, więc nie ma powodu, że bym czuła się winna.

Powiedział, że bym go zostawiła, no to go zostawiam.

Mam teraz otwarte oczy. Patrzę na Masona, kiedy się całujemy tak beznamiętnie. Widzę jego brwi i pieprzyk na prawym policzku. Skup się na tym pieprzyku, Emily. Jest uroczy. Skup się na nim.

Mason otwiera oczy i widząc, że gapię się na niego, przestaje mnie całować i cofa się. Łapie oddech i odzyskuje mowę.

- Chcesz tego? - pyta, nie ze złością, tylko tak delikatnie.

Postanawiam dalej się całować, tak będzie dobrze, więc nie odpowiadam, tylko dotykam jego ust.

- Emily... - Cofa się o krok. Spotykamy się wzrokiem. Jego oczy mówią: „Nie w ten sposób. Nie chcę cię takiej”. - Chodzi o Andrew? - pyta, choć zna odpowiedź. Kiwam tylko głową zbyt zniesmaczona sobą, żeby coś powiedzieć. Dlaczego wciążam w to Masona? - Och, Em - mówi, widząc, że prawie płaczę. Przytula mnie w przyjacielski sposób. - Nie wiedziałem. Gdybym wiedział, nie zrobiłbym tego.

- Wiem - odpowiadam.

- Myślałem, że będzie fajnie.

- Nie wiedziałeś. To znaczy ja nie wiedziałam... To nie twoja wina. Przykro mi, Mason. Myślałam, że mogłabym. I wtedy byłoby...

- Co?

- Byłoby fajnie.

Moje łzy spływają na marynarkę Masona.

- Jaka szkoda, co nie? - mówi głośno, za głośno w tym pustym pokoju.

- Szkoda czego?

- Tego. To znaczy od dawna miałem nadzieję, że uda mi się ciebie wyhaczyć, Darlin. - Śmieje się i oboje rozumiemy, że seksu już nie będzie; jesteśmy znowu tylko my - mój stary przyjaciel Mason i ja.

- Nie żartuj. Gdzie nauczyłeś się tak całować? Jesteś profesjonalistą.

- Wiem. Dziewczęta powtarzają mi to od lat. Sądzę, że powinienem opatentować tę technikę.

- Dzięki, Mason... że mnie zrozumiałeś. - Zawstydzona, zasłaniam ręką usta, żeby to zatuszować.

- Nie ma sprawy. Od czego są przyjaciele? - Uchyła wyimaginowanego kapelusza, jak szarmancki kowboj. - Słuchaj, skoro już tak mnie podjarałaś, może dasz mi numer telefonu twojej koleżanki. Ma na imię Ruth, prawda?

- Przykro mi, Mace, ale Ruth nie odpowiada na telefony w sprawie seksu. Ale poczekaj... Mam pewien pomysł. - Idę ze słuchawką do łazienki, telefonuję i wracam ze świstkiem papieru. - Pamiętasz moją przyjaciółkę Jess, o którą zawsze mnie pytasz?

- Tę wysoką atrakcyjną blondynę? - pyta i widzę podniecenie w jego oczach.

Jess i Mason wspominali mi, że chcieliby się przespać ze sobą, ale nigdy nie było po temu okazji.

- No, idź. Teraz. Czeka na ciebie - mówię i podaję mu jej adres.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Kocham cię, Darlin - mówi i całuje mnie w policzek.

Chcę coś powiedzieć, ale Mason jest już za drzwiami, w drodze do mojej najlepszej przyjaciółki, aby uprawiać z nią seks.

Chcę, żeby było jasne: dopuszczam przygodny seks, tak samo jak stosowanie środków psychotropowych i eutanazji. Chcę mieć prawo wyboru. Seks z Masonem to był niezły pomysł. Liczba moich kochanków wzrosłaby do pięciu, co brzmi lepiej niż czterech (też nie do pogardzenia), wzięwszy pod uwagę, że mam dwadzieścia dziewięć lat i dawno minął czas, kiedy mogłam przebierać w interesujących mężczyznach.

I tu jest problem. Nie jestem dobra w zawieraniu bliskich znajomości. (Nie chodzi o seks. Myślę, że mieszcze się w przeciętnych ramach, nie jestem ani lepsza, ani gorsza, choć nie tak dobra jak Jess, która ma znacznie większą praktykę i przygotowuje się do seksu jak do jakiejś ceremonii). Gdybym przespała się z Masonem, nie miałyby to dla mnie żadnego znaczenia (nie jestem też pewna, czy cokolwiek znaczyłoby to dla niego). Taka jest prawda, bez względu na to, w jakie atrybuty męskości Mason jest wyposażony (tego doświadczenia nie wpiszę więc do mojej autobiografii). Zapomnę o tym, gdy w wieku Ruth będę rozmawiać o niczym z innymi starszymi paniami w domu opieki w Riverdale. Wobec tego nie ma o czym mówić.

I jeszcze coś: jestem hipokrytką. Twierdzę, że seks z Masonem nie zrobiłby na mnie wrażenia, ale nadal o tym myślę i martwię się. Rozmyślam o Andrew i Masonie, Masonie i Andrew; czy jeszcze kiedyś to zrobimy, czy naprawdę pożegnałam się z Andrew, czy za drugim razem ugnę się i czy ładnie pachniałam. A poza tym nie tryskam taką energią. Przygodny seks jest dla mnie jak nabiał: nie trawię go za dobrze.

Po wyjściu Masona leżę na środku łóżka, wpatruję się w sufit i w myślach robię listę rzeczy, które rozumiem w moim świecie. Dwa minus jeden równa się jeden. Jestem w moim mieszkaniu, ponieważ przyjechałam taksówką, potem jechałam windą, otworzyłam drzwi, całowałam się z Masonem, potem Mason sobie poszedł i teraz jestem sama. Dwa minus jeden równa się jeden. Dobiega mnie hałas z łazienki. Muszę wreszcie wezwać hydraulika, żeby naprawił ciekący kran. Jutro obudzę się z bólem głowy. Będę miała kaca po wypiciu sześciu drinków cosmopolitan. Dziadek Jack odchodzi, ponieważ komórki nerwowe w jego mózgu obumierają; zdarza się to u starszych ludzi w jednym przypadku na dziesięć. W takim razie

Ruth należy do pozostałych dziewięciu, tych bezpiecznych, ale kto wie, czasem proporcje rozkładają się inaczej. Andrew leży już pewnie w łóżku, może nie sam. Może dopiero wraca do domu taksówką albo metrem. Tak czy owak jest daleko. Dwa minus jeden równa się jeden. Żona Carla spodziewa się bliźniąt. Jego sperma zapłodniła jej jajeczka; doszło do tego, bez względu na to, jakim on jest dupkiem. Nie wiem, co robi teraz mój ojciec, ale założę się, że jest zajęty przygotowywaniem budżetu, dokonywaniem niemożliwych wyborów i kompromisów. Dwa minus jeden równa się jeden.

Muszę usłyszeć czyjś głos, prawdziwy i rzeczowy. Uchwycę się go, zanim pójde spać. Dzwonię do portierni.

- Dobranoc, Robercie - mówię, przedzierając się przez trzaski w słuchawce domofonu.

- Dobranoc, Emily - odpowiada ze zrozumieniem, jakby ludzie bez przerwy do niego dzwonili, żeby usłyszeć jego głos.

## 31

- Kochana, jestem ci bardzo zobowiązana - oznajmia Jess następnego dnia, głosem nawiedzonego członka bractwa w college'u. - Ten facet powinien opatentować swoją technikę.

- Nie masz mi za złe, że tak cię sprostytuowałam? Czuję się dziwnie, że wysłałam Masona do jej mieszkania. Pierwszy raz wystąpiłam w charakterze stręczycielki.

- Żartujesz? Jeśli już ktoś się sprostytuował, to Mason. Był wart każdej ceny. Oszczędzę ci szczegółów, ale żałuj, że go nie chciałaś. Zmarnowałaś okazję. Mógł ci trochę wyprostować w głowie.

- Potraktuj to jako prezent świąteczny. A pozostając w temacie prezentów, pójdziesz ze mną na zakupy?

Trzymam kciuki. Strach pomyśleć, że resztę dnia spędzę samotnie na słuchaniu kolęd.

- Przykro mi. Jestem zbyt obolała, żeby chodzić.

- Słodziutka, jestem ci wdzięczny - oznajmia Mason jakieś dwadzieścia minut później, tym samym tonem co Jess.

- Więc ty też się nie gniewasz? Złe się z tym czułam.

- Chyba żartujesz. To była najlepsza noc w moim życiu, jak rodeo, jak w powieści. - Wzdycha, jakby właśnie zjadł coś pysznego.

- Pójdziesz ze mną na świąteczne zakupy?

- Przykro mi - odpowiada Mason - ale boli mnie szyja.

- Co robisz dzisiaj? - pyta Ruth chwilę później takim tonem, jakby chciała mnie widzieć natychmiast, tak jak siedzę w piżamie na kanapie (nie znalazłam powodu, żeby się ubrać), albo nigdy więcej.

Nagle, będąc poza zgiełkiem świątecznego zamieszania, dzwonów Armii Zbawienia i sztuczności wystroju domów towarowych, wydaje mi się, że nie zniosę w samotności widoku pierwszych płatków sy-



piącego z nieba śniegu. Z telewizyjnych informacji wynika, że świat nie wykrwawia się. Na kwadratowym ekranie wszystko jest bezpieczne.

- Nic szczególnego - odpowiadam.

To prawda, ale w moim wypadku „nic szczególnego” oznacza, że się nie wykapię, mój mózg zgnije doszczętnie od oglądania telewizji, zęby popsują się od żelkowych miśków.

- W takim razie spotkamy się dziesięć po pierwszej przed sklepem Bloomingdale'a. Robimy sobie z paniami wycieczkę do centrum. Po trzynastej będę wolna. Potrzebuję twojej pomocy przy zakupie prezentów.

Mój sprzeciw został oddalony, zanim go wyraziłam.

- Dobrze - zgadzam się potulnie.

Może z Ruth zniosę jakoś to świąteczne szaleństwo. Zaszuszone osiemdziesięcioletnia Żydówka będzie moją osobistą ochroną, taką prywatną Marge.

- Emily, jest kilka spraw, które musimy omówić - rzuca czułym głosem, jakby chciała pomóc mi zejść z kanapy.

Może ma jakąś radę odnośnie do mojej kariery zawodowej. Wydrukowałam dziesiątki podań o pracę, ale nie wymyśliłam, dokąd je wysłać. Może Ruth stanie się moją magiczną zaczarowaną kulą i przepowie mi przyszłość, podejmie za mnie decyzję? Ta, której używam od dziesięciu lat, wydaje się wybrakowana. Na pytanie, czy powinnam przyjąć pracę w APT i czy zerwać z Andrew, odpowiedziała: „Dobra prognoza”.

Dzisiaj, gdy spytałam zaczarowaną kulę, czy Ruth powinna zająć jej miejsce, dała inną odpowiedź, choć również złożoną z dwóch słów: „Bardzo wątpliwe. Bardzo wątpliwe”. Potrząsnęłam nią jeszcze raz. Odpowiedź brzmiała: „Prognoza niejasna. Spróbuj ponownie”. Spróbowałam ponownie i trzy razy z rzędu otrzymałam tę samą odpowiedź. Zły znak. Coś się wydarzy. Ruth umrze. To przekazuje mi magiczna kula przez swoje plastikowe, nietłukące się okienko. Pewnego dnia, może za pięć lat, może za dziesięć (jeśli będziemy mieć szczęście), Ruth umrze. Pójdę na pogrzeb i zrzucę łopatką trochę ziemi na jej trumnę. Czy tak się robi na żydowskich pogrzebach? Rzuca ziemię? Następnego ranka - bez względu na to, czy rzuca się ziemię, czy nie - obudzę się w świecie, w którym nie będzie Ruth, w bezwzględny świat, i zajmę się swoimi sprawami. Będę udawać, że wszystko jest w porządku, bo przecież starzy ludzie umierają codziennie.

- Nienawidzę świąt - mówi Ruth na powitanie, gdy punktualnie o 13.10 spotykamy się przed sklepem Bloomingdale'a. Pozbierałam się, wzięłam prysznic, zrobiłam makijaż, żeby nie było widać, że płakałam. Na szczęście Ruth nie pyta, dlaczego mam zaczerwienione oczy. Musiałabym powiedzieć, że przez ostatnie dwie godziny pisałam w myślach panegiryk na jej cześć. Pewnie by mnie nie zrozumiała. - Spójrz na ten kłębiący się tłum. Mam ochotę powiedzieć: „Ludzie! Idźcie do domu! Pozwólcie mi w spokoju zrobić zakupy!”.

Bierze mnie pod rękę, żeby nie rozdzieliły nas hordy konsumentów. Chcę zapamiętać wszystko, co się z nią wiąże: ciepło ramienia pod wełnianym żakietem, zapach wody toaletowej Shalimar (moja babcia używała innej), tembr głosu (mocny i zarazem delikatny). Już u wejścia do sklepu zostaję zaatakowana i obezwładniona dochodzącymi zewsząd bodźcami, które przeszkadzają mi chłonąć Ruth. Zapiszę ten dzień w pamięci, mocno się go uchwycę. Gdy Ruth kiedyś odejdzie, nie będę czuła pustki.

Z powodu błysków choinkowych lampek, uperfumowanego powietrza, trącających mnie łokci i parasolek, pieprzonego *Rudolfa*, *czarwonosego renifera* nie potrafię się skupić. Matki z córkami są jak świąteczna reklama wszystkiego tego, czego nie mam i nie kupię za żadne pieniądze. Taki ruchomy billboard przedstawiający szczegóły, o których zapomniałam. Albo nigdy nie starałam się zapamiętać.

Zerkam na Ruth i przyciskam jej ramię do swojego boku. Postrzega to jako docieplenie naszych stosunków. Prowadzi mnie przez tłum, na drugą stronę sklepu, robi pętlę i znajdujemy się w punkcie, z którego wystartowałyśmy.

- Co byś powiedziała, gdybyśmy poszły coś zjeść? pyta i nie czekając na odpowiedź, kieruje się ku schodom prowadzącym na dół, do kawiarni.

Zgadzam się z ochotą. Nagle zdałam sobie sprawę, że duszę się w tym miejscu, gdzie każdy z tysiąca klientów odhacza z długiej listy zakupione prezenty. Panowie kupują dla kochanek i żon, córki dla prawdziwych i przybranych rodziców, bracia przyrodni dla przyrodnich sióstr.

Moja lista jest krótka, nie muszę nic zapisywać.

- Wyglądasz okropnie - mówi Ruth, gdy siadamy naprzeciwko siebie w zatłoczonej kawiarni.

Tu też jest głośno, ale nie czuję się atmosfery zbiorowej hysterii.

- Dzięki. - Cieszy mnie to, że Ruth nie ma oporów, żeby mi coś takiego powiedzieć. - Tak też się czuję.

- Co ci jest? - pyta, ale bez nacisku.

- Tęsknię za Andrew. Zabronił mi kontaktować się ze sobą.

- To musi boleć.

- Tak, ale sama się o to prosiłam.

- To prawda. Nie jest ci z tym łatwiej, zgadłam?

- Nie jest. Święta to dla mnie trudny czas.

- Dla mnie też - mówi. - Zawsze o tej porze roku bardzo tęsknię za Irvingiem.

- Jaki on był?

- To dziwne, ale nie znoszę go opisywać, ponieważ nie potrafię oddać mu sprawiedliwości. To go umniejsza, sprowadza do szczegółów. Najogólniej można o nim powiedzieć *mensh*. Wiesz, co to znaczy? - Potakuję milcząco. - No, to taki był. Był po prostu dobrym, mądrym i uprzejmym człowiekiem, ale nieśmiałym, bardzo nieśmiałym.

Zwykle to ja mówiłam za nas oboje. Jego rodzice wyjechali z Niemiec tuż przed wojną i wylądowali w Brooklynie. Uwierzysz, że wprowadzili się do sąsiedniego mieszkania i, dorastając, byliśmy sąsiada-

mi? Razem poszliśmy na bal maturalny. Razem przeszliśmy przez życie. Znał każde moje wcielenie - i tę chudą uczennicę, i wściekłą prokurator przewodniczącą posiedzeniom sądu. Jest mi teraz ciężko, bo takiej nie spotkał mnie nigdy - seniorki domu opieki.

- Masz na myśli Ruth Niepokonaną i tę, która bez pardonu ogrywa mojego dziadka w pokera?

- Taką też. Byłby pod wrażeniem. Wiesz co? Myślę, że święta są trudne dla każdego. Wszyscy występujemy w wielkim show. Święta to taki specyficzny sposób powiedzenia światu, że czuję się świetnie. Skoro masz komu dać prezent i są przyjęcia, na które się wybierasz, twoje życie musi być w porządku, zgadza się?

- Chyba tak.

- Widziałaś, żeby ktoś śmiał się na pogrzebie? - pyta Ruth bez związku z poprzednim tematem.

Zastanawiam się, czy może ona coś wie o tym, jak zachowałam się przy trumnie mamy. Śmiałam się takim histerycznym, przenikliwym śmiechem, bo to było jedyne, co wtedy umiałam zrobić.

- Widziałam. - Ruth mogę to powiedzieć. - Na pogrzebie mamy. A najśmieszniejsze jest to, że tak się czułam: ubawiona. To było niepoważne.

- No właśnie. Tak samo postępują ludzie w czasie świąt. Pieczołowicie pakują prezenty, będzie in-dyk, mnóstwo ajerkoniaku i śmiechu, ale na koniec przyjdzie refleksja, że przy stole kogoś zabrakło. Możesz zasiąść do stołu przy tych pustych krzesłach i śmiać się, możesz w ogóle do tego stołu nie siadać. Ja raczej usiadłabym - stwierdza zdecydowanie, jakby ogłaszała werdykt. Winny albo niewinny.

- Uważasz, że powinnam zacząć siadać do świątecznego stołu, tak?

- Tak. W końcu ten śmiech stanie się prawdziwym śmiechem, jeśli będziesz tego chcieć. Nie możesz się tego bać. Musisz o to walczyć. A puste krzesła zawsze będą i to też jest w porządku. Emily, muszę ci coś powiedzieć.

Aha - myślę - teraz mi powie, że umiera.

- Słucham. - Biorę głęboki oddech. Będzie dobrze. Zniesiesz to, Emily. Wcześniej też dałaś radę.

- Jack czuje się gorzej. Myślę, że go tracimy. Jestem zdezorientowana. Straciliśmy z oczu dziadka Jacka, byłam tam, kiedy zniknął. Muszę się upewnić, czy mamy to samo na myśli.

- Możesz mówić jaśniej?

- On umiera, Emily. Przestał jeść. Może ma raka jelita grubego, ale pewności nie ma.

- Dzwoniłam do niego codziennie, ale nie wspominał, że źle się czuje. - Bawię się serwetką. Rozdzieram ją na długie białe strzępy. - Rozmawiałaś z lekarką? - Trzymam się szczegółów. Tak jest najłatwiej.

- Tak. Kilka dni temu, kiedy siedziałam z Jackiem, zatrzymała się przy nas. Twój dziadek nie zgodził się na wykonanie kolonoskopii, więc nie mają pewności, co mu jest, ale wszystko na to wskazuje, że ma raka.

Serwetka nie jest już serwetką. Jest stertą długich kawałków.

- Okej - mówię. - Okej. Wiedzą, jak długo to potrwa? - pytam, ponieważ chcę wiedzieć.

Nasz czas dobiegł końca. Zapamiętam dziadka Jacka i to musi mi wystarczyć. A jest o czym pamiętać.

- Sądzą, że niedługo. Może nie jutro, ale wkrótce. Patrzy na mnie takim matczynym, ciepłym wzrokiem.

Widać, że pragnie się mną zaopiekować, chce, żeby mniej bolało. Ale boli. Taką ją zapamiętam, powróci do mnie jak obraz utrwalony na starej fotografii. Zapamiętam jej twarz i piękne zmarszczki. Współczesne pokolenie aplikuje sobie botoks. Chciałabym je przerysować na kalkę, przesuwać palcami po liniach i zatrzymać to spojrzenie na zawsze.

Nie rzucę ziemi na jej trumnę - postanawiam. Gdy będę ją wspominać, przypomnę sobie to spojrzenie.

- Dziękuję, że mi powiedziałaś. Teraz nie mogę już udawać, że cię nie zrozumiałam. - Jak dziecko układałam na stole górę śmieci z podartej chusteczki.

- No tak.

- Sądysz, że powinnam zadzwonić do ojca i powiedzieć mu?

- On wie. - Spuszcza wzrok, nie patrzy na mnie.

- Wie?

- Ostatnio był u niego co wieczór. Chyba wie.

Ruth wpatruje się w beużyteczną stertę kawałków chusteczki.

- Dlaczego nie zadzwonił do mnie? Dlaczego mi nie powiedział? - pytam Ruth, choć nie ją powinnam o to pytać.

- Nie wiem. W tym tygodniu nie miałam wiadomości od ciebie. Domyśliłam się, że ojciec cię nie zawiadomił - wyjaśnia. - Mam nadzieję, że nie przekroczyłam żadnej granicy. Po prostu pomyślałam, że powinnaś wiedzieć.

- Dzięki. Nawet nie wiesz, jaka jestem ci wdzięczna. Wstaję i przytulam ją. Jest taka drobna w moich ramionach - same kości pod grubą wełnianą garsonką.

- Przecież wiesz, że chcę dla ciebie jak najlepiej. Dziadek Jack idzie własną drogą, bo tak chciał, powiedział to. - To prawda, choć źle się z tym czuję. Jakbym już zaliczała dziadka Jacka do grona umarłych. - Tak jest lepiej.

Ruth kładzie mi rękę na ramieniu. Nie spodziewałam się, że będzie taka ciężka.

- Tak - mówię. - Tak sędzę.

Biorę głęboki wdech i ze świstem wypuszczam powietrze. Strzępy serwetki sfruwają na podłogę jak latawce. Żadna z nas nie schyla się, żeby je pozbierać.

Odzyskawszy siły, Ruth i ja postanawiamy zmierzyć się ze zmorą zakupów. Znowu idziemy pod rękę, przedieramy się przez tłum, nie zwracając uwagi na trącające nas przepelnione prezentami torby. W gwarze słyhać dźwięki kolędy *Cicha noc*. Nieświadomie wypowiadamy bezgłośnie jej słowa. Oprócz kilku sprzedawców perfum nikt nas nie zaczepia, możemy spokojnie się wałęsać. Zatrzymujemy się przy

kaszmirowych szalach, zanurzamy ręce w delikatnym materiale. Kupuję rękawiczki dla Kate i Jess. Ruth kupuje kapelusz dla syna i kaszmirowy szal dla siebie.

Gdy tak spacerujemy, zastanawiam się, czy Ruth i ja jesteśmy postrzegane jako babcia i wnuczka. Mam taką nadzieję. Chciałabym, żeby ludzie myśleli, że mam kogoś tak wyjątkowego, z kim mogę pod rękę przechadzać się po sklepie Bloomingdale'a. Dzisiaj nie zazdroszczę pozostałym parom w sklepie. Mam Ruth przy sobie i to mi aż nadto wystarcza.

## 32

Do: Emily M. Pratt, emilympratt@yahoo.com

Od: Doug F. Barton, APT

Odp.: Praca

Witaj, Emily. Wszystkiego najlepszego z okazji świąt od rodziny APT. Nie wiedziałem, że znasz Ruth Wasserstein! Jaki ten świat jest mały! Pracowałem z nią zaraz po ukończeniu studiów prawniczych, od dwudziestu lat jest dla mnie wzorem i nauczycielem. Wspominała mi, że zdecydowałaś się podjąć nową pracę. Więc, mówiąc krótko, zasiadam w zarządzie ACLU\* i wiem, że poszukują prawników. Niestety, wynagrodzenie będzie znacznie niższe niż w APT, ale Ruth sądzi, że możesz być zainteresowana. Jeśli tak, skontaktuj się ze mną jak najszybciej, a ja zorganizuję spotkanie.

Pozdrawiam,

Doug Barton

\* ACLU - American Civil Liberties Union (przyp. tłum.).

Do: Emily M. Pratt, emilympratt@yahoo.com

Od: Miranda A. Washington, APT

Cześć, Emily! Nie wiedziałam, że znasz Ruth Wasserstein! Ona jest moja idolką. Pracowałam z nią zaraz po studiach (sto lat temu). To najmądrzejsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałam. Napisała, że szukasz posady, w której chcesz poświęcić się dla społeczeństwa. Zasiadam w zarządzie Legal Aid. Interesowałoby Cię to? Pense są gówniane, ale mogłabyś odwalić kawał dobrej roboty. Zdaje się, że o to Ci chodzi. Jeśli możesz przyjdź na rozmowę kwalifikacyjną 27 grudnia, daj mi znać. Rozpaczliwie poszukują pracowników.

Najlepszego na święta,

Miranda

Do: Ruth Wasserstein, [yourhonor@yahoo.com](mailto:yourhonor@yahoo.com)

Od: Emily M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Temat: Dziękuję Ci!

DZIEKUJĘ CI, RUTH! DZIEKUJĘ!

Jesteś moją dobrą wróżką!

Wiesz coś może o jakimś tanim mieszkaniu w Brooklynie? Jeśli przyjmę państwową posadę, nie będzie mnie stać na to, które wynajmuję, chyba że sprzedałabym moje organy na czarnym rynku.

Do: Emily M. Pratt, [emilympratt@yahoo.com](mailto:emilympratt@yahoo.com)

Od: Ruth Wasserstein, [yourhonor@yahoo.com](mailto:yourhonor@yahoo.com)

Odp.: Odp.: Dziękuję Ci!

Kochana, od czego ma się przyjaciół. Sprzedaj organy, ale nie zaprzędawaj duszy!

## 33

Może to jeden z tych momentów w życiu, kiedy nie waham się. Idę za głosem serca. Niech krwawi. Nie mam nic do stracenia. Jeśli nie zaryzykuję, znajdę się znowu w pułapce kanapy. W przeciwieństwie do Meatloafa w filmie *W pułapce* nie chcę uciekać; nie ma ucieczki od tych trzech rzeczy: potrzebuję, chcę, kocham. Już dość się wycierpiałam. Doktor Lerner powiedziałaaby, że tak mam zrobić: „Bo tak się żyje własnym życiem, Emily”. Więc piszę maila do Andrew i w końcu mówię to, co chcę powiedzieć.

Do: Andrew T. Warner

Od: Emily M. Pratt

Odp.: Sama nie daję rady

Cześć, A. Wiem, że nie chcesz mnie znać, ale nie daję rady. Chcę Ci powiedzieć trzy rzeczy:

Kocham Cię.

Tęsknię za Tobą.

Spróbujmy jeszcze raz.

Do: Emily M. Pratt

Od: Andrew T. Warner

Odp.:Odp.: Sama nie daję rady

Chyba żartujesz. Piszesz mi maila? Dorośnij, Emily.

Proszę, zostaw mnie w spokoju.



- Jak sądzisz, dlaczego tak potoczyły się sprawy z Andrew? - pyta doktor Lerner podczas następnej sesji.

Przez ostatni miesiąc walczyliśmy ten temat dwa razy w tygodniu. Doszliśmy do punktu, w którym terapia świetnej lekarki doprowadza mnie do łez. Nie mam pojęcia, czy czuję się lepiej. Doktor Lerner nie uratuje dziadka Jacka od śmierci, nie sprawi, że Andrew pokocha mnie na nowo, co najwyżej wyczyści moje konto do zera.

Po raz enty gramy w taką oto grę: doktor Lerner pyta, dlaczego sprawy mają się, jak się mają, a ja odpowiadam, że nie wiem.

- Nie wiem.

Patrzę na perski dywanik. Skupiam się na jego wzorze, ale nie potrafię rozszyfrować schematu. Są tu koła w kołach i łezki we łzach. Jest w kolorze żurawiny, takiej zaschniętej krwi.

- Nie wiesz? - dziwi się doktor Lerner.

Stale tak robi. Powtarza za mną, podkreślając w ten sposób, że uciekam od zwierzeń.

- Wszystko schrzaniłam. Potem chciałam naprawić. Nie udało się. Gra skończona.

- Gra skończona?

- Tak, gra skończona. Próbowалам. Złamałam swoje pieprzone zasady chyba ze trzy razy. Czas z tym skończyć. Andrew nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Nie ma innego wytłumaczenia.

- Nie ma innego wytłumaczenia. Rozumiem. Powiedz mi, dlaczego twój ojciec nie powiadomił cię, że najbliższa ci osoba umiera.

- Niezbyt miło to ujęłaś. Sądziłam, że jesteś osobą o głębokiej empatii.

- Jestem uczciwa. Więc czemu ci nie powiedział?

- W naszej rodzinie o takich rzeczach się nie rozmawia. Mówiąc jaśniej, komunikatywność nie jest mocną stroną mojego ojca.

Na dywanie dostrzegam złoty szlaczek w kształcie małych diamentów.

- A co powiesz o sobie? Czy komunikatywność jest twoją mocną stroną?

Nie jestem pewna, czy w jej głosie nie wyczuwam sarkazmu. Dzisiaj doktor Lerner ma na sobie sari i biały turban, włosy upięte w węzeł. Turban - to w tym przypadku symbol moralnego i religijnego autorytetu, nie dwuznaczności, więc zakładam, że nie jest sarkastyczna.

- Nie za bardzo, ale pracuję nad tym.

- Ze swoim ojcem?

- A co mam zrobić? Zadzwoić do niego i powiedzieć: „Proszę, poinformuj mnie, kiedy dziadek umrze”? To nie ma znaczenia, bo i tak niewiele mu zostało. Zadzwoić do niego i powiedzieć, że uległam mu w sprawie świąt, ale żałuję, bo czuję się z tym bardziej samotna niż przedtem? Zadzwoić do niego i

powiedzieć, że rzuciłam pracę i zerwałam z Andrew? Że on mnie teraz nienawidzi? Że czuję się jak pieprzona sierota?

Kim jest doktor Lerner, żeby ferować opinie? Z tym swoim rekwizytem na głowie w postaci turbana i pospolitym dywanem na podłodze? Co ona może wiedzieć?

Doktor Lerner milczy. Odpowiedzią na moje pytania jest martwa cisza.

- Dialog to rozmowa dwóch osób. - Zachowałam się jak rozpieszczony dzieciak, jestem wyczerpana. Doktor Lerner tylko potrząsa głową. Dłonie spoczywają na kolanach. Wygląda, jakby medytowała. Kusi mnie, żeby jej przypomnieć, że płacę za pomoc, a nie za osiągnięcie duchowej nirwany.

- On mnie nie słucha, jakbym mówiła do ściany.

- A kto ci powiedział, że on musi cię słuchać? Nie chodzi o niego, Emily. Chodzi o ciebie. Nie zmienisz innych ludzi, ale siebie tak. Musisz nauczyć się komunikować - mówi, wyraźnie wymawiając słowa, jakby przekazywała puentę do kreskówki magazynu „New Yorker”.

- Aha. - Celowo pozbawiam ją satysfakcji usłyszenia jakiegoś konkretnego słowa. To taki mój żart.

- Aha - papuguje mnie i uśmiecha się z wyższością. Jej mina mówi: „Nie jesteś mądrzejsza ode mnie”.

Chciałabym umieć porozumiewać się wzrokiem, tak jak doktor Lerner. Wtedy nie miałabym problemu z komunikacją.

- No dobrze, zrozumiałam. Muszę lepiej się komunikować. Łatwiej powiedzieć niż zrobić. - Oczywiście ona ma rację. Jest mądrzejsza ode mnie, dlatego do niej przychodzę. - Próbowałam z Andrew. Naprawdę spróbowałam. Wyłożyłam kawę na ławę w mailu. A on mnie skasował. Jakby traktor po mnie przejechał.

- No to się ciężko spracowałam. Wysłałam maila.

- Co to ma znaczyć?

- Ty wiesz, co to znaczy. Powiedz mi, co cię powstrzymuje przed powiedzeniem tego, co chcesz powiedzieć?

- Doktor Lerner jest teraz lekarzem, a ja pacjentką. Znowu gapię się na dywan, ale on nadal wygląda jak połączenie kilku różnych dywaników w jeden większy.

- Proszę, patrz na mnie, nie na podłogę. Chcę wiedzieć, co się z tobą dzieje, co powoduje, że jesteś zablokowana.

- Czasami, gdy chcę coś powiedzieć, nie znajduję właściwych słów. Jakby istniała jakaś przestrzeń, którą powinnam wypełnić, ale nie potrafię.

Doktor Lerner tylko kiwa głową.

- Sądzę, że problem po części tkwi w tym, iż nie wiem, co powiedzieć. Czasami nawet nie potrafię przykleić odpowiedniej etykiety, jak w przypadku Andrew. Nie potrafiłam powiedzieć mu, czego chcę, ponieważ naprawdę nie wiedziałam. Chyba powinnam była sięgnąć głębiej. Ale ja zawsze czułam, że nie mam po co sięgać. Nic tam nie ma - odpowiadam.

Siedzę na kanapie i zamykam oczy. W gabinecie panuje całkowita cisza. Od tego punktu zaczęłam - uświadamiam sobie. Zaczyna się od ciszy. Siebie też się tworzy z niczego. Tworzy się coś, do czego można sięgnąć.

- No właśnie - mówi doktor Lerner, jakby słyszała moje myśli. - No właśnie.

Siedzimy jeszcze chwilę. Na zewnątrz panuje cisza, ale nie w mojej głowie. Myśli i zdania kotłują się, wypełniają mnie. To nie jest jakaś specjalna siła, ale zawsze coś. Na dobry początek.

Po wyjściu z gabinetu doktor Lerner wracam do domu. Termometr wskazuje niską temperaturę. O tej porze dnia Manhattan pustoszeje. Tłumy ludzi przeciskają się teraz przez mosty i tunele. Samoloty wypełnione pasażerami znikają jeden po drugim za linią horyzontu. Tak się dzieje co roku w przeddzień wigilii Bożego Narodzenia. Większość ludzi opuszcza Manhattan i jedzie „do domu”, cokolwiek by to miało znaczyć. Wyruszają, byleby nie być tutaj. Hałas cichnie, jakby zgiełk Nowego Jorku, z wyjąkami syrenami, klaksonami taksówek, odgłosami kroków, został zduszony ogromnym kocem. Nie jest całkiem spokojnie, ale znacznie ciszej.

Gdy ojciec postanowił w tym roku nie obchodzić Bożego Narodzenia, nawet nie rozważałam możliwości wyjazdu na święta do domu. Już nie myślę o tym miejscu jak o domu, odkąd kojarzy mi się ze zgiełkiem i dezorientacją. To już nie jest ten sam dom, co kiedyś. Jego wnętrze zostało przebudowane, a wyposażenie wykupione przez sąsiadów podczas garażowej wyprzedaży. To już nie jest mój dom.

Gdy czuję się tak jak dzisiaj, taka nieważka, że aż boję się, iż rozwięję się w nicości, w myślach robię listę ludzi, którzy mnie kochają. Aktualnie są na niej następujące osoby: Jess, Kate, Ruth, może Mason (na swój sposób) i ojciec (również na swój sposób). Oczywiście dziadek Jack też należy do tego grona, ale nie wpisuje się na tę listę, bo nie zdaje sobie sprawy z mojego istnienia. Nie czuje się też opuszczony i nie tęskni za mną. To tak jak ze zdjęciem mamy na plaży (często o nim myślę) - największym zmartwieniem kobiety z fotografii jest równomierna opalenizna. Nic mnie z nią nie łączy, ponieważ zdjęcie zostało zrobione, zanim się urodziłam. Ona też wygląda, jakby miała się rozpląnąć.

Wiem, że za jakiś czas dziadek Jack znajdzie się w rejestrze opatrzonym napisem „Umarli, którzy mnie kochali”. Ze zrozumiałych powodów jest to osobna lista.

Andrew, jak łatwo zauważyć, nie ma na liście. To także nie wymaga wyjaśnień.

Często tworzę taki spis. Dobrze się z tym czuję. Czy wszyscy tak robią? Liczą tych, którzy ich kochają, sumują ich znaczenie w ludzkich jednostkach? Dopisują imiona do mojego skromnego jednocyfrowego wykazu: pięć osób albo sześć - to zależy od tego, jak liczę. Powtarzam imiona w głowie, przechodząc obok wieżowców. Rytm mantry zmusza do brania oddechów przy każdym słowie i do zatrzymywania ich w moim wnętrzu. Każde słowo sprawia, że czuję się bardziej pełnowartościowa.

Na dwunastym miejscu Jess, Jess, Jess. Na jedenastym Kate, Kate, Kate. Na dziesiątym Ruth, Ruth, Ruth. Na dziewiątym Mason, Mason, Mason. Na ósmym ojciec, ojciec, ojciec. Na siódmym dziadek Jack, dziadek Jack, dziadek Jack. Dziadek Jack nadal się liczy.

Dochodzę do mojego domu i nie poznaję mężczyzny, który stoi w drzwiach.

- Gdzie jest Robert? - pytam obcego człowieka w mundurze Roberta i jego czapeczce.

- Na Staten Island. Spędza święta z rodziną. Będę go zastępować przez kilka dni - wyjaśnia i przytrzymuje przede mną drzwi. Ma około pięćdziesięciu lat, twarz boksera, pooraną zmarszczkami i poznaconą pękniętymi naczyniami krwionośnymi, i taką minę, jakby chciał powiedzieć: „Chyba już się gdzieś widzieliśmy”. - Dobranoc pani.

Nie znamy się z imienia, ale jego głos będzie ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszę dziś wieczorem. Tęsknię za Robertem.

- Dobranoc - odpowiadam po zamknięciu się drzwi windy.

Nie ma znaczenia, czy mnie usłyszał.

## 35

Wiem, że nie musiałam być dzisiaj sama. Mogłabym być w Providence, na Rhode Island czy Short Hills albo w New Jersey z rodziną Jess lub Kate. Piłabym ajerkoniak i otwierała prezenty, które w ostatniej chwili kupiły dla mnie moje przyjaciółki, gdy odkryły, że nie mam dokąd pójść. Ruth zapraszała mnie do Waszyngtonu. Spędziłabym święta z jej dziećmi i wnukami na oglądaniu filmów, przy chińskim jedzeniu. Mason zasugerował, że mogłabym polecieć z nim do Teksasu i pierwszy raz w życiu jeść indyka smażonego w głębokim tłuszczu. Choć każda z tych propozycji była kusząca, odrzuciłam je, uznawszy, że jako rodzinny sęp czułabym się jeszcze bardziej samotna; udawałabym, że jestem częścią czegoś, czego nie jestem.

Mam swój własny plan. Budzę się wcześnie, kiedy białe oślepiające światło słońca ledwo przediera się przez szyby, i zjadam miseczkę płatków.

Nie dam się pogrążyć. Nie spojrzę w kierunku kanapy i telewizora.

Biorę prysznic, ubieram się, wkładam zimowy płaszcz, rękawiczki, czapkę i szal. Opatulam się ciasno i grubo.

To jest łatwe. W Darfurze są zabijane dzieci. Jesteśmy narodem wojowników. To nic takiego.

Wychodzę, życzę wesołych świąt człowiekowi, który nie jest Robertem, i idę do centrum. Zimne powietrze wpływa w rękawy palta i mrozi mi skórę nad rękawiczkami.

Musisz zrobić choć jedną małą rzecz, Emily. To ci da siłę na przyszłość. Zrób jakiś postęp.

Idę szybkim krokiem trasą pociągu numer sześć. Mijam Union Square, Madison Square Park. Budynek Met Life góruje nade mną, odmierza mój postęp.

Docieram do stacji Grand Central, która cuchnie odorem potu pomieszanym z zapachem parzonej kawy i wygląda jak obóz dla uchodźców w Miami. Gorąco jak w piekle, powietrze jest ciężkie i wilgotne. Rodzice bezskutecznie próbują złapać biegające dzieci, wycierają pot z twarzy zużytymi chusteczkami. Wszędzie pełno toreb: wetknięte pod pachy, umieszczone między stopami, z wystającymi z nich rolkami czerwonego i zielonego papieru do pakowania prezentów. Co jakiś czas słychać komunikat. Wtedy część

osób znika za ogromnymi drzwiami z numerem pociągu. Wracają do domu. Czarny pulsujący zegar popędza ten dzień do przodu, popycha nas ku przeznaczeniu.

Czekam na mój pociąg. Nie myślę o tym, co robię, a w szczególności, dokąd jadę. Siedzę na podłodze, ze wzrokiem utkwionym w tablicę. Gdyby ktoś z moich znajomych znalazł się na stacji Grand Central, nie zauważyłby mnie. Jestem jedną z tysiąca osób czekających na pociąg. Nie wyróżniam się z otoczenia. To tak, jakbym zniknęła.

Jazda pociągiem przebiega bez niespodzianek. Głos w mojej głowie zagłusza stukot kół. Opieram czoło o zimną szybę, patrzę na nijaki krajobraz. Mogłabym być gdziekolwiek na świecie.

Wysiadam na moim przystanku. Przed wejściem stoi pusta taksówka, jakby czekała na mnie. Zajmuję tylne siedzenie. Nie znam adresu, ale taksówkarz wie, jak tam dojechać. Przyglądam się fotografiom jego dzieci, przypiętym do oddzielającej nas lśniącej plastikowej ściany. Dwie takie same dziewczynki z warkoczycami - ta z prawej strony pokazuje wyrwany ząb.

Taksówkarz podwozi mnie pod bramę. Uświadamiam sobie, że kilka budynków dalej jest klub. Ciekawe, czy ojciec siedzi tam, poklepuje ludzi po plecach i potrząsa ich dłońmi. A może jest z wizytą u rodziny Anne. Skąd ona pochodzi? Z Maine? Nosi dżinsy, więc chyba jest z Maine. Daję kierowcy duży napiwek, dwukrotnie większy od należności za kurs.

- Dziękuję. Zaczekać na panią?

- Nie, nie trzeba. Proszę jechać do domu, do rodziny - mówię. - Wesółych świąt!

- Wesółych świąt? - odpowiada niepewnie.

Kiwam głową, więc włącza silnik i odjeżdża, pozostawiając za sobą jedynie zapach spalin.

Stoję przed cmentarzem Putnam. Przez otwartą metalową bramę kieruję się w stronę szpaleru drzew. Nie słyhać ani jednego dźwięku, nawet szelestu liści. W tej chwili jestem sama.

Przechadzam się główną alejką, pod stopami czuję drobne kamyczki. Zieloną płaszczyznę otaczają starannie uformowane krzewy i białe ogrodzenie. Byłam tu tylko raz - na pogrzebie mamy. Nie jestem pewna, gdzie jest jej grób. To okropne, ale nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, żeby wsiąść do pociągu i przywieźć kwiaty. Teraz też nie mam kwiatów. Nie mam też nic na swoje usprawiedliwienie, że nie miałam czasu albo że pociąg mi uciekł, i tym podobne bzdety. Nie wierzę w życie pozagrobowe, nie znam żadnej logicznej teorii, która dowiodłaby, że kawałek ziemi, w której spoczywa moja matka, stał się czymś innym niż tylko kawałkiem ziemi. Odwiedzanie tego miejsca byłoby czymś niemądrym. Przyjazd tutaj byłby jedynie formą ruchu. Kolejnym przypomnieniem, że głupia kamienna płyta jest wszystkim, co po niej zostało. A to przecież jest nic.

Choć dzisiejszy przyjazd, mam tego świadomość, dotyczy tylko mnie, mało ma wspólnego z uhonorowaniem mojej matki.

Idę przez cmentarz w nadziei, że jakiś znak wskaże mi właściwy kierunek. Czytam napisy na nagrobkach. W głowie dokonuję matematycznych obliczeń, odejmuję daty. Mijając groby mężów i żon, któ-

rzy przeżyli ze sobą wiele lat i zostali pochowani obok siebie, wyobrażam sobie, że głęboko pod ziemią trzymają się za ręce.

Dzieci też są tu pochowane.

Przechodzę obok kwatery MacKinnonów. Ciekawe, czy to rodzina Carla. Spoczywa w niej siedemnastolatek, czterolatek, siedemdziesięciosześcioletek. Kamienne nagrobki mają różne kształty i rozmiary, są matowe i błyszczące. Kilka przypomina ławkę (kusi mnie, żeby na niej usiąść), choć nie jestem pewna, czy pełnią taką funkcję. Odległości między nagrobkami są przypadkowe. Niektóre napisy mają postać kunsztownej akwaforty.

Leżą tu matki, córki, synowie, mężowie, żony i przyjaciele. Nie widzę ani jednego nagrobka z napisem: prawnik, bankier czy farmaceuta. Rozpoznaję sławne nazwiska. Bushów ulokowanych przy fladze amerykańskiej uznaję za „tych” Bushów. Dostrzegam bezimienny nagrobek, jest na nim tylko napis „Dzieciątko. Dziewczynka. Davenport”.

Mam ochotę położyć się na trawie, zamknąć oczy i zostać tu na zawsze. Dzisiaj cisza mi nie przeszkadza. Przez chwilę zapominam, że szukam jednego szczególnego miejsca, chcę się tylko trochę powłóczyć. Może to jest mój dom, między nagrobkami, drzewami, umarłymi? Może powinnam rozkręcić tu jakiś biznes, postawić małe stoisko z kwiatami? Sprzedawałabym je takim ludziom jak ja, którzy zapomnieli przywieźć własne. Pocieszałabym moich klientów, żeby nie było im przykro. Mówiłabym, że to się każdemu może zdarzyć. A w nocy spałabym w ściworze obok Jenny Davis, która zmarła w 1991 roku w wieku czternastu lat. Ciekawe, czy знаła Madonnę. Czy nosiła aparat na zębach, a jeśli tak, to czy zdjęli jej go, zanim ją pochowali? Jak się umiera w wieku czternastu lat? To chyba szczególnie okrutny wiek do umierania. Była wystarczająco dojrzała, żeby wiedzieć, że nie pocałuje się z mężczyzną (a to ma znaczenie).

Znajduję mamę pomiędzy grobami z końca ubiegłego wieku. Jej grób jest troszkę oddalony od pozostałych. Zastanawia mnie, jak można ją było położyć w tym miejscu. Wydaje się to niestosowne. Doskonałe miejsce byłoby obok Jenny Davis. Cieszę się, że ojciec wybrał dla niej prosty nagrobek. Nie ma żadnych misternych akwafort - nic, co mogłoby wyjść z mody. Jest tylko pionowy prostokąt, dookoła spory trawnik, miejsce dla dziadka Jacka, mojego ojca i sądzę, że pewnego dnia dla mnie.

CHARLOTTE PRATT 1950-1992

Podoba mi się, że nie ma napisów w stylu: ukochana, matka, córka czy żona. Nie ma niczego, co mogłoby ją zaszufladkować. Okrażam grób. Czytam napis, obliczam, ile lat upłynęło od jej śmierci. Nie wiem, co powinnam teraz zrobić. Usiąść przed nagrobkiem na trawie? Położyć się? Taką mam ochotę.

Położyć się w cieniu jej nagrobka.

Siadam, ale nie kładę się. Ktoś mógł przechodzić obok.

Siedzę przed pionową płytą ze skrzyżowanymi nogami i zastanawiam się, czy zachowuję się lekceważąco lub popełniam świętokradztwo. Dochodzę do wniosku, że to nie ma znaczenia. Mama mnie rozumie.



Cześć, mamó - mówię w myślach, nie na głos. Słyszysz mnie, czy mówię na głos, czy w myślach. W mojej głowie słowa brzmią, jakbym zwracała się do niej, a nie do prostokątnego kamienia.

Cześć, mamó - powtarzam. Długo się nie widziałyśmy. Nie dzwonisz. Nie piszesz.

Okej, pozwól mi zacząć jeszcze raz. Nie powinnam sobie żartować.

Cześć, mamó. To ja, Emily. Pewnie to wiesz.

Przestań. Zrób to tak, jak należy.

Okej, okej, okej.

Wstaję i okrążam nagrobek, żeby uspokoić myśli. Głęboko oddycham (jak w ćwiczeniach jogi). Dam radę. Znowu siadam, ostrożnie, w tym samym miejscu. Z jakiegoś powodu uważam, że ten kawałek ziemi jest mój.

Cześć, mamó. Nie wiem, czy mnie słyszysz, ale czy to ma jakieś znaczenie? Przepraszam, że nie przyniosłam ci kwiatów, że przyście tutaj zajęło mi piętnaście lat i że spędziłam chwilę z Jenny Davis, zamiast być zaraz u ciebie. Nie wiem, jak to wszystko funkcjonuje, ale jeśli spotkasz Jenny, pozdrów ją ode mnie i powiedz, że będę myśleć o niej. Mimo że jej nie znam.

Nie wiem, co powiedzieć. Czy to będzie niestosowne powiedzieć ci wszystko? Jak bardzo za tobą tęsknię, bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Myślę o tobie codziennie. Nie o tobie, bo przepraszam, ale nie pamiętam cię zbyt dobrze. To, co pamiętam, zachowałam głęboko w sobie, może zbyt głęboko. Noszę w sobie wyobrażenie o tobie.

Byłaś dla mnie wszystkim. Byłaś moją mamą, ale już nie ma cię przy mnie. Codziennie o tym myślę.

Nie przeszkadzałoby mi, gdybyś czasem odezwała się do mnie. Z przyjemnością posłuchałabym twojego głosu w mojej głowie. Może charakterystycznego tonu? Zagubił się gdzieś kilka tygodni po twojej śmierci i nie ma nadziei, że go sobie przypomnę, choć bardzo się staram. Słyszę, jak przestajesz oddychać, tę straszną ciszę, a wołałabym jej więcej nie słyszeć. Gdybyś mogła, odezwij się do mnie, to byłoby cudowne. Jeśli nie możesz, zrozumieć.

Przepraszam, że nie zapamiętałam ciebie wtedy, kiedy miałam okazję. Powinnam była zrobić wiele rzeczy, ale nie zrobiłam. Chciałabym mieć taką możliwość i nacisnąć przycisk „ponowne uruchomienie”. Teraz sądzę, że trzeba rozmawiać, nawet o trudnych sprawach. Powinnam była powiedzieć ojcu, że chcę z nim być w Boże Narodzenie, że powinniśmy spróbować być rodziną; źle jest udawać. Powinnam była powiedzieć, że już wystarczy.

Będę mówić. Teraz już będę.

Chciałabym wszystko pamiętać, łatwiej byłoby mi znieść twoje odejście. Wtedy tak naprawdę nie odeszłabyś. Byłabyś gdzieś we mnie i nie czułabym się teraz taka samotna. Czasem w nocy próbuję wyobrazić sobie twoją twarz, ale widzę tylko twarz kobiety z fotografii, a to nie to samo. Powinnaś wiedzieć, że na tym zdjęciu sprzed choroby wyglądasz pięknie. Mam na myśli to zdjęcie, na którym jesteś wystrojono-

na na przyjęcie z okazji moich trzynastych urodzin. Pamiętam, jak narzekałaś, że za szybko dorosłam i że wkrótce mnie stracisz.

Na zdjęciu wyglądasz jak ktoś, kim chciałabym być.

Byłoby cudownie, gdybym mogła powiedzieć ci, tak po prostu, że ojciec i ja czujemy się dobrze. Oczywiście, że mamy się dobrze, oczywiście, że tak. Mówisz, że za długo byliśmy rozbici psychicznie i niezbyt się wysilaliśmy, żeby się pozbierać. Próbowaliśmy. Teraz oboje się staramy i jeśli dopisze nam szczęście, znowu będziemy rodziną. Dwuosobowa rodzina to też rodzina. Myślę, że nadszedł czas powalczyć o nas.

Dziadek Jack umiera. Wyobrażam sobie, że już o tym wiesz. Mam zamiar odwiedzić go dzisiaj wieczorem i spędzić z nim trochę czasu. Zaopiekujesz się nim (jeśli to prawda, że od nas odchodzi), dobrze? Lubię myśleć o tobie, babci Marcie, twoich rodzicach, choć ich nie znałam. O was wszystkich, jak się śmiejecie i jecie indyka, siedząc przy starym dębowym stole. Przykro mi, ale nie wierzę, że jesteście gdzieś razem. Myślę tak, żeby się pocieszyć. Tak jak w tej chwili, kiedy myślę, że mnie słyszysz.

Jakie to ma znaczenie. Słyszysz siebie, a to już jest coś. Czas zacząć słuchać siebie.

Czuję się dobrze. Czasem jestem zmęczona, nawet wtedy, gdy nic nie robię. Ostatnio schrzaniłam wiele spraw, ale zaczynam wychodzić na prostą. Przyjechałam tutaj, a to coś więcej niż tylko początek. Zaprzyjaźniłam się z kobietą o imieniu Ruth, przyjaciółką dziadka Jacka. Pokochałabyś ją. Jest mądra, zabawna i opiekuńcza. Czy to normalne, że nadal chcę, aby się mną opiekowano, mimo iż mam prawie trzydzieści lat?

Kiedy wiedziałaś, kim powinnaś być? Kim ja jestem?

Wiem, kapryszę jak małe dziecko. W prawdziwym życiu, poza tym miejscem, nie jestem taka. No, może czasami. A może zawsze jest się dzieckiem? Bóg wie, że wciąż jestem dzieckiem uczepionym ojca, a ojciec - dziadka Jacka. Ostatnio okłamałam ojca w wielu sprawach, on też nie pozostał mi dłużny. To było głupie i teraz nie warto tego odgrzewać. Powiem tak: musimy popracować nad komunikacją.

Czasami myślę, że gdy umarłaś, ktoś włączył mój prywatny przycisk milczenia i moje prawdziwe ja uwięzło wewnątrz mnie.

Rzuciłam pracę, co akurat było dobrą decyzją. Zerwałam z Andrew, którego nie poznałaś, ale też pokochałabyś. Jest wyjątkowy. Teraz wiem, że należy dbać o ludzi, którym oddałoby się swoją nerkę. Nie pozwolić im odejść, chyba że ma się nie po kolei w głowie i nie wie, co posiada. Albo jest się zbyt przestraszonym. Prawda jest taka, że byłam przestraszona. Gdybyśmy nadal ze sobą chodzili, wiem, że porąbałby moje serce na drobne kawałki. Pożarłby mnie żywcem.

Tracimy ich, gdy ma się przechlapane tak jak ja. Wtedy oddanie własnej nerki niewiele znaczy. Teraz by miało znaczenie, bo zrozumiałam, co straciłam. Zrozumiałam, że ciągle uciekam. Wreszcie zaczęłam odzyskiwać utracone części. Teraz, gdy mam obie nerki i mogę się nimi podzielić, to cholernie dużo znaczy. Gdyby tylko chciał, dołożyłabym wszelkich starań (ale jasno powiedział, że nie chce mieć ze mną

nic wspólnego). Tak czy owak będę walczyć o niego. Tym razem na serio. Nawet gdyby było za późno. i oznaczało, że zajebię się w tych staraniach.

Przepraszam za to przeklinanie. Dużo klnę i pewnie powinnam przestać. Jestem prawnikiem i osobą dorosłą, na miłość boską!

Chciałabym wiedzieć, czy mnie widzisz albo słyszysz, i kiedy tak się dzieje - bo nie jestem pewna, czy chcę - żebyś widziała wszystko. Gdybym mogła wybrać, wybrałabym wszystko oprócz tych krępujących sytuacji. Ale to oczywiście nie zależy ode mnie. Gdyby to ode mnie zależało, stałabys teraz obok mnie, odwiedzałybyśmy groby ludzi, których lubiliśmy, ale nie tęskniłybyśmy tak bardzo jak ja za tobą.

Gdyby to zależało ode mnie, cofnęłabym czas i wróciła tutaj z bukietem kwiatów.

W ten sposób mówię ci, że cię kocham. I tęsknię za tobą. Będę się starać lepiej żyć. Jestem to tobie i sobie winna; sobie - przynajmniej podjęcie próby. Kocham cię, choć nie żyjesz, a moja miłość do ciebie nie ma gdzie się podziać. Kocham cię, mimo że cię nie słyszę. Kocham cię bezwarunkowo. Chcę, żebyś wiedziała, że dam sobie radę. Wszystko będzie dobrze. Zgadza się? Zgadza się. Będzie dobrze, musi być. Mam już dość. Będę walczyć o siebie.

Wstaję, może dla podkreślenia, że skończyłam. Do widzenia, mamó. Okrążam prostokątny kamień ostatni raz. Dotykam wyżłobionych liter, zapamiętuję to uczucie. Zamykam oczy, żeby zachować to wrażenie. Całuję swoje palce i dotykam nimi nagrobka. Nie mam kwiatów, ale to miły gest.

Nie śpieszę się z opuszczeniem cmentarza. Idę do grobu Jenny Davis jeszcze raz, całuję palce i dotykam nagrobka. Będę się jeszcze bardziej starała, Jenny. Za nas obie.

W drodze do wyjścia dostrzegam innych ludzi, ale nikt na mnie nie patrzy. Ja też na nikogo nie patrzę. W tym miejscu jest się niewidzialnym. W tym miejscu cisza jest kojąca, wręcz oczekiwana. Idę pod osłoną drzew w stronę głównej alejki. Mijając kamienny mur, delikatnie stukam w niego i wychodzę z cmentarza Putnam. Zostawiam za sobą milczenie i poczucie straty. Na zawsze.

## 36

- Wesołych świąt, tato - mówię, po wybraniu numeru ojca w mojej komórce.

Jestem niedaleko klubu i z tej odległości widzę paradę mercedesów opuszczających podjazd. Naciagam czapkę na uszy, po części dlatego, że jest zimno, ale bardziej dlatego, że nie chcę być rozpoznana.

- Wesołych świąt, kochanie - odpowiada ojciec. Następuje niezręczna cisza, żadne z nas nie wie, co dalej. On nadal nie powiedział mi o dziadku Jacku.

- Hej, tato? Co robisz?

- Nic ważnego. - Ciekawe, co to znaczy. Nic ważnego, czyli rozwiązywanie kryzysów budżetowych stanu Connecticut. Nic ważnego, czyli zmaganie się z pokusą, aby nie uzależnić się od miłości do kanapy. Rozmawiając z ojcem, który rzadko spędza czas, siedząc (nawet w czasie śniadania), wyobrażam sobie to pierwsze. - Słucham muzyki z cyklu *Stare przeboje*.

- Jesteś sam?

- Tak. Anne pojechała odwiedzić swoją rodzinę w Maine.

Więc potwierdza, że spotyka się z nią. Wiedziała. Wiedziała, że ona jest z Maine.

- Słuchaj, jestem niedaleko klubu. Może przyjechałbyś po mnie i spędzilibyśmy resztę świąt z dziadkiem Jackiem?

Cisza. W tle Frankie Valli śpiewa *Walk like a Man*.

- Dobrze - odpowiada po chwili i odchrząkuje. - Pewnie. Możemy tak zrobić.

Ojciec przyjechał po mnie, nieogolony i w spodniach od dresu. Nie komentuję tego. Nie pyta, skąd się wzięłam w Greenwich i co robiłam cały dzień. Żadne z nas niczego nie wyjaśnia. Nie da się z dnia na dzień zmienić przyzwyczajęń utrwalanych latami.

- Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć - odzywa się pierwszy.

Ciekawe, czy trenował to w myślach. Potem przeciągle kaszle.

- Już wiem, tato - skracam jego mękę wypowiedzenia tego głośno. Chcę, żeby było łatwiej. Dla nas obojga.

- Och.

- Tato?

- Tak?

- Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

- Nie wiem. Nie chciałem cię zranić. Ty i mój ojciec zawsze byliście sobie bliscy. - Milknie na chwilę. - Wiem, że był dla ciebie bardziej jak ojciec, a ty już straciłaś jednego z rodziców. To nie było sprawiedliwe.

- No - mówię.

Zdaję sobie sprawę, że oboje cierpimy z powodu pokrętej uprzejmości. To bezsensowne, że każde z nas chroni tego drugiego przed prawdą.

- Nie chciałem, żeby tak było. - Pociera twarz i patrzy zdziwiony na ręce, jakby ten kilkudniowy zarost był niespodzianką.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Muzyka z radia wypełnia samochód, z przyzwyczajenia poruszamy ustami, zgodnie ze słowami piosenki. Przed nami pusta autostrada, taki korytarz między suchymi drzewami. Jesteśmy jedynymi ludźmi na drodze.

- Tato?

- Tak?

- Myślę, że jest dobrze. Nadszedł czas, ten czas. On jest przygotowany.

- Tak sądzisz?

- Tak. Ja też jestem gotowa - stwierdzam.

- Jesteś?

- Tak myślę. Próbuję być.

- To nie jest łatwe, prawda? Wiesz, twoja matka byłaby dumna z ciebie. Byłaby wkurzona na mnie za to, że byłem taki, jaki nie powinienem być. Wiem o tym. Ale z ciebie byłaby dumna.

- Naprawdę? Tak myślisz?

- Oczywiście. Choć głupotą było zerwanie z Andrew. A tak przy okazji, musimy porozmawiać o twojej pracy. - Ojciec patrzy prosto przed siebie, ale prawy kącik ust lekko mu drga. - Mam swoje źródła.

- Właśnie miałam ci powiedzieć.

Macha ręką, jakby mówił: „Nie martw się tym”. Nagle ton jego głosu staje się poważny.

- Em, nie wiem, jak to będzie bez Jacka. Spróbuję, obiecuję. Nie wiem, jak to zrobić, żebyśmy ty i ja byli rodziną. Potrzebuję twojej pomocy. Słowo „my” nie przychodzi mi tak łatwo.

- Mnie też.

- Ale spróbujemy, prawda?

- Oczywiście, że spróbujemy, tato. Nie jestem pewna, czy mamy wybór.

Ojciec ściska moją rękę, jego gest jest zarówno czuły, jak i niezdamny.

Przyjeżdżamy do Riverdale; dziadek Jack siedzi na łóżku i ogląda na wideo stary odcinek serialu *Żar młodości*. Ktoś musiał go nagrać dla niego. Trafiliśmy na scenę ślubu, gdy pastor zwraca się do tłumu pięknych osób, czy jest wśród nich ktoś, kto zna jakieś powody, dla których to małżeństwo nie może być zawarte.

- Cześć, tatusiu - mówi ojciec i przytula go.

Mój ojciec nigdy nie przytula, tylko podaje rękę. To jakiś postęp.

- Wesołych świąt, dziadku - pozdrawiam go i cmokam w policzek.

Dziadek sięga po pilota i naciska pauzę. Ekran zamarł na scenie, gdy wstaje mężczyzna z bródką i podnosi palec w geście sprzeciwu.

- Wreszcie pokazaliście się oboje - mówi dziadek Jack z uśmiechem.

- Jak się czujesz, tato? - pyta ojciec, choć odpowiedź jest oczywista.

Dziadek jakby zmałał, zrobił się filigranowy. Tylko oczy o pożółkłych białkach wydają się nieproporcjonalnie duże w stosunku do skurczonej twarzy. Dokąd on pójdzie? - zastanawiam się. Nie waży więcej niż pięćdziesiąt kilogramów. Gdzie się podział dawny dziadek? Rozpłynął się w powietrzu? Oddycham nim w tej chwili?

- W porządku - odpowiada dziadek Jack, i w ten sposób potwierdza, że my, Prattowie, nie umiemy sobie pomóc, tylko wzajemnie się okłamujemy. Ale czy byłoby lepiej, gdyby powiedział prawdę: „Moje ciało gnije, a ta część, która umiera pierwsza, boli jak diabli”?

- Cieszę się. - Ojciec kiwa głową, jakby miał zamiar zapisać tę informację w karcie pacjenta.

Dziadek Jack wydaje się taki maleńki, że mogłabym go sobie włożyć pod pachę jak pieska rasy York i zabrać ze sobą do domu. Chociaż znam reguły gry, nie jestem pewna, czy dam radę to kontynuować. Czuję, że zaraz eksploduję, jeśli nie przestanę się głupio uśmiechać. Dziadek Jack umiera. Wiem to. On też wie o tym. Mój ojciec to wie. Nie musimy udawać.

- Dziadku?

- Tak, Emily? - Ciekawe, czy ostatni raz wymawia moje imię. Zapamiętaj to - powtarzam sobie. Zapamiętaj jego głos. To ważne. - Będę tęsknić za tobą.

Łzy zbierają mi się pod powiekami i spływają jedna po drugiej. Ojciec nie patrzy na nas, spogląda w okno. Nie chce uczestniczyć w tej chwili.

- Dzieciaku, też będę tęsknić za tobą - mówi dziadek Jack słabym głosem. - Chodź tu. Chcę, żebyś była przy mnie.

Siadam obok niego, biorę go za rękę. Ojciec chodzi po pokoju, nie patrzy na nas. W końcu jednak siada po lewej stronie dziadka. Na łóżku jest mnóstwo miejsca, dziadek Jack nie zajmuje wiele przestrzeni.

Któreś z nas włącza wideo, układamy się na łóżku jedno obok drugiego - dziadek w środku - i w ten sposób spędzamy święta. Trzy pokolenia Prattów: dziadek Jack, mój ojciec i ja, oglądają stary odcinek serialu *Żar młodości*.

## 37

Powinam była najpierw zadzwonić. Taka była moja pierwsza myśl, gdy o szóstej rano stanęłam przed drzwiami mieszkania Andrew. Przychodząc bez zapowiedzi, bladym świtem, nazajutrz po Gwiazdce, nie udowodnię mu mojej miłości ani tego, że jestem rozsądną osobą. Nie wiem, czy jest w domu i czy jest sam. Może w odległości trzech metrów ode mnie bzyka się teraz z inną kobietą przy dźwiękach bożonarodzeniowego szlagieru. Albo gorzej: śpią spleceni w ciasnym uścisku. Jego usta spoczywają na jej ramieniu, jedną nogę ma przerzuconą przez jej uda.

Założę się, że jest blondynką, która dopiero co zapłaciła jakiejś Rosjance za intymną depilację brazylijską.

Może powinam wrócić do domu, wysłać maila, kartkę albo zatelefonować. Może powinam wrócić do domu i dać sobie z nim spokój na dobre. Pogodzić się z tym, że miałam szansę, zmarnowałam ją, i żyć dalej. Ale nie mogę. Nie zrobię tego. Powalczę o nas. Zbuduję coś z niczego.

Stoję jak sparaliżowana na wycieraczce z napisem „Witam!”. Nie jestem w stanie nacisnąć dzwonka ani odejść.

Nie wiem, jak długo tak stoję. Policzyłam, że farba na futrynie pęka dokładnie w stu trzydziestu dwóch miejscach. Dwa razy przeczytałam pierwszą stronę gazety „New York Times”. Oddychałam według zasad jogi.

Wszystko na nic.

Spędziłam ten czas na rozmyślaniu, co powiem, jeśli w ogóle będę w stanie podnieść rękę i sięgnąć do dzwonka u drzwi i jeśli on jest w domu. Dwa gigantyczne słowa „jeśli” stwarzają beznamiętny dystans do tego, co tak naprawdę próbuję zrobić. Będzie tak, siak albo owak. Na troje babka wróżyła. W przeciwieństwie do bohaterów telewizyjnych seriali nie opanowałam jeszcze sztuki mówienia wprost o swoich



uczuciach. Na myśl o bezpośrednim spotkaniu z Andrew odczuwam paniczny lęk. Będę musiała rozmawiać. Będę musiała wyjaśnić moje zachowanie w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Będę musiała przeprosić.

Będę musiała powiedzieć o rzeczach, które nie mogą być przemilczane, bez niedomówień.

Poproszę o restart i możliwość ponownego uruchomienia gry. Nie mam szans. Znowu przegram.

Zbiera mi się na mdłości. Jeśli postoję tu chwilę dłużej, wyrzygam się na jego wycieraczkę. Wnętrznosci uwierają mnie, jakby miały za mało miejsca w brzuchu. Jestem jak uczestnik gry Operacja - szpilki wetknięte w moje ciało wysyłają prąd elektryczny prosto w serce. Nie mogę już wytrzymać tego uczucia, więc podnoszę rękę i naciskam dzwonek u drzwi. Napieram całym ciałem. Dzwonek rozbrzmiewa głośno i długo.

Czekam. Za drzwiami cisza. Dzwonię ponownie; za drugim razem jest łatwiej. I znowu czekam.

W końcu słyszę szuranie.

- Kto tam? - pyta Andrew.

- To ja - mówię i zdaję sobie sprawę, że „ja” już nie egzystuje w naszym świecie. - To znaczy Emily.

- Co jest, do cholery?! - Słyszę jakiś rumor. - Kurwa! - A potem: - Cholera. To skurwiel...

- To ja, Emily - powtarzam, choć jestem pewna, że usłyszał za pierwszym razem. - Masz sto trzydzieści dwa pęknięcia na futrynie.

- Co? - Andrew otwiera drzwi.

Stoi przede mną w zielonych bokserkach w białe groszki, które kupiłam mu na wyprzedaży. Oczy ma na wpół przymknięte, zezuje (jak co rano). Prawą ręką masuje sobie lewe ramię (ma takie śmieszne kości). Patrzy na mnie bez uśmiechu i nic nie mówi. Nie zaprasza mnie do środka, ale też nie każe mi odejść. Tylko stoi, zezuje i masuje sobie ramię.

- Cześć - mówię.

- Emily? - rzecze, jakby mnie dopiero zauważył.

Dobrze jest usłyszeć, jak wymawia moje imię, nawet mało przyjaznym tonem.

- Cześć - powtarzam. - Wesołych świąt! - Andrew przechyla głowę na bok i gapi się na mnie. - Czy mogę wejść? - Otwiera drzwi szerzej, więc wchodzę. Nie wiem, czy mogę usiąść, więc stoję. Andrew nie siada, więc ja też nie. Mogę to zrobić na stojąco. Wyobrażałam sobie, że podczas tej rozmowy siedzimy na kanapie, ale mogę improwizować. Dam radę. - Wiem, że jest wcześnie. Przepraszam, że cię obudziłam. Chciałam z tobą porozmawiać. Nie musisz nic mówić. - Biorę oddech i rozglądam się po jego mieszkaniu. Nie byłam tu od Święta Pracy. Mieszkanie wygląda tak samo - jak salon wystawowy w IKEA: beżowa rozłożona kanapa, wzorzysty brązowy dywan, biało-czarne fotografie w ramkach na ścianach. Ten widok dodaje mi odwagi. Umebłowanie pozostało bez zmian, czekało na mój powrót. - Wybrałam zły moment?

- Trochę za późno na to pytanie, nie sądzisz?

- Tak. - Wpatruję się w podłogę. Widzę zabłąkaną frytkę. Mam ochotę podnieść ją i wyrzucić do kubła. Nie robię tego, bo to byłoby aroganckie. - Jesteś sam? Muszę z tobą porozmawiać.

Źle zaczęłam. Andrew patrzy na mnie wściekły, za chwilę zacznie wrzeszczeć.

- Poza mną nie ma tu nikogo innego. - Nie krzyczy. Nie podnosi głosu. - Jest wcześnie rano. Czego chcesz?

- Tylko porozmawiać. Czy możemy usiąść? - Nogi mi się trzęsą. Siadam, nie czekając na zaproszenie. Idzie za moim przykładem i przysiadła na końcu kanapy, jak najdalej ode mnie. - Wiesz, że nie jestem w tym dobra... - Robię pauzę, mam nadzieję, że mnie uratuje, ale Andrew spuszcza wzrok i milczy. Nic nie osiągnęłyby podczas terapii, w ogóle nie obawia się ciszy. - Mam ci tyle do powiedzenia i ufam, że mnie wysłuchasz. Nie zasługuję na to, ale mam nadzieję. Powinnam była najpierw zadzwonić, a nie pojawiać się tak nagle. Wygląda to dziwacznie i sprawia niezbyt miłe wrażenie. Przepraszam. Przepraszam za wszystko. Nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć, żebyś mi wybaczył.

- Em, to nie zbrodnia zerwać z kimś. Już to przerabiałem - mówi Andrew i wzrusza ramionami, jakby nie było sprawy. Nie wygląda na wściekłego, raczej na obojętnego, co moim zdaniem jest jeszcze gorsze.

- Schrząniłam - zaczynam - to znaczy nie żałuję, że z tobą zerwałam.

- Okej. - Potrząsa głową, jakby mówił: „To co, kurwa, tutaj robisz?!“.

- Musiałam.

- Okej.

- Nie byłam gotowa na związek z tobą. Moje życie było pogmatwane, a ja nie wiedziałam o tym.

Rozumiesz?

- Nie.

- Udawałam, że wszystko jest w porządku. Opancerzyłam swoje serce. Rozumiesz?

- Nie.

- Żyłam na niby, rozumiesz, co to znaczy?

- Nie.

Te retoryczne pytania zaprowadzą mnie donikąd.

- Zmieniłam się. Jakbym się przebudziła. Mogę oddać ci swoją nerkę - mówię bez sensu.

- Nie potrzebuję nerki.

- Ale gdybyś potrzebował, oddałabym ci swoją - wyznaję. - Bez wahania.

- Dzięki.

- W każdej chwili.

- No dobra - mówi Andrew i wstaje. To znak, że rozmowa skończona. - Dzięki za nerkę.

- Andrew... - Pierwszy raz tego ranka patrzę mu w oczy. - Andrew - mówię - proszę...

Biorę głęboki oddech, żeby się uspokoić, ale niespodziewanie zaczynam płakać. Ogromne łzy spływają mi po policzkach i dławią w gardle. Połykam je pospiesznie. Nieprzyjemne uczucie. Dla Andrew to sygnał, że powinien uciec albo przyglądać mi się z ciekawością, ale w żadnym wypadku nie angażować. Chwała mu za to, że pozostał na kanapie i nie patrzy na mnie. Jest idealnie nieruchomy.

Po kilku minutach wstaje i wychodzi do kuchni. Stawia na stoliku przede mną szklankę wody i pudełko chusteczek.

- Zaraz przestanę, obiecuję - mówię.

- Poczekam.

W jego głosie słyhać jakiś przełom. Przestaję płakać. Osuszam chusteczką oczy i nos. Idę do łazienki i przemywam twarz zimną wodą. Patrę w lustro. Spogląda na mnie osoba ze spuchniętą od płaczu twarzą. Co ty wyprawiasz, Emily? Zrób to jak należy. Masz już dość.

Wracam na kanapę, siadam i patrzę wprost na Andrew. Dam radę. Jestem gotowa.

- Przepraszam. Już jest dobrze. - Andrew kiwa głową, ale wygląda na wyczerpanego, jest mną zmęczony. - Wiem, że wszystko schrzaniłam, ale kocham cię, Andrew. Zachowałam się jak idiotka, gdy ty wyznałeś mi miłość, a ja milczałam. Kochałam cię, gdy zerwałam z tobą w Święto Pracy. Chciałabym ci wyjaśnić, dlaczego uciekłam, choć byłeś czymś najlepszym, co mi się przydarzyło. Spróbuję, mimo że jest to dość skomplikowane. Najpierw musiałam poznać siebie. Przedtem nie mogłam odwzajemnić twojej miłości. Nie byłam gotowa.

- A teraz?

- Teraz nie żyję już w odrętwieniu, rozumiesz? Chciałabym, żeby to wszystko było prostsze. Mogę ci to wytłumaczyć w ten sposób: zerwałam z tobą ze strachu. Bałam się uczuć, bałam się ciebie stracić, co byłoby prawdą, ale to nie wszystko. To nie jest takie proste. - Andrew odwraca się lekko w moją stronę. Ruch jest subtelny, prawie niedostrzegalny, ale odbieram to jako znak, że mogę mówić dalej. - Próbuję ci powiedzieć, że wszystko spieprzyłam, ale miałam swoje powody. Nie chciałbyś być z osobą, jaką byłam kilka miesięcy temu. Byłam nieszczęśliwa, czułam wewnętrzną pustkę i nie zdawałam sobie z tego sprawy. A teraz, no cóż, teraz myślę, że jestem inna. Przynajmniej pracuję nad tym.

- Cieszę się. Naprawdę się cieszę - mówi - ale nie wiem, Emily, czego ode mnie oczekujesz. To ty mnie zostawiłaś, pamiętasz?

Rysuje palcem kółka na kanapie. Jedno kółko, drugie, trzecie...

- Nie mogę cofnąć czasu. Zniszczyłam nas i biorę za to pełną odpowiedzialność. Ale bardzo, bardzo pragnę, żebyś mi pozwolił spróbować jeszcze raz. Daj mi jeszcze jedną szansę, żebym mogła poskładać wszystko z powrotem. Naprawić to, co zepsułam.

Oddycham i czekam. To jest to. Żadne z nas się nie rusza, chyba nawet nie oddychamy, moglibyśmy rozplynać się w tej nicości. Cisza aż dzwoni w uszach, ale nie boli. Chwila zatrzymana w kadrze. Chcę, żeby trwała jak najdłużej, bo potem już będę wiedzieć. Może dlatego tak długo siedzę w milczeniu. Może mimo wszystko lepiej nie wiedzieć. Teraz przynajmniej mam nadzieję.

- Emily - mówi Andrew. - Emily - powtarza.

- Tak - odpowiadam i spuszczam wzrok. Nie wziął mnie w ramiona. Nie pocałował. To koniec. Gra skończona. - W porządku, nie musisz nic mówić. Zrozumiałam.

Ciekawe, czy można zobaczyć złamane serce. Czy Andrew widzi je teraz na podłodze między frytkami, roztrzaskane na sto drobnych kawałków?

- Nie rozumiałaś mnie - odpowiada zniżonym głosem. Wstrzymuję oddech.

- Kocham cię i nie wiem, co, do cholery, z tym zrobić! Nie przestałem cię kochać od Święta Pracy, kiedy wszystko rozwaliałaś. Bóg jeden wie, jak bardzo chciałem być z tobą. Chciałem z tobą być, martwić się o ciebie, opiekować się tobą, ale to nie było miłe uczucie, przynajmniej przez kilka ostatnich miesięcy. Jesteś jak przekleństwo. Dlaczego, jak myślisz, prosiłem cię, żebyś zostawiła mnie w spokoju?

Wstaje i zaczyna chodzić po pokoju.

- Jesteś jak choroba - mówi coraz głośniej. - Jak wirus, który zżera moje ciało. Już nic nie wiem. Tylu rzeczy sobie nie powiedzieliśmy i to nie jest tylko twoja wina. Wiem o tym. - Wskazuje na mnie oskarżycielsko palcem. - Powinienem był cię pilnować, nie pozwolić ci odejść tak bez słowa. Ale zrobiłem to. Łudziłem się, że w końcu zrozumiesz, obudzisz się. Zepsułaś wszystko. - Znowu wskazuje na mnie palcem. - To właściwe określenie. Zabawne, że jest na to odpowiednie słowo.

- Tak - potwierdzam.

- A teraz usiłujesz to naprawić? Cholera! Nie wiem. Po prostu nie wiem.

Zatrzymuje się przede mną, klęka, nasze oczy spotykają się na tym samym poziomie. Nic już nie można powiedzieć, z wyjątkiem tego, co trzeba. Muszę walczyć. Nie mogę się już dłużej wstrzymywać. To nie byłoby w porządku wobec nas obojga.

- Kocham cię, Andrew - mówię. - Kocham to, jak się śmiejesz przez sen. To najpiękniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałam. To cały ty. Na świecie jest sześć miliardów ludzi, wielu z nich nie mówi po angielsku i pewnie nigdy ich nie spotkam i niech sobie będą, prawda? Chodzi o ciebie. Właśnie o ciebie. To nie jest skomplikowane. Możemy udawać, że tak jest, ale nie jest. Nie zmienię zdania. Już się nie boję. Dobra, to ściema. Mam stracha jak cholera, ale nie pozwolę, aby mnie ograniczał. Nie pozwolę i już!

Brzmi to jak finał; jakbym podjęła decyzję za nas oboje, ale to nieprawda. Nie dam rady bez niego.

- Śmieję się przez sen? - pyta i bierze moją twarz w dłonie.

- No - potwierdzam. - Nie wiedziałeś o tym?

- Nie, nie wiedziałem. - Przybliży swoją twarz, jakby chciał mnie lepiej widzieć.

- Mnóstwo razy tak robiłeś; to nie jest normalne.

- Ale jest sześć miliardów ludzi na świecie?

- Może już prawie siedem.

- A ty płaczesz przez sen. To też nie jest normalne.

- Naprawdę?

- No, tak robisz. To najsmutniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałem.

Pochyla się jeszcze o milimetr. Jego dłonie nadal obejmują moje policzki. Całuje mnie w czoło. Zamykam oczy. Zapamiętam ten pocałunek.

Nie przestaje całować. Całuje koniuszek nosa, powieki, ponownie czoło. Z rozważą, powoli, celebrowuje każdy ruch, jakby kolejny pocałunek wymagał świadomej decyzji.

Ujmuję moje dłonie, całuje palce, lekko przygryzając. Pocałuj mnie na serio - chcę krzyknąć, ale nie robię tego. Poczekam tak długo, jak trzeba.

Wyswobadzam swoje dłonie, całuję palce i dotykam jego powiek. Powoli przesuwam palce ku zmarszczkom w kącikach oczu. Wydają się głębsze niż ostatnim razem, gdy przyglądałam im się z bliska. Jakby powstały niedawno.

- Popatrz na mnie - mówi Andrew. Patrzę mu prosto w oczy. - Jesteś pewna?

- Jestem pewna. Jestem pewna - powtarzam głośniej, tak żeby mnie usłyszał, żeby ja słyszała siebie. Łza wymyka się z kącika oka, Andrew łapie ją ustami.

- Jesteś pewna?

Nie pozwala mi odpowiedzieć. Znowu mnie całuje, tym razem mocniej, chciwiej. Ten pocałunek jest obietnicą. Przysięgą. Deklaracją.

Później, zwróceniu twarzami do siebie, leżymy nadzy na łóżku. Nasze nogi są splecione ze sobą jak zamek błyskawiczny. Przykryci bezpieczną szarą kołdrą, ciepłą i delikatną, zaczynamy rozmawiać.

- Nie chcę, żeby było tak jak przedtem - mówi Andrew i zawija mi niesforny kosmyk włosów za ucho.

- Ja też - przesuwam palcami po jego rękach.

Rysuję baloniki, serca i kółka.

- Mówię poważnie. Nie możemy zacząć tam, gdzie skończyliśmy. Nie chcę tak.

- Wiem. Też tak nie chcę. Chcę zacząć od nowa. Mamy szansę? Jak myślisz? - pytam.

- Nie wiem.

- Też nie wiem. - Poruszam ramieniem, bo Andrew łaskocze moją nagą skórę wargami. - Chcę spróbować.

- Ja też.

- Naprawdę?

Chcę to usłyszeć jeszcze raz, choć wydawać by się mogło, że skoro leżymy razem nago, decyzja została już podjęta.

- Naprawdę.

Delektuję się tym słowem.

- Co powiesz na Brooklyn? - pytam.

- Brooklyn? - dziwi się.

- No, Brooklyn, może Queens. - Można tam tanio coś wynająć. I jest większy metraż niż tu.

- Niezły pomysł.

- Naprawdę?

- Możemy mieć psa.

- Naprawdę?
- No, zawsze chciałem mieć psa.
- Dlaczego?
- Bo kocha miłością bezwarunkową.

Chwilę później chowamy głowy pod kołdrę. Łóżko przypomina teraz namiot, a my szepczemy jak dziesięcioletnie dzieci na koloniach.

- Dziadek Jack powiedział, że mam czekać na ciebie - zaczyna Andrew.

- Co?

- Tak powiedział, gdy pojechałem go odwiedzić. Nie sądzę, żeby mnie poznał. Graliśmy w pokera i wtedy powiedział: „Czekaj na nią”. To wszystko. Potem wróciliśmy do pokera.

- Tak powiedział? A co ty odpowiedziałeś?

- Nic. Po prostu grałem. Nie miało to dla mnie szczególnego znaczenia. Nigdy bym się nie przyznał, że już wtedy czekałem na ciebie.

- Muszę ci coś powiedzieć, ale, proszę, nie odpowiadaj. Nie teraz, dobrze? Proszę.

- Załatwione.

- Kocham cię.

Andrew milczy, a ja jestem zadowolona, że te dwa słowa sprowadzają się do prostych dźwięków. Nie odbijają się od ścian i nie wracają do mnie echem. Będę cierpliwie czekać, aż będziemy bardziej zaangażowani, aż zapijemy korzenie. Teraz moja kolej czekać.

Mocno przytulam się do Andrew, tak blisko jak tylko to możliwe. Chciałabym go zjeść całego, aż po koniuszki palców, w ten sposób stałby się częścią mnie. Chcę wymieszać naszą krew, wypełnić się podwójną helisą jego cząsteczek DNA, żebyśmy byli jednością. Istotą z trzema nerkami i jednym sercem.

## 38

Dzisiaj jestem superbohaterem, wyglądam jak prawnik, a nawet jak superprawnik. Jestem gotowa uratować świat. Jestem znowu „złożona do kupy”. Lepiej niż wańka-wstańka. Pozbierana na nowo. Jestem atrakcyjna.

Lepiej to zbagatelizować i nie otwierać drzwi z dramatycznym okrzykiem: „Nadchodzi pomoc!”. O nie! Wejdę tam, podam rękę osobie przeprowadzającej rozmowę kwalifikacyjną i będę zabiegać o życzliwość jej oraz całego zespołu Legal Aid, posiłkując się moją rozległą wiedzą prawniczą i analitycznym umysłem. Wspomnę o studiach na Yale. Wyolbrzymię moje doświadczenie. Tak zrobię. Dostanę tę pracę.

Psychicznie się nastawiłam (i przygotowałam). Wypiłam kilka kaw w kubku z napisem „Cudowna Kobieta”. Przed kąpielą użyłam drogiego płynu z peelingiem. Ogoliłam nogi. Przystudiowałam internetową stronę Legal Aid, zapamiętałam ich hasło przewodnie, które od dziś stanie się także moim hasłem. Andrew



przez kilka godzin ćwiczył ze mną tę rozmowę i nakłonił mnie, żebym włożyła kostium „suuperprawniczki” (dla wzmocnienia pewności siebie). Jestem przygotowana jak nigdy. To jest mój dzień.

- Panno Pratt, Barry czeka na panią - mówi recepcjonistka i prowadzi mnie wąskim korytarzem (po szarej standardowej wykładzinie) wśród labiryntu boksów.

To miejsce jest przeciwieństwem APT. Nie ma błyszczących tabliczek z nazwiskami, matowych szyb, marmurów (zdecydowanie nie spotkam pomywacza okien). Tutaj są meble w stylu Formica, tanie, wykonane z metalu boksy (ręcznie podpisane) i prowizoryczne drzwi. Jest doskonale.

- Barry Stein, miłomiczepoznacz - mówi kobieta. Włosy ma skręcone w pierścionki i mocno zarysowane szczęki.

- Emily Pratt - przedstawiam się i próbuję ukryć szok spowodowany tym, że Barry Stein jest kobietą; gdybym dostała tę robotę, moim szefem byłaby kobieta, a to oznacza, że nie będzie gapić się na mój dekolt i w żaden sposób nie będzie przypominać Carla. To miejsce jest czadowe.

- Powiedz mi, proszę, jakie masz doświadczenie w sprawach społecznych.

- Niewielkie. Ostatnie pięć lat przepracowałam w dużej firmie prawniczej, więc...

- A sprawy *pro publico bono*?

- Nie bardzo. Raczej nie. W poprzedniej firmie celem nadrzędnym było wypracowanie pensum. Nigdy nie było czasu...

Emily, weź się w garść. Nie zepsuj tego.

- Masz doświadczenie w sporach sądowych, zgadza się?

- Oczywiście. Jestem bardzo doświadczonym pełnomocnikiem procesowym.

- Brałaś udział w procesach?

- Tak.

Prawidłowa odpowiedź: „Nie”.

- Przedstawiałaś wstępne oświadczenie?

- Tak.

Prawidłowa odpowiedź: „Nie”.

- Przesłuchiwałaś świadków strony przeciwnej?

- Tak.

Prawidłowa odpowiedź: „Nie”.

- Przewodniczyłaś?

- Tak.

Jak wyżej.

- W jakiego typu sprawach?

- Hm, zwykle były to drobne sprawy. Poważniejszym sprawom przewodniczyli wspólnicy. Było kilka spraw ubezpieczeniowych, związanych z nieruchomościami. Nie chcę pani zanudzać szczegółami.

- Nie zanudzasz mnie...

- ...to bardzo nudne sprawy. Ubezpieczenia, reasekuracja, ustalanie kolejności spłat w przypadku bankructwa, sprawy, w których strony nie mogą się powoływać na okoliczności sprzeczne z poprzednimi oświadczeniami, *carpe diem*, załatwianie immunitetów, emerytur, kaucji.

- *Carpe diem?*

- Słucham?

- Właśnie powiedziałaś *carpe diem*. Co miałaś na myśli?

- Nie powiedziałam *carpe diem*.

- Och, myślałam, że powiedziałaś *carpe diem*.

- Ha, ha. Musiała się pani przesłyszeć. *Carpe diem?* A to zabawne!

- Tak.

- Łap każdy dzień, właśnie teraz łapię mój dzień. Emily, zamknij się. Po prostu się zamknij.

- Czy ty się denerwujesz?

- Tak, przepraszam. To po prostu jest wspaniała okazja...

- Nie jesteś na prochach?

- Narkotyki? Nie.

- To dobrze. Wyglądasz, jakbyś brała.

- Nie, oczywiście, że nie. Na mnie narkotyki nie działają. Rano przesadziłam z kawą.

- To wszystko wyjaśnia.

- Słucham?

- Twoja noga. Cały czas kiwasz nogą.

- Za dużo kawy.

- A tak.

- No właśnie.

- No, to do rzeczy. Masz znakomite referencje: skończyłaś Yale, pracowałaś w jednej z najbardziej renomowanych firm prawniczych w kraju, bla, bla, bla. Jesteś trochę dziwaczna, ale masz szczęście, lubię dziwaków.

- Naprawdę? To znaczy dziękuję.

- Pozwól, że powiem coś o tej pracy.

- Okej.

- Zasadniczo szukamy adwokatów do wydziału spraw rodzinnych. Zajmiesz się naborem pracowników do tego zespołu, sprawami adopcyjnymi, przyznawaniem opieki nad dziećmi, rozwodami, tego typu rzeczami. Prowadzimy wiele spraw w imieniu maltretowanych kobiet (wydawanie chwilowych zakazów zbliżania się do danej osoby). Z tego powodu jestem tutaj w czasie Bożego Narodzenia. Z jakiejś przyczyny w czasie świąt mężowie lubią bić swoje zrezygnowane żony. Sytuacja powtarza się w czasie finałowych rozgrywek futbolowych Super Bowl.

- Naprawdę?

- Tak, to jest chore, co nie? Zasadniczo potrzebujemy energicznych ludzi, takich którzy potrafią dać otuchy bezradnym i słabszym, udzielić wsparcia. Szukamy ludzi, którzy nie boją się walczyć w słusznej sprawie.

- To cała ja. Właśnie taka jestem. Zawsze gotowa do boju - kłamię jak z nut.

- Mam jeszcze jedno pytanie. Dlaczego chcesz tu pracować? Nie chodzi mi o uzasadnienie egzystencjalne. Dlaczego zgłosiłaś się do nas?

- Ponieważ mierzi mnie marnowanie siedemdziesięciu pięciu procent godzin przeznaczonych na pracę. Chcę robić coś, co ma sens. Jestem zmęczona nicnierobieniem. Zdałam sobie sprawę, że chcę, aby moje życie miało sens w każdym jego aspekcie.

- Świetnie, doskonała odpowiedź. Kiedy możesz zacząć?

- Proponujesz mi pracę?

- Tak. Rozpaczliwie poszukujemy pracowników. Bierzesz ją?

- Tak, biorę.

Mam ochotę ucałować Barry Stein w usta (w kolorze truskawkowym) albo zarzucić ręce na jej potężny kark. Chcę powiedzieć: „Dziękuję! Nie pożałujesz. Będę najlepszą prawniczką, jaką kiedykolwiek zatrudniłaś. Nie pożałujesz. Czy już to mówiłam?”. W rzeczywistości profesjonalnie podaję Barry Stein rękę, żegnam się do przyszłego tygodnia i pewnym krokiem wychodzę na zewnątrz. Dopiero gdy minęłam cztery budynki, unoszę ręce w górę, biorę rozbieg, niemal fruwać i krzyczę na cały głos: „Suuperprawniczka!”.

## 39

Jestem w miejscu, gdzie coś się kończy, czyli na oddziale stałej opieki w Riverdale. Jestem gotowa, albo raczej przygotowana, bo przecież nigdy nie można być tak całkiem gotowym, prawda? Gdy usłyszałam od lekarza: „Już niedługo” (jakby te słowa cokolwiek znaczyły), zbieram siły, ale nie jestem gotowa. Jeśli chwilami myślę, że jest inaczej, okłamuję się. Wiem, jak to będzie. W kinie pomyślę: „Dziadkowi Jackowi podobałby się ten film”.

Kiedy indziej przemknę mi przez głowę: „Dziadek Jack wiedziałby, jak rozwiązać ten problem”. Stojąc przed ołtarzem i składając przysięgę wierności na całe życie, chciałabym, żeby dziadek Jack był wtedy w kościele. To będzie bardzo długo boleć, może nawet zawsze.

Ten dzień się kończy. Czuję się wypompowana, ale spróbuję sprostać sytuacji. On jest stary i gotowy na spotkanie ze śmiercią. Taka jest naturalna kolej rzeczy i ja się temu nie sprzeciwiam.

Dziadek Jack leży na środku łóżka. Ojciec i ja zajmujemy swoje stałe miejsca. Od Gwiazdki jesteśmy tu prawie codziennie i utrwalił się już pewien zwyczaj: ja siadam po prawej stronie dziadka, ojciec po lewej. Andrew odwiedza go, gdy tylko ma czas. Po dyżurze biegnie do pociągu i wpada zdyszany do sali, gdzie leży dziadek. Wyjaśnia nam, co spływa kroplówkami z przezroczystej rurki do żyły na przedramie-

niu dziadka, dlaczego lekarze upuszczają mu krew, skoro widać, że nie zostało jej już wiele, i kim są ci wszyscy specjaliści z plakietkami przypiętymi do białych fartuchów. Słuchamy Andrew, znajdując pocieszenie w tych suchych informacjach.

Dziadek Jack kurczy się, maleje. Zastanawiam się, czy w ten sposób odejdzie: jego ciało rozpadnie się na naszych oczach albo spiralnym ruchem zniknie w niewidzialnym wirze. A może rozwieje go wiatr i uniesie w przestworza jak kartkę papieru.

Przez ostatnich kilka godzin, odkąd Andrew pojechał z powrotem do pracy, dziadek Jack tracił i odyskiwał przytomność. Mało mówił, widać było, że sprawia mu to trudność.

- Przywiozłam ci prezent, dziadku - mówię, gdy pielęgniarki przestają przychodzić sprawdzać, czy już umarł.

Wyciągam z torebki koronę i nakładam na białe włosy, a on zmienia się w książętko. Jest taki drobny, ale władczy i widać, że się nie boi.

- Dzięki, dziecko. Podoba mi się. Każde słowo to zwycięstwo nad słabością.

Bez pytania biorę jego czapkę z daszkiem i wkładam na głowę. Teraz jest moja. Nie potrzebuję niczego konkretnego, żeby być z dziadkiem Jackiem, niemniej jednak działa to na mnie pokrzepiająco. Naciągam ją nisko na czoło.

Ojciec patrzy na dziadka w szpitalnej piżamie i koronie na głowie i parska. Dźwięk bardziej przypomina szloch niż śmiech. Brzmi jak pstryknięcie aparatu fotograficznego. Oboje w myślach robimy zdjęcia dziadkowi Jackowi. Zapamiętamy go w tej koronie i piżamie w paski. Takiego go zapamiętamy.

Czekamy, aż dziadek Jack przebudzi się, i opowiadamy historyjki z naszej małej rodzinnej skarbnicy. Wspominamy babcię i moją matkę, żeby dziadek Jack, opuszczając nas, myślał o spotkaniu z nimi. Nadal nie wiem, jak to się odbywa, ale w takiej chwili jak ta naprawdę nie ma to znaczenia.

Głaszczemy rękę dziadka Jacka, pokrytą brązowymi plamkami i wybroczynami po dożylnych zastrzykach. Co jakiś czas ściskamy ją, żeby wiedział, że jesteśmy przy nim. Że nie jest sam.

- Pamiętasz, dziadku, jak w piątej klasie zламаłam sobie rękę, a ty zawiozłeś mnie do szpitala? Pamiętasz? - pytam, ale nie oczekuję odpowiedzi. Teraz to nieistotne, czy on to pamięta. Chcę tylko, żeby słyszał mój głos.

Ojciec kiwa głową, jakby też pamiętał, choć nie było go wtedy przy tym. Łzy spływają mu po twarzy, wyciera je rękawem.

- Powinienem być cię bardziej słuchać, tato. Powinienem być częściej tu przyjeżdżać.

Kładzie czoło na dłoniach dziadka Jacka. Całym sobą mówi, jak bardzo przeprasza.

Ojciec i ja rozmawiamy jak małe dzieci, to znaczy przeskakując z tematu na temat.

- Pamiętasz, jak odwiedziłeś mnie w Rzymie? Powiedziałeś, że przyjechałeś, bo mój głos brzmiał, jakbym czuła się osamotniona...

- Nie martw się, znalazłem testament. Prosiłeś, żebym go poszukał. Był dokładnie tam, gdzie powiedziałeś. Po lewej stronie pod zlewozmywakiem...

- Poszliśmy do restauracji, gdzie miała być najlepsza pizza na świecie. Tak się najedliśmy, że potem było nam niedobrze. Pamiętasz?

- Wszystko będzie zorganizowane dokładnie tak, jak sobie życzyłeś. Obiecuję...

- A pamiętasz, jak poszedłeś jako opiekun na wycieczkę z moją klasą do Muzeum Historii Naturalnej, a nauczyciel był wściekły na ciebie, bo używałeś „niestosownego słownictwa”? Potem strasznie się z tego śmialiśmy, omal nie zsikaliśmy się w majtki. Wyobrażaliśmy sobie, jak piszesz sto razy na tablicy: „Nie będę używał brzydkich wyrazów w obecności dzieci”. Od tamtej pory żartujemy sobie w różnych rodzinnych sytuacjach: „Nie będę używał brzydkich wyrazów w obecności dzieci”.

- Wiem, że nie zawsze rozmawialiśmy w cztery oczy, tato, ale...

- Tuż przed pogrzebem mamy szepnąłeś mi na ucho: „Nie będę używał brzydkich wyrazów w obecności dzieci”. Zawsze dawałeś mi to, czego potrzebowałam. O Boże, nadal chce mi się z tego śmiać. Nawet teraz, kiedy tak siedzimy...

- Przepraszam. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro...

Od czasu do czasu szepczę do dziadka Jacka, tak żeby tylko on się dowiedział o sprawach, o których nie zdążyłam mu powiedzieć.

- Dziękuję, dziadku, za to, co powiedziałeś Andrew. - Poprawiam przekrzywioną koronę. - Dziękuję, że poczekałeś, aż będę gotowa. Wszystko będzie dobrze. - Okrywam go kocem, żeby było mu ciepło i cząsteczki jego ciała trzymały się razem. - Jestem gotowa, jeśli ty też jesteś. - Mój głos jest radosny, jakbyśmy mieli razem zrobić coś szalonego, na przykład skoczyć z trampoliny. - Wynoszę tacę z nietkniętym jedzeniem na korytarz. - Już za tobą tęsknię. - Dziadek Jack nie odpowiada. Patrzy spod przymkniętych powiek zamglonymi oczami. - Kocham cię - powtarzam wciąż.

Później, kiedy dziadek ponownie pogrążył się we śnie, w jakiś sposób wiemy, że już się nie obudzi. Powietrze jest inne - ciężkie i pełne oczekiwaniami. Nadsluchujemy i w myślach liczymy jego oddechy. Pierwszy, drugi. Pierwszy, drugi. Pierwszy, drugi. Czy jestem gotowa na to, że przestanie oddychać? Pierwszy, drugi. Pierwszy, drugi. On jest gotów. On jest gotów. Ja jestem gotowa.

Po drugim nie następuje pierwszy. Dziadek Jack przestał oddychać. W pokoju robi się cicho. Czas zatrzymał się, dźwięki ucichły. Świat opuściła jeszcze jedna dusza. Jeszcze jedna symfonia wybrzmiała do końca.

Moglibyśmy wybiec stąd, krzyknąć i wrzeszczeć, może nawet trzasnąć drzwiami - nie robimy tego. Pozostajemy przy dziadku i chłonimy tę martwą ciszę.

Jest prawie szósta trzydzieści rano. Choć to środek zimy, słońce nadal wpada ostrym i przenikliwym światłem przez okno do pokoju. Tworzy na podłodze długie spiczaste trójkąty - od światła w stronę cienia. Kusi mnie, żeby wstać, przejść się tam i z powrotem, od cienia do światła, poczuć pod stopami ciepło i chłód. Zatrzymać się przy łóżku i obserwować oddech Andrew.

- Cześć - mówi po przebudzeniu, gdy spostrzega, że mam otwarte oczy.

Jestem zwinięta w kłębek, plecami do niego, podpira więc głowę ramieniem, żeby widzieć moją twarz. Obejmuje mnie jeszcze mocniej.

- Cześć - szepczę i uśmiecham się do niego. - Jest wcześniej. Możemy jeszcze pospać.

- Dobrze się czujesz? - pyta i delikatnie całuje mnie w szyję.

- Tak. - Zamykam i ponownie otwieram oczy. - Dobrze się czuję.

- Szkoda, że nie byłem z tobą tamtego dnia. - Okrywa moje ramię: taki opiekuńczy gest, który mówi: „Chciałbym, żeby mniej bolało”.

- Wiem. Lepiej, że byłem tylko z ojcem. Tylko my powiedzieliśmy dziadkowi do widzenia.

Nadal szepczę, bo jest wcześniej rano. O tej porze słowa „do widzenia” zabrzmiałyby zbyt ostro.

- Rozumiem.

Andrew dotyka nosem miejsca, które przed chwilą całował. Czy on zapamiętuje mnie przez zapach? Czy to jego sposób zapamiętywania?

- Jesteś gotowa na dzisiejszy dzień?

- Jak nigdy przedtem.

- Przynajmniej na dziś masz stosowny kostium. Mam nadzieję, że nie włożysz butów na koturnie.

- Nie, żadnych butów na koturnach. Poza tym ty będziesz ze mną. Będzie mi łatwiej.

Odwracam się, żeby go pocałować. Zamykam oczy, zasypiam jeszcze na krótką chwilę.

Nie wsłuchuję się w oddech Andrew. Wiem, że tu jest.

W przeciwieństwie do innych tego rodzaju ceremonii, na których byłem (zaledwie na kilku), ta ma wyraźnie optymistyczny nastrój. Jesteśmy ubrani na czarno. W kościele w Connecticut słuchamy kazania na temat zmartwychwstania i podobnych spraw, ale atmosfera nie jest szczególnie smutna. Podporządkowujemy się niepisanej umowie, że dzisiejszy dzień będzie hymnem na cześć dziadka Jacka.

Ojciec przygotował stosowną na tę okoliczność oprawę muzyczną. Słuchamy utworów z lat czterdziestych. Powstrzymuję się, żeby nie wybijać rytmu na kolanie. Wnętrze świątyni wypełniają delikatne dźwięki trąbki, puzonu i fortepianu, niezbyt głośne i nie za hałaśliwe, by przeszkadzać. Ta muzyka nie zakłóca ciszy, nie jest sentymalna, przeciwnie - w sam raz do opłakiwania. Panuje rzewny, energetyczny i optymistyczny nastrój.



Kościół jest tak przepełniony, że ludzie stoją z tyłu, za ławkami. Nie wszystkich znam. Sądząc po przewadze siwych włosów wśród zebranych, większość to znajomi dziadka Jacka z Riverdale. Pastor kończy kazanie i zaprasza do wygłoszenia kilku słów o dziadku. Natychmiast ustawia się kolejka do ambony.

Pierwszy zabiera głos starszy dżentelmen. Powtarza słowo w słowo infantylne, proste dowcipy, które dziadek Jack prezentował na konkursach w Riverdale, na przykład: „Pewien Indianin opił się herbaty, czyli *tea*\*. Zachciało mu się... no wiecie, czyli *pee*, ale sen go zmorzył i rano obudził się w... tipi!”. Podkreśla puentę. Tipi! Rozlegają się śmiech i oklaski. Nobliwy jegomość powoli odchodzi nawą boczną do Marilyn, która całuje go w policzek.

\* *Tea* - wymawiaj *ti*; *pee* - wymawiaj *pi* (przyp. tłum.).

Teraz ja wstępuję na ambonę. Oczywiście cała mowa pożegnalna, którą sobie przygotowałam, wyleciała mi z głowy. Słowa, że dziadek Jack był lubiany i będziemy za nim tęsknić, nie są ani poetyckie, ani oryginalne. Powtarzam frazesy, jakie zawsze mówi się nad trumną. Chciałabym powiedzieć, że dziadek Jack zastępował mi matkę i ojca wtedy, kiedy czułam, że nie mam nikogo. Nawet gdy dorosłam, był dla mnie najbliższą osobą, ale nie mówię. Nie powiem też brzydkiego słowa w obecności dzieci, choć mam na to ochotę.

Zachowam je dla siebie.

- Spotkałam Jacka, będąc już niemłoda kobietą - zaczyna Ruth, gdy przyszła jej kolej. - Po śmierci męża część mnie też umarła. Jack to zmienił. Nauczył mnie, że można się śmiać, gdy się kogoś utraciło, nawet w chwili śmierci. Ci, których kochamy, choć odeszli, zostają z nami we wspomnieniach i w podświadomości. Dziękuję, że mnie tego nauczyłeś i że codziennie mnie rozśmieszałeś. Żegnaj, Jack. Wiem, że jesteś teraz z nami.

Zgromadzeni powtarzają te słowa za Ruth. Brzmi to jak wspólna modlitwa, nie pożegnanie.

Po Ruth wchodzi na ambonę mężczyzna z równo przyciętymi wąsami, w zielonym poliestrowym garniturze. Jest wyraźnie stremowany. Wyciąga chusteczkę i ociera pot z czoła.

- Pracuję w restauracji w Riverdale - mówi z obcym akcentem. - Jack był jednym z najbardziej szczodrych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem. Zawsze przyjaźnie nastawiony, niezmiennie zostawiał mi dwadzieścia pięć procent napiwku. Z jednym wyjątkiem: gdy przychodził na kawę, zostawiał napiwek w wysokości podwójnej ceny napoju, czyli sto procent. Powiem wam coś: niewielu jest ludzi na tym świecie, którzy zostawiają napiwek w wysokości dwudziestu pięciu procent, zwłaszcza gdy pada deszcz. Wiedzieliście, że ludzie dają mniejsze napiwki, kiedy pada? Tak robią. Pewnego razu zostawił dla mnie na stole trzydzieści dolarów, podczas gdy rachunek wynosił dwa dolary. Wtedy padał śnieg. Pomyślałem, że się pomylił, więc pobiegłem za nim, żeby mu oddać. Powiedział, że się nie pomylił, a te pieniądze wygrał w pokera. Wiedział, że posłałem córkę do college'u. Powiedział: „Weź te trzydzieści dolarów. Stosuję za-

sadę: podaj dalej". Jestem dumny, że znałem człowieka, który stosował zasadę „podaj dalej”. Będę za nim tęsknił. Dziękuję, że byłeś z nami.

I o to chodzi. To doskonała mowa pochwalna. Te słowa są lepsze niż wszystko, co sama ułożyłam. Niewidzialna ręka, która podawała pikle, filiżankę kawy, koktajl truskawkowy - ktoś, kogo spotkałam setki razy i nie zauważałam, doskonale ujął, kim był dziadek Jack: kimś, kto stosował zasadę „podaj dalej”. Wszyscy jesteśmy dumni, że go znaleźliśmy.

Kiedy przychodzi kolej na mojego ojca, nie wchodzi na ambonę. W jego imieniu przemówi muzyka: składanka ulubionych szlagierów dziadka. Jest Benny Goodman, Tommy Dorsey, The Ink Spots, trochę Duke'a Ellingtona.

Wszyscy mają zamknięte oczy i słuchają. Przez chwilę mamy wrażenie, że kościół jest otulony muzyką. Wszyscy jesteśmy młodzi, zagubieni, ale pełni nadziei. Dzisiaj nostalgiczni.

Po pogrzebie ojciec zaprasza Ruth, Andrew i mnie na obiad do miasta. Nie będzie stypy w domu. Pogrzeb był naszym pożegnaniem. Był doskonały i to już koniec. Ojciec mówi, że ma ochotę na grilla, więc Andrew kieruje go do (naznaczonej fatum) restauracji; tam, gdzie na stołach leżą kredki, a na podłodze skorupki orzechów. W tej restauracji zerwałam z nim.

Siedzimy przy stole o wiele za dużym dla czterech osób, blisko szafy grającej, do której ciągle wrzucamy ćwierćdolarówki. Nie jestem pewna, czy gra te piosenki, których sobie życzymy, ale słyszymy więcej Ellingtona, trochę Radiohead, The Beatles, Lynryd Skynyrd. W myślach układam listę utworów, które pewnego dnia będą mi oparciem.

- To był piękny pogrzeb - odzywa się Ruth. - Czy mogę tak mówić? Mam nadzieję, że nie zabrzmiało to lekceważąco.

- Oczywiście, że możesz tak mówić. W tej rodzinie możesz mówić, co chcesz. To nowa zasada - odpowiada ojciec.

Jesteśmy rodziną - myślę. On wie, że jesteśmy rodziną.

- Masz całkowitą rację. To był piękny pogrzeb. Dokładnie taki, jakiego życzyłby sobie dziadek Jack - dodaje.

- Oczywiście - dołącza się Andrew i wznosi toast piwem. - Za dziadka Jacka.

- Za dziadka Jacka - powtarzamy i stukamy się szklankami.

- I za Nowy Rok, na pewno też chciałby usłyszeć taki toast - proponuje ojciec.

- Za Nowy Rok - powtarzamy i znowu stukamy się.

Kelner przynosi półmisek pikantnych skrzydełek. Sos do nich pali wargi (tylko do chwili, kiedy spuchną). Jak dzieci mamy wokół szyi zawiązane śliniaczki. Wycieramy w nie czerwone od barwy przyprawy ręce. Niestraszna nam kolejna porcja sosu, którą przynosi kelner. Nie rywalizujemy ze sobą, kto zje więcej skrzydełek, ale też nie poddajemy się tak łatwo. Radzimy sobie; pochłaniamy te skrzydełka.

Napełniliśmy żołądki, wydaliśmy ćwierćdolarówki, zostawiliśmy napiwek w wysokości trzydziestu dolarów. Pierwszy raz od dłuższego czasu czuję się najedzona. Wychodzimy z restauracji i wtapiamy się w tłum na Trzeciej Alei.

Idziemy, trzymając się pod rękę: ojciec ze zmierzwionymi włosami i śladami kondolencyjnych pocałunków na policzkach; Ruth, której zmarszczki są świadectwem przeżyć; Andrew, który obejmuje mnie wolnym ramieniem, i ja - która obserwuję i czekam.

Nikt nie ma aparatu fotograficznego, więc nie będzie zdjęć. Ten jeden raz się nie martwię, że zapomnę. Będę pamiętać, jak wydarzenia nakładają się na siebie. Nasza czwórka trzyma się razem, choć pozwalamy tej chwili przeminąć.

TLR